

# Dziękuję Ci, Kapitanie

Arkady Fiedler



calibre 0.9.27

*Arkady Fiedler*

*Dziękuję Ci, Kapitanie*

*Warszawa 1996*

**„THANK YOU, CAPT’N, THANK YOU!”**

1.

*Wybitnym, może najwybitniejszym marynarzem wśród kapitanów polskiej marynarki handlowej był kapitan Szworc1. Nie dlatego, że od trzydziestu trzech lat wiernie służąc morzu, poznał wiele jego tajemnic i zdobył wszystkie stopnie sztuki żeglarskiej i że jak nikt inny wyprowadzić potrafił statek z każdej przygody — nie dlatego: wielkość jego była w tym, że kapitan Szworc całego siebie poświęcił morzu, całe serce swe z jakimś niebywałym zapamiętaniem oddał statkom, wszystkie myśli swe, wszystkie poloty swe, wszystkie sny zatopił w statkach. Posiadł władzę nad nimi ogromną, lecz przy tym tak głęboko za-grzązł w tej pasji, że już nie stać go było na nic innego i że zaniedbał innego kunsztu, równie ważnego w życiu, może nawet ważniejszego, a przy tym pozornie tak prostego: pokochania ludzi ludzkim sercem. Kapitan nie nauczył się kochać człowieka, nie umiał przyjść z człowiekiem do ładu. W tym obcym dla siebie żywiole stale popełniał błędy, często wybuchał gniewem, ranił. Ranił człowieka na morzu i ranił go na lądzie. Był twardy i zawzięty, jak zawziętym trzeba być przy zwalczaniu morskich sztormów. Lecz tych osobistych sztormów nie przewyciężył: z człowiekiem przegrywał. Przegrywał swój wielki morski dorobek. Gdy zaszedł w lata, w których pragnie się Widzieć owoce swej pracy, i gdy od ludzi żądał uznania swych niezaprzeczonych zasług, spotykał go zawód: odmawiano mu uznania. Omijały go awanse i nagrody, unikało go słowo wdzięczności. Kapitan pienieł się i gorzkniał.*

*Ludzie wzruszali ramionami.*

*Gdzieś na sinych przestrzeniach między Gdynią a Ameryką, później  
zaś między Londynem a Atlantykiem narastał dramat ludzkiego  
istnienia: wielki marynarz przegrywał sens swego życia, ponieważ nie  
umiał rozwiązać po ludzku swych spraw ludzkich. Był wewnętrznie  
czysty jak kryształ, lecz na zewnątrz szorstki jak zmarznięta gruda; był  
na wskroś uczciwy w swej spartańskiej surowości, lecz przy tym — a  
może dlatego — bezradny jak dziecko. Odpychał ludzi od siebie, a przy  
tym -i o rzewna niekonsekwencjo ludzkiej natury! — łaknął ich  
wdzięczności. Owo niezaspokojone pragnienie podzięką stało ; się w  
końcu dla niego udręką prześladowającą go dniem i nocą. Nie I opuszczało  
go na mostku kapitańskim w czasie sztormu ani w kabinie, ani na  
ulicach kontynentów. Było z nim w zgiełku Manhattanu i było w ciszy  
Kanaru Manchesterskiego. Coraz rozpaczliwiej kapitan potrzebował  
ludzkiej wdzięczności. Już nie tylko dla ratowania treści własnego*

1 Postacie marynarzy, dzieje statków oraz wypadki, opisane w niniejszej książce, są prawdziwe, natomiast nazwy statków i nazwiska marynarzy — przeważnie zmienione.

*życia, dobiegającego jesieni, lecz i dla życia swego syna; gdzieś w  
Kanadzie żyła podczas wojny jego żona i rósł kilkuletni synek.*

*Więc coraz żarliwiej domagał się wdzięczności, walczył o nią  
uporczywie, zgrzytał, warczał, ranił i w coraz biedniejszych motał się  
sieciach. Była w tym wielka bezbronność, beznadziejność i  
okrucieństwo losu i czasem miało się wrażenie, jak gdyby  
zmartwychwstał któryś z tragicznych bohaterów Conrada i żywy*

*obnosił swą dolę po świecie.*

*Aż oto którejś nocy w tej wojnie, która zaczęła się tragicznym  
wrześniem, podczas jednego z najkrwawszych epizodów Bitwy o  
Atlantyk, gdzieś u wybrzeży śnieżnej Grenlandii kapitan posłyszał  
nareszcie słowa wdzięczności. Wypływały z najgłębszych uczuć ludzkiej  
duszy. Nie wypowiedział ich żaden możny tego świata. Powiedział je  
nędzny, na pół żywy marynarz chiński, biedny Chińczyk, a przecież  
słowa jego były niezmiernie ważne, bo tak właśnie, z tym samym  
uczuciem, z tą słusznością dziękować wówczas mogli kapitanowi  
wszyscy jego przełożeni, cała ludzkość, cały świat.*

2.

*Późnym latem, w trzecim roku wojny olbrzymi konwój opuścił Stany Zjednoczone, idąc w kierunku Brytanii. Na kilkudziesięciu statkach wiózł pół miliona ton najcenniejszego ładunku wojennego. Statki tworzyły dwanaście kolumn postępujących obok siebie. Szły bandery wszystkich sojuszników. Polskie statki były dwa: „Wisła”, prowadzona przez kapitana Szworca, i mniejsze od „Wisły” — „Gopło”.*

*Eskorty przydzielono skąpo: jeden kontrtorpedowiec i dwie korwety — zatrwając mało jak na tak ogromny konwój. Toteż, aby do pewnego stopnia wyrównać braki osłony, konwój wysunął się tym razem daleko na północ, okrążając tysięcznym łukiem zwykle żerowiska nieprzyjaciela. Ostatnie telegramy donosiły, że jego łodzie podwodne zauważono na południu, na prostej trasie Nowa Funlandia — Wyspy Brytyjskie.*

*Wzdłuż Labradoru pogoda była paskudna. Kilkudniowy sztorm dawał się we znaki statkom i ludziom. Potem nagle uspokoiło się i ludzie odetchnęli, a gdy z nastaniem następnego dnia zaświeciło mocne słońce, zadowolone oczy odkryły na północno-zachodnim nieboskłonie rozległy łąd o wysokich górach, pokrytych lśniącym śniegiem. Była to Grenlandia.*

*Wszyscy powitali ją radośnie. Wtargnęli oto daleko na północ, a więc w pas bezpieczeństwa. Zresztą co za pogoda! Słońce, niebieskie niebo, granatowe morze, martwa fala, fenomenalna widzialność i*

*śnieżne, malownicze góry, wyraźne z odległości dwudziestu mil jak na dłoni — wszystko to tchnęło świeżą, wielką ufnością. Konwój pruł fale powoli, we wzorowym porządku. Kolumny jego szły jak karne wojsko. W ich stalowej ociężałości był majestat. Szły szeregi jakby gigantycznych żołnierzy, świadomych swej roli. w rozstrzygającej bitwie. Był to pochód niemalże triumfalny, a marynarzom, patrzącym na to wszystko, na statki i na Grenlandię, rosły serca i tego poranku śniadanie smakowało im bardziej niż kiedykolwiek: jedli na pogodę jak wilki.*

*Kapitan Szworc obserwował odległy brzeg przez lornetkę i w pewnej chwili uwagę jego przykuł niezwykle szczegół.*

*— Co to?! — zawołał zdziwiony do oficera wachtowego. -Góra lodowa?!*

*Było tak w istocie. Prawie już na trawersie konwoju, między statkami a odległym lądem, sterczała z wody biała bryła lodu. Jakaś samotna średnich rozmiarów góra lodowa wędrująca z północy.*

*— Tak, panie kapitanie, góra lodowa! — potwierdził wachtowy.*

*Kapitan Szworc, jak to on: był impulsywny i łatwo powstawał, nawet na nieporządki w przyrodzie. Twarz jego, twarz o rysach drapieżnego ptaka, zaostrzyła się, a oczy zapłonęły wyraźnym gniewem.*

*— Góra lodowa?! — krzyknął. — O tej porze roku?!...*

*Lecz nie ulegało wątpliwości, że była to góra lodowa, na tych wodach i w tym miesiącu jakiś wybryk przyrody. Wybryk czy nie*

*wybryk, z wyjątkowym zjawiskiem należało się pogodzić i przejść nad nim do porządku. Kapitan przestał się przejmować.*

*Potem, po śniadaniu, coś go jednak tknęło. Pomyślał znów o górze lodowej i dalej śledził ją przez lornetkę. Góra pozostała już nieco w tyle, konwój ją minął. Uparta myśl nie dawała spokoju kapitanowi.*

*Hitlerowcy, wiadomo, byli mistrzami maskowania i niewyczerpanych podstępów: gdyby chcieli założyć w tym newralgicznym zakątku*

*Atlantyku pływającą bazę, czyż nie ukryliby jej najsprytniej właśnie pod maską takiej oto góry lodowej?*

*Kapitan wysiłał wzrok, lecz nic podejrzanego nie zauważył.*

*Tymczasem konwój oddalił się od góry o przeszło dziesięć mil.*

*W pewnej chwili myśl własna wydała się kapitanowi niedorzeczna.*

*Poniechał jej trochę zawstydzony.*

*Właśnie na statku komodorskim, na którym płynął dowódca*

*konwoju, wywieszono flagi na zmianę kursu. Konwój zwrócił się na wschód, w stronę Islandii.*



### 3.

*Po pięknym dniu zapadł mroźny, cichy wieczór. Na niebie świecił księżyc dochodzący pełni. Powietrze jakby nasiąkło lekką mgiełką. Zaciemnienie statków było zupełne i nawet z bliska, z odległości mili, nikt by nie przypuszczał, że tuż przemyka się wielki konwój.*

*Po południu, przed kilku godzinami, jedna z korwet rzuciła dwie bomby głębinowe. Marynarze, przywykli do fałszywych alarmów, nie przywiązywali do tego zbytnej wagi, raczej drwili sobie, jak zwykle z „beczek śmiechu”:*

*— Znowu dokuczają biednym rybom!...*

*To było po południu i teraz, wieczorem, epizod z bombami głębinowymi, zapomniany, tonął w niepamięci jak coś bardzo odległego. Teraz jedynie bliski i żywy był pracowity oddech turbin i cylindrów, jedynie rzeczywiste było parcie naprzód, wyteżone, przyczajone parcie naprzód.*

*W dwie godziny po zachodzie słońca wachtowych na statkach przeszył wstrząs zdumienia. Ich oczy, zdjęte nagłą grozą, przykuł jeden punkt: na lewym skrzydle konwoju, w tyle. Tam szedł tankowiec. Tam nagle wystrzelił w górę słup ognia. Słup, zdawałoby się, niepojęty, taki straszliwy. Jakiś upiorny strumień ognia wdzierający się pionowo w niebo. Wdarł się Wysoko, na trzysta, czterysta metrów, szeroki na długość statku. Był to wybuch ładunku ropy.*

*Rozjaśniło się przy tym okropnie. Wszystkie blackouty diabli wzięli.*

*Wszystkie statki konwoju wyprysły z ciemności jak w złych czarach i stanęły oświetlone blaskiem jak tarcze na tle czarnej toni.*

*Lecz trwało to tylko sekundę czy dwie. Słup ognia był błyskawicą.*

*Równie gwałtownie zgasł. U góry pozostawił tylko pióropusz dymu, rosnący na wszystkie boki jak olbrzymi czarny grzyb. Na dole zaś*

*tankowiec rozerwał się na dwie części. Dziobowa część natychmiast*

*zatonęła; rufa płynęła nadal po powierzchni wody i paliła się*

*spokojnym, powolnym płomieniem. Z płomienia wyskakiwały ciemne*

*sylwetki i wpadały do wody. Z daleka podobne były do nikłych*

*robaczków. Ludzie w tragedii są czasem podobni do nikłych robaczków.*

*Marynarze konwoju dopiero w kilka chwil później uświadomili*

*sobie, że równocześnie z wybuchem ropy rozległ się potężny huk.*

*Przedtem go nie słyszeli: tak władczy był ogień wybuchu i tak*

*całkowicie pochłaniał ich wszystkie zmysły. To oko tylko przeżywało*

*wspaniałą a straszną chwilę.*

*Wnet gdzieś w nocy, spoza konwoju, zadudniły głuche odgłosy*

*grzmotów. Były silne i statki od nich się trzęsły. Jednocześnie na niebie*

*wykwitły oświetlające rakiety. Chociaż słabiej niż przedtem, stało się*

*znowu widno na morzu. Rakiety paliły się długo. Niektórym*

*marynarzom zadrżały serca. Wielu zaczęło wołać:*

*-Raider! Raider!...*

*Ze statku komodorskiego poszły rozkazy świetlne. Konwój wykonał*

*je skwapliwie i we wzorowym porządku. Wszystkie statki*

*równocześnie, jak za pociągnięciem sznurka, zmieniły kurs o 45 stopni*

*w lewo: znak dobrej dyscypliny.*

*Tymczasem paląca się rafa tankowca pozostała w tyje.*

*Przypominała żuka przeciętego na pół przez okrutnego chłopca. Nikt z niej już nie wyskakiwał. Wypalała się do reszty. U góry, wysoko nad nią, wisiał wciąż gęsty kłęb dymu. Oświetlony z dołu ceglastym różem, nie wyglądał już jak grzyb ani pióropusz; przybrał fantastyczny kształt olbrzymiego ptaka spowitego w groźny kir — ponury znak morskiej niedoli.*

4.

*Nie był to -jak w pierwszej chwili sądzono — atak nieprzyjacielskiego raidera, okrętu nawodnego, lecz atak okrętu podwodnego. Odgłosy licznych wybuchów pochodziły od bomb głębinowych, rzuconych przez naszą własną eskortę. Eskorta również puszczała rakiety oświetlające. Miały odkryć wroga, w razie gdyby był na powierzchni morza, lub przynajmniej zmusić go do schowania się pod wodę.*

*Wtem, ku osłupieniu marynarzy, nowa fontanna ognia, tym razem po prawej stronie konwoju. W powietrze poszedł drugi tankowiec. Nie ulegało zatem wątpliwości, że było dokoła więcej okrętów podwodnych. Uciekać! Uciekać! Był to jedyny ratunek konwoju jedyny jego obowiązek i jedyna myśl, jaka przenikała serca i mózgi dwóch i pół tysiąca marynarzy: uciekać! Mimo to nie było paniki. Konwój wciąż szedł zwarty i skrzętnie wykonywał manewry, statki pilnowały jak oka w głowie swych stanowisk.*

*Słaba eskorta, uwijając się jak szalona, zdwajała swe wysiłki i gęsto walila bombami głębinowymi w morze, a raketami oświetlającymi w niebo. Niektóre statki wołały ciemność. Więc by zgasić te same rakiety, gromiły do nich z karabinów maszynowych i w górę sypały bujne smugi czerwonych pocisków. Inne statki widziały w morzu podejrzaną cienie: biły od nich zawzięcie z dział. Był huk, był harmider, był chaos, była potęga światła, było widowisko siarczyste, a w tym wszystkim były ściśnięte gardła i oczy wpatrzone trwożnie w powierzchnię wody.*

— *Wesoło jak na Broadwayu!* — *zażartował nagle ktoś z załogi*

*„Gopła”. Zaśmiał się przy tym gardłowo, lecz śmiech się nie udał,  
brzmiał jak stłumiony skowyt.*

— *Uwzięli się na tankowce!* — *powiedział ktoś inny na pociechę.*

*„Gopło” szło w ostatniej prawej kolumnie jako trzeci od przodu  
statek. Znów nakazano manewr i cały konwój skręcał w lewo. Wtedy w  
kolumnie „Gopła” powstała jakaś rażąca nieprawidłowość: wszystkie  
statki wykonały jednoczesny zwrot prócz jednego, pierwszego w  
kolumnie. Ów pierwszy, nie troszcząc się o rozkaz komandora, uparcie  
chciał iść dalej w dotychczasowym kierunku. Gdy „Gopło” go mijало,  
sprawa się wyjaśniła. Wachtowy, drugi oficer Smogulski, zawołał do  
kapitana:*

*-Ależ on tonie!*

*Statek tonął. Był storpedowany. Nikt z sąsiadów nie zauważył  
wybuchu torpedy. Dziób jego zapadł już pod wodę, rufa sterczała  
wysoko w powietrze. Jak znamiona rozpaczły wybijały się do góry śruba  
i ster, narzędzie przed chwilą jeszcze doniosłe, lecz teraz już na nic  
niezdadne. Statek zanurzał się szybko. Tonął ~bez wzruszenia, bez  
zgiełku, bez spazmów, bez świateł, bez protestu: cicho i łagodnie. Konał  
przejmująco, bez skargi. Jak czarny potulny zwierz schodził spokojnie  
do grobu. Zaledwie „Gopło” minęło tonącego olbrzyma, już dopełniał się  
jego los. Jego zupełne milczenie wobec śmierci przerażało. Jego bezsilna  
potulność była wstrząsająca.*

*Ludzie z „Gopła” zdrętwieli, nie mogli oderwać wzroku od tego*

*widowiska.*

5.

*Noc była jak koszmar — zła, długa i dręcząca. Wróg był liczny i zawzięty. Rzucił się na konwój prawie co godzina. Topił statki.*

*Szatańskie torpedy przychodziły z ukrycia, znienacka, nie wiadomo skąd. Rozszarpywały. Nikt nie widział ich źródła i nikt nie wiedział, na kogo teraz kolej. Jak słuszne okazało się porównanie konwoju do trzody zwierząt! Tej nocy konwój był trzodą bezbronnych owiec i to marynarzy najbardziej upokarzało: byli zupełnie bezradni.*

*Kapitan „Gopła” był wściekły. Kilka dni temu na lądzie podczas odprawy kapitanów przed odejściem konwoju zwrócił uwagę na niedostateczność wątlej eskorty.*

*— Ach, to głupstwo! Bitwa o Atlantyk jest już prawie wygrana! — lekceważąco odpowiedziały mu chępliwie władze alianckie.*

*Trudno było zmrużyć oko tej nocy. Większość marynarzy w pasach ratunkowych czuwała na pokładach niedaleko kominów, gdzie było najcieplej. Oficerowie, trzeba to podkreślić, dawali przykłady równowagi i męstwa. Najgorzej było ludziom w kotłowniach i przy maszynach. Nic tu nie widzieli, a wszystko w dwójnasób odczuwali i słyszeli. Wybuchy, nawet odległe, odbijały się najsilniej. Łatwo chwytaly za ludzkie nerwy. Wiadomo z opowiadań palaczy, że starszy mechanik „Gopła”, inżynier Brunon, schodząc często do maszynowni, świetnie uspokajał swych ludzi. Wiadomo również, że drugi oficer Smogulski po skończonej wachcie nagle oświadczył, że ma wszystko w*

*czterech literach, po czym zeszedł do kabiny, rozebrał się, położył do swej koi i spał snem najsmaczniejszym aż do rana.*

*Kapitan Szworc stał przez całą noc na posterunku na mostku drugiego polskiego statku, „Wisły”. Raz pomyślał o swej żonie i dziecku.*

*Właśnie wtedy, gdy w sąsiedztwie zapalił się storpedowany tankowiec.*

*Była to chwila nad wyraz przykra dla kapitana: nie mógł przypomnieć sobie rysów twarzy własnego synka. Doznał zabobonnego strachu.*

*Oblał się zimnym potem. Zbiegł na dół do kabiny i spojrział na fotografię ich dwojga. Potem wrócił na mostek i był znów spokojny.*

*W drugiej połowie nocy wszyscy zrozumieli, że obrona konwoju słabnie i eskortie zaczyna braknąć bomb głębinowych: wybuchy ich było słyhać coraz rzadziej. Tymczasem nieprzyjaciół nie popuszczał.*

*Raz po raz wybierał sobie nowe ofiary. Zmęczenie załóg i napięcie nerwów dochodziło do ostatnich granic. W duszach tłukły się modły, żeby już zaprzestano katuszy, żeby, na miłość Boga, nareszcie dano odetchnąć. W tej bezradności można było postradać rozum. A jednak konwój, nie tracąc na chwilę zimnej krwi, wciąż karnie trzymał się zwartą kupą we wzorowym porządku.*

*Okolo czwartej nad ranem jakiś statek, storpedowany, dostał jakby oblędu. Zaczął gwizdać potężną syreną bez przerwy, ustawicznie.*

*Załoga już go opuściła, a on tonąc powoli, pozostawał w tyle, lecz nie przestawał buczeć. Ryczał wniebogłosy, jak gdyby wzywając kogoś na pomoc. Była w tym potwornym głosie wielka histeria, było coś*

*zaraźliwego — ludziom zaczęły drgać i latać nerwy — była to histeria*



*zranionej maszyny. Bez końca, zdawało się, szarpała ludzkie uszy i ów  
świst rozpaczy przenikał teraz do szpiku równie przejmująco jak  
przedtem, na początku nocy, potulne milczenie tonącego statku.  
Potem na wschodzie zaczęło świtać i wraz z jutrzienką przyszedł  
spokój. Ustały wybuchy torped i nocne koszmary.*

6.

*Dzień nastął podobny do wczorajszego, słoneczny i chłodny. Morze było spokojne. Przez kilka godzin panowała nie zmacona cisza i ludziom tajały serca. Doznawano ulgi i wierzono, że wróg wycofał się przed jasnością dnia. Lecz błogie nadzieje zawiodły i krótko przed samym południem nastąpił nowy atak.*

*Atak bezczelny. Wyrwał ofiarę z samego środka pierwszego rzędu, tuż obok, komodora. Odgłos wybuchu był tłumiony, raczej jak odległy stuk. Z lewej burty trafionego statku wytrysła jak biała krew okazała fontanna wody. Na wielu pokładach nie zauważono wcale ataku i dziwiono się, dlaczego statek, zwalniając nagle biegu, nie wziął udziału w zarządzonej zmianie kursu. Leżał mocno i prosto na wodzie. Sąsiedzi mijali go, jakby odbierał tragiczną defiladę. Załoga jego pospiesznie spuszczała wszystkie cztery szalupy. Niektórzy marynarze, mniej cierpliwi, skakali z burty wprost do morza. — Też im spieszno! — dziwiono się dokoła. Wtem z kotłów wypuszczono parę, która otoczyła śródkręcie białym obłokiem: oczywisty dowód, że uznano statek za stracony.*

*Podczas gdy rozbitków brał na pokład ostatni z konwoju frachtowiec francuski, opuszczony statek wciąż leżał na wodzie, ogromny i wyniosły, jak poprzednio. Wcale nie zanurzał się i nic nie wskazywało, aby był uszkodzony. Ludzie wyrzucili go ze społeczności konwoju, lecz on jakby nie przyjmował ich wyroku i wznosił się dumny i*

*niezachwiany, obraz życia i tężyzny.*

*Konwój oddalał się od niego coraz bardziej, był już o trzy, cztery mile. Minęło pół godziny. Żadnej zmiany, żadnego przechyłu! Ludzie w konwoju zaczęli wątpić i przebąkiwać, czy załoga nie opuściła go przedwcześnie. Może stchórzyła!*

*Wtedy stała się przejmująca rzecz. Statek poruszył się. Wypadł ze swej niewzruszonej okazałości. Nagle podniósł dziób do góry, szybko i rozpaczliwie niby wyrzucona ryba chwytająca powietrze, i w ciągu kilku sekund pogrążył się w wodzie. Ogromny kadłub znikł prawie piorunem, w jednym przerażającym oddechu. Cały końcowy dramat nie trwał dłużej niż dwie minuty.*

*Ludzie mieli gorzką wizję: jak gdyby widzieli piękną, dzielną kobietę znoszącą długo, i z godnością jakiś wielki ból, by naraz, bez ostrzeżenia dla bliźnich, bez widomego znaku swej tragedii załamać się i upaść bez życia.*

*Był to nowy rodzaj śmierci, w którym koniec przychodził niespodziewanie jak podstępny cios, i była to przestroga dla marynarzy, by nigdy nie ufać statkom raz zranionym torpedą.*

*— Zapadł się jakby w pysk strzelił, jak nóż w masło! — zżymał się ktoś na „Gople” z niesmakiem i z oburzeniem w głosie.*

7.

*Tymczasem „Wisła” przeżywała dreszcze szczególnej emocji. Szła jako ostatnia w swej kolumnie, nikogo za sobą już nie mając. W chwili gdy konwój wykonywał zwrot na lewo, powstało w szeregach małe zamieszanie i obok „Wisły”, na jej trawersie, znalazł się poprzedzający ją brytyjski statek, tankowiec. Naraz asystent Siejski, pełniący służbę na mostku, krzyknął:*

*— Uwaga! Peryskop za rufą!...*

*Złowieszczy znak pojawił się nagle jakie dwieście metrów za tankowcem, a trzysta metrów za „Wisłą”. Pruł wodę, aż wytryskiwała jasnym łukiem, i dążył w kierunku kilwateru „Wisły”. Najwyraźniej wypatrywał nowej ofiary: jednej z dwóch, tankowca albo „Wisły”. W jasny dzień, w słońcu, na dość spokojnym morzu była to bezczelność zdumiewająca. Wróg czuł się pewny siebie i otwarcie szydził z eskorty. Na tankowcu również zauważono peryskop i otworzono do niego ogień z karabinów maszynowych i artylerii przeciwlotniczej. Wkrótce przyłączyła się do walki i „Wisła”. Zaczęła walić z działka na rufie. Ogniem kierował drugi oficer, Anczewski. Pociski wybuchały blisko celu na powierzchni wody. Niewiele zapewne wyrządzały szkody, ale przynajmniej przepłoszyły wroga. Peryskop znikł.*

*Żywa kanonada zwabiła dwie korwety, które w czas przybywszy zaczęły obkładać miejsce bombami głębinowymi. Marynarze zaciskali pięści i radowali się: nareszcie jeden ze zbójów wpadł w kleszcze i sam*

*był szczuty jak zwierzyna. Korwety tropiły jak wściekle psy zbyt długo trzymane na smyczy. Buchały od zawziętości. Przy piątej czy szóstej bombie wypłynęły na powierzchnię morza plamy oliwy. Któryś z marynarzy zaryczał triumfalnie. Rzucono jeszcze kilka bomb, potem konwój był zbyt daleko i marynarze nie mogli dokładnie zobaczyć, co się dzieje.*

*Gdy tankowiec wymijał „Wisłę”, by wyprzedzić ją i wejść na swoje miejsce, z pokładu jego witano ją wesoło podniesionymi kciukami. „Wisła” odpowiadała ochoczo.*

8.

*Reszta dnia upłynęła w spokoju, lecz cisza nie zwiódła nikogo.*

*Nieprzyjaciół dostatecznie przekonał się o szczupłej obronie konwoju. W nocy należało spodziewać się piekła.*

*Gdy po zachodzie słońca mroki zapadały na morze, w duszach ludzkich zaczął się lęk. Przeżycia ostatniej nocy wracały z uporem do pobudzonej wyobraźni. Przypominano sobie nędzny los rozbitków w szalupach, porzuconych mniej lub więcej na łaskę morza. Mało kto myślał o ich ratunku. Eskorta nie mogła ratować, zbyt nieliczna i uwikłana w walkę, statki zaś nie kwapiły się. Statki, które idą jako ostatnie na końcu kolumn, mają obowiązek zabierania rozbitków. Nie zabierały. Wolały uciekać, ratując własną skórę. Groza była silniejsza niż moralna powinność — i gdzieś na wielkiej wodnej pustyni dojrzewało obfite żniwo śmierci.*

*Toteż pierwszy tego wieczoru atak okrętu podwodnego krótko po zapadnięciu ciemności targnął nerwami marynarzy jak rozpalone żelazo. Mimo woli w głębi podświadomości nastrój niepewności rósł. Wzbierał jakiś czad, gotował się zdławiony krzyk. Uciekać! Należało na gwałt uciekać od straszliwych bestii, od zionących torped. Oby mieć skrzydła!...*

*O godzinie ósmej pięćdziesiąt siedem wieczorem przed dziobem „Wisły” storpedowano brytyjski tankowiec. Wysoki jak zwykle słup ognia i silna detonacja, która wszystkich sąsiadów poderwała na nogi.*

*Kapitan Szworc był właśnie w swym salonie. Jednym susem wyskoczył na mostek. Po drodze słyszał dzwonek okrętowego telegrafu. To wachtowy, trzeci oficer Poszycki, posyłał jakiś rozkaz do maszynowni.*

*— Zwolniłem biegu! Dałem w prawo!.., — młody oficer zawiadomił kapitana, który nagle, wściekły, wrzasnął:*

*— Dlaczego pan zwolniłeś?!*

*— Jesteśmy przecież rescue-ship!... Ostatni w kolumnie! — tłumaczył się wachtowy.*

*— To wiem!*

*Kapitan pożarłby go głosem. Potępiał manewr oficera. Z oczu jego tryskały gromy. Huknął przez tubę na dół:*

*— Cała naprzód! Do sternika:*

*— Lewo na burtę!*

*— Lewo na burtę — powtórzył spokojnie sternik.*

*W kilkunastu sekundach „Wisła” zatoczyła ćwierć koła i była już niemal na wysokości tankowca, około dwieście metrów na lewo od niego. Tankowiec palił się teraz na dziobie zwykłym, miarowym ogniem i szedł naprzód już tylko siłą dotychczasowego rozpędu.*

*Wtedy kapitan Szworc znów się odezwał. Padł jego rozkaz:*

*-Całą wstecz!...*

*Woda dokoła rufy naraz zaczęła syczeć, zabulgotała. Statek jakby zajęczał w swych wnętrznościach, które zatrzęsy się od dreszczów.*

*Rzekłbyś: zapasy dwóch potwornych mocy, jednej prącej wciąż naprzód, drugiej coraz silniej hamującej. „Wisła” przystawała.*

*Brzemienna decyzją rzuciła wrogowi rękawicę. Wzywała wielki los.*

*Wiatr dął od strony palącego się tankowca. Stamtąd groził nowy wybuch i rozlanie się ropy w kierunku „Wisły”. Lecz właśnie dlatego kapitan słusznie obrał to stanowisko, gdyż w tę stronę wiatr musiał również zapędzić wszelkie szalupy czy tratwy spuszczone z nieszczęsnego statku. I nie mylił się. Na powierzchni morza nieco z przodu już było widać migotliwe sygnały nadawane czerwonym światełkiem z szalupy. Dochodził także z dołu chrapliwy głos: — Help, help!*

*Na mostku zadźwięczał dzwonek telefoniczny. Drugi oficer*

*Anczewski z pozycji działowej na rufie pytał się:*

*— Co będziemy robili?*

*— Ratować ludzi! — warknął kapitan i zawiesił słuchawkę.*

*Anczewski chwilę pomyślał. Potem rzekł do kucharza i stewarda,*

*wojaków z obsługi działa:*

*— Nie potrzebuję was tutaj! Idźcie do kuchni gotować kawę!...*



9.

*Tankowiec palił się w całej swej przedniej połowie jak pochodnia i w jej różowym blasku „Wisła”, jaskrawo oświetlona, stanowiła wprost wymarzony cel dla torpedy. Oczekiwano jej lada chwila, a jednak nikt na statku nie tracił przytomności umysłu, wszystko odbywało się zadziwiająco składnie i rozkazy były celowe, a wykonanie ich szybkie.*

*— Zawiesić sztormtrap! — zarządził kapitan.*

*Sam pozostał na mostku, nadal manewrując statkiem, natomiast właściwą akcję ratunkową powierzył pierwszemu oficerowi Bojce.*

*Ówże, człek młody, szczupły, energiczny, zawzięty w dyskusjach, zuchwały w poglądach, równie odważnie umiał zabierać się do czynu jak do słowa.*

*Gdy „Wisła” i szalupa z rozbitkami zbliżyły się do siebie, rzucono z pokładu linę. Szalupa była przepelniona po brzegi masą ludzką, która widocznie nie ochłonęła dotychczas z przerażenia. W pobliżu sztormtrapu wybuchła panika. Kilku naraz wyskoczyło z łodzi, lecz tylko jeden zdołał uchwycić drabinkę, reszta wpadła do wody. W szalupie powstała kotłowanina. Bojka wiedząc, czym to grozi, przeciął linę i krzykiem nakazał spokój. Szalupa oddaliła się od burty „Wisły” o kilka metrów.*

*Pierwszego rozbitka wciągnięto po sztormtrapie na pokład.*

*Wyglądał jakoś cudacznie i marynarze zaczęli mu się dokładnie przyglądać przy świetle pobliskiego pożaru.*

— *Olaboga!* — zawołał ktoś w najwyższym zdziwieniu. — *Toż to*

*Chińczyk!*

*Fakt, że pierwszym wyratowanym marynarzem tu, na Atlantyku*

*Północnym, był Chińczyk, podziałał jak magia. Wszyscy wyczuli w tym*

*wyraźny komizm. Ktoś zarechotał głośnym*

*śmiechem.*

*Drugie zbliżenie się szalupy do „Wisły” poszło już sprawniej. Jeden z*

*brytyjskich oficerów, obecnych na szalupie, objął na niej komendę —*

*okazało się, że to dragi oficer tankowca — i znakomicie podprowadził ją*

*pod sztormtrap. Tu stanął przy końcu łodzi i silnym ramieniem*

*pilnował porządku. Martwa fala dość niespokojnie uderzała o burtę.*

*Szalupa skakała w górę i na dół. Tylko w chwilach, gdy była u góry,*

*drugi oficer puszczał za każdym razem jednego rozbitka na sztormtrap.*

*W ten sposób wylądowanie odbywało się bez wypadku.*

*Drugim wyratowanym, ku ogólnej uciechu, był również Chińczyk.*

*Trzecim — znowu Chińczyk, czwartym — Chińczyk. Tego już było za*

*wiele. Tankowiec był przecież brytyjski. Jakaś ogromna, nieprzeparta*

*wesołość ogarniała marynarzy i gdy przy piątym Chińczyku powstała*

*na dole krótka przerwa, chciano się już zakładać między sobą, co*

*następnie będzie: Chińczyk czy nie-Chińczyk?*

— *Chińczyk!* — stwierdzono w chwilę później z udanym oburzeniem i

*niewiarą, i nowy wybuch śmiechu na tle chińskiej obfitości.*

*Chińczyków było przeszło trzydziestu w szalupie, białych,*

*przeważnie oficerów, około dziesięciu. Drugi oficer tankowca, człowiek*

*niezwykle dzielny i obowiązkowy, chciał natychmiast wracać łodzią na poszukiwanie reszty rozbitków, jeszcze nie wylowionych z morza.*

*Tymczasem Chińczycy, zaledwie zeszli z sztormtrapu, wszyscy jak na znowę biegli bez namysłu na pokład szalupowy „Wisły” i tam siadali przy obydwóch łodziach ratunkowych. Otoczyli je murem z ludzkich ciał. Czekali. Mieli twarze zamknięte, lecz w oczach ich palił się obłęd i zdecydowanie na wszystko. Nie spuszczaali wzroku z szalup. Patrzyli w nie jak w ołtarze. Były to nędzne, biedne, zaczajone postacie. Byli cisi, przerażeni i groźni. Strach odebrał im poczucie rzeczywistości, prócz jednego: patrzenia uparcie w szalupy. Szalupy „Wisły” stały się dla nich symbolem życia. Byli przygotowani. Czekali na następny atak torpedy, by zawładnąć szalupami.*

*Tak*

*to*

*„Wisła”*

*znalazła*

*się*

*nagle*

*w*

*obliczu*

*nowego*

*niebezpieczeństwa, grożącego jej od wyratowanych rozbitków.*

*Chciał ten problem rozwiązać na swój sposób, dość drastyczny, jeden z białych rozbitków, Anglik, artylerzysta ze storpedowanego tankowca.*

*Onże, młode jeszcze chłopaczysko, na widok „chińskiego muru” dokoła szalup, zniecierlił się i miotając głośne przekleństwa, pobiegł jak wariat na mostek „Wisły”. Doskoczył do gniazda karabinów maszynowych i zaczął przy nich manipulować. Chciał strzelać do Chińczyków oblegających łodzie ratunkowe. Był już bliski wykonania zamiaru, gdy go dopadł drugi oficer Anczewski i z trudem powstrzymał.*

*— Czyś zwariował?! — huknął Anczewski.*

*— To są bestie, mówię panu! — pieniał się artylerzysta. Czynił wrażenie całkiem nieprzytomnego. Miał zaledwie dwadzieścia lat. Anczewski łatwo go obezwładnił i przemocą ściągnął po trapie na dół na główny pokład.*

*— To są bestie, mówię panu! — charczał chłopak uporczywie, ale z coraz mniejszą zapalczywością. Z podniecenia dzwoniły mu zęby.*

*Nienawiść w jego głosie szybko topniała, przechodziła jakby w skargę.*

*Już nie szamotali się.*

*Anczewski patrzył na niego ze współczuciem. zaproponował mu przyjaźnie:*

*— A cup of coffee? (Filizankę kawy?)*

*— Yes, please! (Tak, proszę!) — odrzekł skwapliwie i prosząco artylerzysta.*

*Był to konwój niezwyklej wybuchów: gwałtownie zrywały się słupy ognia i ludzkich paroksyzmów i szybko opadały.*

10.

*Dziw! Torpedy jeszcze nie było. Marynarze „Wisły”, zdjęci zabobonnym zdumieniem, nie mogli tego zrozumieć. Działy się niewiarygodne cuda!*

*Pożar na tankowcu objął już prawie cały pokład i sięgał do komina na rufie. Na wodzie pod rufą tkwiła tratwa z kilkoma rozbitkami niezdolnymi odbić od burty. Lada chwila groziła im śmierć od wybuchu ropy.*

*— Spuścić łódź na wodę! — zawołał kapitan Szworc po wysłuchaniu krótkiej relacji drugiego oficera z tankowca.*

*— Motorówkę? — zapytał z dołu starszy oficer Bojka.*

*— Tak, motorówkę!*

*Spuszczenie jej odbyło się w mig. Starszy oficer Bojka objął ster, drugi mechanik Terlecki — motor. Do pomocy zabrano dwóch marynarzy, starszego marynarza Chabę i młodszego marynarza Gorlickiego. Gdy motorówka odbiła od „Wisły”, towarzyszyły jej ciche powinszowania kolegów: jej przynajmniej już nie dosięgnie eksplozja torpedy, jaka przebiję lada chwila ścianę statku.*

*Teraz dopiero, będąc bezpośrednio na wodzie, Bojka uświadomił sobie grozę położenia „Wisły”. W promieniach pobliskiego pożaru statek jak gdyby wyrósł na morskiego lewiatana. Stał obnażony i jasny niby pomnik, widoczny na wiele mil dokoła, łup ponętny i cel najdogodniejszy. A wróg był w pobliżu. Znów, jak nocy poprzedniej,*

*szarpał konwój. Tam o dwie, trzy mile wrzało piekło. Były krwawe łuny, błyski, smugi, huk, piekło. Ja-kimże kaprysem losu „Wisła” wciąż jeszcze stała nie tknięta?*

*Wtem nad ich głowami, tuż blisko rozbłysło rażące światło. Jakiś samolot wypuścił silną raketę. Snop jej promieni rozwierał się ku dołowi olśniewającym kloszem, pod którym były obydwie statki, „Wisła” i palący się tankowiec, naraz oświetlone jak w dzień.*

*Marynarze klęli jak nigdy dotychczas. Gdyby przekleństwa coś znaczyły, niefrasobliwy pilot nie żyłby. Lecz on zataczał niskie koła i robił zdjęcia filmowe. Był to amerykański samolot. Był to prawdziwy Amerykanin przybyły z bazy islandzkiej.*

*Gdy motorówka zbliżyła się do tankowca, ludzie na tratwie zaczęli rozpaczliwie wołać o pomoc. Było ich czterech czy pięciu. Nie mogli odbić od statku, wciskani pod jego rufę przez kontrprądy, jakie tam się wciąż tworzyły. Tankowiec bowiem jeszcze sunął naprzód.*

*Starszy oficer Bojka, rozdrażniony raketą świetlną i, dzikim wrzaskiem rozbitków, powstał i krzyknął do nich tubalnym głosem z wyrzutem w tonie:*

*— Are you British?! (Czyście Brytyjczycy?!) To poskutkowało.*

*Tratwa natychmiast umilkła.*

*Okazało się, że był na niej jeden ranny, i to kapitan tankowca.*

*Wypadalo leżącego ostrożnie przeladować, więc motorówka wtoczyła się między tratwę a rufę statku. Ktoś przy tym dotknął burty tankowca; szybko rękę cofnął.*

— *Parzy, cholera!*

*Żelazo parzyło, ogień był już za ścianą. Tankowiec sprawiał niesamowite wrażenie rozpalonego od środka kotła.*

*Piorunem przeniesiono rannego, już i reszta rozbitków się usadowiła. Na tratwie pozostał tylko jeden starszy marynarz Chaba.*

*Marudził tam, czegoś gorączkowo szukał, coś nerwowo przewracał.*

— *Co tam robicie?! — zapytał go niecierpliwie Bojka. Żadnej odpowiedzi. Marynarz przetrząsał jak opętany zapasy żywnościowe tratwy.*

— *Co robicie?!... — huknął Bojka.*

— *Nic... Szukam tylko whisky... — usprawiedliwiał się tamten rozżalonym głosem.*

*Na to Bojka ryknął z całą furią;*

— *Natychmiast wracaj, łapserdaku!...*

*Chaba zerwał się, wrócił. Mruczał zawiedziony.*

*Wszyscy musieli pomagać, by motorówkę wydobyć z klina między tratwą a tankowcem. Chwila była ostatnia: z dzioba statku wypłynęła na morze płonąca ropa i szybko się rozpościerała. Lecz i motor zaterkotał. Łódź w sam czas zaczęła się oddalać.*

*Po chwili, gdy niebezpieczeństwo minęło, starszy oficer, schylając się nad głową Chaby, zapytał go po cichu i przyjaźnie:*

— *Było co?*

— *G... — odpowiedział marynarz ze szczerym smutkiem. Skoro tylko rakietka świetlna wygasła, ujrzano w oddali na*

*wodzie czerwone światelka. Pochodziły od drugiej szalupy*

*tankowca, na której było kilku rozbitków. Bojka dowiedział się od nich,*

*że więcej ludzi na wodzie już nie ma. Zabrał ich i wrócił do „Wisły”.*



11.

*Gdy „Wisła” przechodziła najcięższą godzinę swego żywota, kapitan Szworc przeżywał osobistą ekstazę. Ekstazę starego bojownika morza, który znalazł się w swoim żywiole: w śmiertelnym niebezpieczeństwie.*

*Był to zawsze człowiek twardy i srogi. Wrodzoną twardość jego potęgowały przebyte sztormy morskie i burze życiowe oraz stałe obcowanie z owym zawilym tworem żelaznym, jakim jest statek. Sam nabral od niego cech żelaza, i oto człowiek, który tak bezgranicznie oddany był statkom (a tak obcy ludziom i wszystkiemu, co ludzkie), podjął teraz, tej pamiętnej nocy, walkę zażartą i najdziwniejszą.*

*Pienił się i miotał. Złorzeczył i zaklinał. Wściekał się i rzucał. Była to wściekłość twórcza. Zapładniała ludzi, ruszała narzędzie, budziła zrywy. Napelniała statek magiczną mocą. Jeżeli dokoła niego czyhały złowieszcze siły chcące go zniszczyć, to kapitan jakby odpychał je i w duszy swej przeciwstawiał im siły, jemu tylko właściwe, choć równie zajadle. Tej nocy na mostku stał mag rzucający zaklęcia na statek i morze.*

*Były chwile, gdy cichł i zaczął się w milczeniu. Wtedy twarz jego wyglądała okropnie. Zaciągala się ostrymi bruzdami, które nadawały jej wyraz niebywalej srogości. Zmienione rysy odbijały napiętą do ostateczności wolę. Wessane z pasją wargi przypominały obraz ryby głębinowej i jej nienasyconej drapieżności.*

*Zdawać się mogło, że drapieżność ta i owe zaklęcia nie były płonne:*

*statek stał nie tknięty. Jakby coś zaproszyło oczy nieprzyjaciela i odwracało jego peryskopy w inne strony, na inne wody. Jakby prąd energii spływając z mostku był zbawienny. Był zbawienny. Poruszał cały statek ożywioną sprężyną.*

*Akcja rozwijała się jak z płatka. Już motorówkę wraz z rannym kapitanem podciągnięto na taliach na pokład szalupowy. Przeniesiono go na noszach w bezpieczne miejsce. Już rozwiązano sprawę umieszczenia owej niespodziewanej ciżby: białych — w kabinach oficerów „Wisły”, załogi chińskiej — w bunkrach należycie wyczyszczonych. Zanim dwie godziny minęły od storpedowania tankowca, dzieło było dokonane. Wśród okoliczności dramatycznych, w posępnej iluminacji pożaru, w niepewności życia w następnej chwili, dopełniał się pomyślnie dwugodzinny obrządek, w którym walczyły o lepsze: poczucie obowiązku i zaciekłość. I skoro to był czarnoksiężnik, pieniaący się na mostku, to w istocie zaklęcia jego odniosły zwycięstwo.*

*„Wisła” ruszała już w stronę konwoju, by go dogonić, gdy w tym kierunku, daleko na horyzoncie, nastąpił straszliwy wybuch, prawdopodobnie statku z ładunkiem amunicji. Przywołało to wszystkich do rzeczywistości, choć trwało krótko. Jak spalenie siarki na zapalce”. Marynarze zaniepokoiili się serdecznie o los „Gopła”.*

*Wiedzieli, że statek wiózł amunicję.*

*Wtem podeszła korweta pod „Wisłę” i dowódca jej zapytał, czy statek czego nie potrzebuje i czy zabrał wszystkich rozbitków.*

*— Wszystkich — meldował kapitan Szworc przez megafon.*

*-Pięćdziesięciu czterech ludzi, w tym szesnastu Brytyjczyków, reszta Chińczycy. Dwóch rannych. Brat starszego oficera i trzech Chińczyków, którzy zginęli podczas wybuchu.*

*— Dobrze, kapitanie! — odpowiedział dowódca okrętu z uznaniem i przy tej okazji pochwalił się, że korweta miała również niezłą zdobycz: pięćdziesięciu dwóch niemieckich jeńców z zatopionego okrętu podwodnego.*

*Wówczas jeden z polskich marynarzy wpadł na maniacki pomysł: chciał mieć hitlerowców na „Wisłę”. Żądał wymiany ich na rozbitków brytyjskich. Uczepił się tej myśli jak pijany płotu, jak opętany i w końcu nie wiadano, żartuje czy nie żartuje. Noc była niebezpieczna dla nerwów i statków.*

*W salonie „Wisły” ulokowano kilku oficerów z tankowca oraz urządzono stację opatrunkową. Jeden z Chińczyków, stary bosman, odniósł tak fatalne oparzenia, że była obawa o jego życie. Zupełnie wyczerpany, z twarzą zniekształconą, niezdolny poruszać się o własnych siłach, biedak zdawał się godzić apatycznie z przeznaczeniem.*

*Właśnie zakładano mu opatrunki. Kapitan zajrzał do salonu. Gdy Chińczyk go zobaczył i poznał, powstał, ku zdumieniu obecnych, na bezwładne nogi i roztrzęsiony, nagle odezwał się do niego głosem drżącym ze wzruszenia:*

*— Thank you, capt’n. Thank you!... (Dziękuję ci, kapitanie!)*

*Nieoczekiwany wybuch Chińczyka, na pół żywego, sprawił na wszystkich wielkie wrażenie, lecz najbardziej osłupiały był kapitan.*

*Zamigotało mu coś obcego w źrenicach — czyżby ślad wzruszenia? — i on, uosobienie odpychającej surowości, rzekł nieswoim głosem, niemal miękko:*

*— Bądź cicho, człowieku!*

*Gdy to nie pomogło, a Chińczyk wciąż stał i jakby błogosławił, kapitan nagle rozsrożył się. Widocznie nie wiedząc, co począć z sobą, huknął z całych sił na nieszczęśliwca:*

*— Siadaj, do kroćset!...*

*I jak burza wypadł z salonu.*

12.

*Rano następnego dnia „Wisła” dopędziła konwój. Noc wyrwała w kolumnach statków szczyrby zatrwazające, ale „Gopło”, nie naruszone, ocalało. Tego poranka do konwoju dobiła również silna flotylla sojuszniczych kontrtorpedowców i korwet. Znaczyło to opanowanie sytuacji i kres udręki. Nieprzyjaciel natychmiast cofnął swe pazury, skulił swą zuchwałość. Jeszcze napastował, lecz blade, bez przeboju i z małym skutkiem.*

*Konwój dotarł ostatecznie do portów Brytanii. Prawda, poniósł straty bolesne, tracąc przeszło czwartą część składu i kilkuset marynarzy. A jednak pomimo dwóch piekielnych nocy i wściekłych wysiłków wroga nie rozbił się, nie zaprzepaścił się, wykonał swe zadanie: moc statków i sprzętu wojennego doprowadził do celu.*

*Razem z innymi „Wisła” i „Gopło” spełniły dobrze swój marynarski obowiązek. Przywiozły amunicję, samoloty i czołgi. „Wisła” ponadto ładunek specjalny: ludzi. Jeżeli amunicja, samoloty i czołgi, jeżeli rządy, fronty, sztaby generalne i miliony żołnierzy służą — poprzez upiorną machinę wojny -jednemu celowi: ratowaniu człowieka, to „Wisła”, w jakimś wspaniałym skrócie syntetycznym, swym odważnym czynem zobrazowała owe cele wojny i ratując od zagłady ludzi, polskiej marynarce handlowej przysporzyła wymownego, szlachetnego blasku. W tym była jej zasługa, jak i zasługa jej kapitana, oficerów i marynarzy.*

*A kapitan? Wiadomo, jak ogromnie spragniony był ludzkiej wdzięczności. Lecz również wiadomo, jak dziwnie oślepy i bezradny błąkał się we wszystkim, co było ludzkie, jak błądził z człowiekiem. Więc czy teraz przynajmniej potrafi uporać się z zadaniem? Czy odnajdzie w sobie samym ludzką nutę? Czy potrafi doszukać się wśród tłoku pozornych wartości jedynie prawdziwej, człowieczej nagrody swego czynu? Czy zrozumie ów dzielny, lecz surowy i prymitywny samodzierżawca morski, tak mało rozumiejący duszę ludzką i miłość ludzką — czy zrozumie, że wzruszenie i słowa starego Chińczyka otwierały świat niepomiernej wagi dla niego i niepomiernej wagi również dla przyszłości jego syna? Że jeżeli nie znajdzie klucza do tego świata, może zaprzepaścić dla siebie cały swój wielki dorobek morski?*

**„LA FRANCE EST MORTE!” KRZYKNAŁ MURZYN I DOSTAŁ TĘGIEGO SZTURCHAŃCA**

1.

*Dnia 20 czerwca 1940 roku, a więc tuż po upadku Francji i zawarciu rozejmu francusko-niemieckiego, S/S „Opole” wchodził do ujścia rzeki Saloum we Francuskiej Afryce Zachodniej. Chociaż na całym świecie wrzało od popłochu, przerażenia i najczarniejszych przewidywań, tu, nad afrykańską rzeką, panowała nie zmacona i martwa cisza. Senny krajobraz, pełen tropikalnej pary w powietrzu, taił mglistą groźbę i polscy marynarze nie mogli stłumić wrażenia, że oto wchodzą do rozwartej szeroko paszczęki węża, a nie do zwykłego ujścia rzeki. Węża o jakichś ukrytych zamysłach. Statek zmierzał w górę rzeki Saloum do Kaolaku, miejscowości o sto dwadzieścia kilometrów, w głąb francuskiej kolonii, onegdaj jeszcze sojuszniczej, ale dziś jakiej barwy? O zachodzie słońca „Opole” oddaliło się od morza już o kilkanaście kilometrów, gdy jego radiotelegrafista wpadł w niebywałe podniecenie i pospiesznie przywołał kapitana Jędrzejowskiego do odbiornika. Nie ulegało wątpliwości, że londyńska stacja radiowa kilkakrotnie nadawała po polsku rozkaz:*

*— Wszystkie polskie statki zdążające do portów francuskich natychmiast skierują się do najbliższego portu brytyjskiego!*

*Więc paszczeka węża nie była czczym marynarskim przywidzeniem i „Opole”, po nocy na kotwicy, zmieniło świtaniem kurs, opuściło rzekę i po krótkim rejsie zawitało do brytyjskiego Freetown w Sierra Leone.*

*— Well, well, well! — trochę zniecierpliwiony mówił wyższy oficer w*

*Naval Control Office we Freetown do kapitana Jędrzejowskiego, który zameldował swoje przybycie i wyluszczył powody. — Znamy ów rozkaz BBC do polskich statków, lecz mogę pana zapewnić, że tu, w Afryce, wydaje nam się przedwczesny. Mamy wiadomości ze źródeł niewątpliwie pewnych, że jakkolwiek Francja poddała się w Europie, to jej kolonie w Afryce zajmują inne stanowisko i raczej stoją przy sprawie sojuszniczej. So take it easy...*

*Gdy twarz kapitana Jędrzejowskiego niedwuznacznie zdradzała, że jednak nie bierze tego tak lekko, wyższy oficer, typowy produkt brytyjskich kolonii, nie ukrywając swego poczucia wyższości, zniecierpliwił się i uważał za wskazane dać sojuszniczemu kapitanowi nauczkę etyki:*

*— Zresztą — oświadczył godnie — wiecie pan ładunek z Anglii, brykiety, z przeznaczeniem do kolonii francuskiej. Jest nakazem naszej tradycji i uczciwości, ażeby kupujący zawsze otrzymał zamówiony towar.*

*— Nawet gdyby kupujący był wrogiem lub ukrytym sympatykiem wroga?*

*Oficer nie zważał na cierpkie słowa kapitana, lecz poczuł się rozbawiony:*

*— Mogę pana jeszcze poinformować, że w dniu dzisiejszym, w obecnej chwili znajduje się w porcie w Dakarze czternaście brytyjskich statków. Żaden z angielskich kapitanów nie bał się i nie sprzeciwiał się wejściu do francuskiego portu. Czy wystarczy to panu jako... otucha?*



*Dnia 26 czerwca „Opole” powtórnie wchodziło do rzeki Saloum. Gdy minęło mielizny u ujścia, dotychczasowa bryza ustała jak uciął i natychmiast zrobiło się nieznośnie duszno na statku. Przykry był wstęp do kraju zabójczego gorąca, niewiadomych zasadzek i ludzkiej tajemnicy.*

*— Patrz! — zawołał nagle kucharz do stewarda Alfonsa. — Patrz na banderę!*

*Bandera zwisała bez ruchu jak smętny szmat. Nie było odrobiny wiatru.*

*— Do diaska! Zły znak! — odrzekł steward, rzeczoznawca od wszystkiego.*

2.

*Kaolak: miejscina na jałowiznach senegalskich, około trzy tysiące mieszkańców, w tym dwustu białych. Silny garnizon: trzystu czarnych żołnierzy. Murzyni w nędzy. Biali znudzeni na śmierć, od pewnego czasu trochę podnieceni wypadkami we Francji. Do niedawna znaczny eksport orzeszków ziemnych, lecz teraz wysokie ich kupy czekały pod gołym niebem na załadowanie. Na rzece obok przystani leżały dwa statki: jakiś Duńczyk i miła niespodzianka! — polski statek „Bielsk”, bliźniak „Opola”.*

*— Bywajcie, bywajcie! — wołali uradowani marynarze z lądu, gdy „Opole” zbliżyło się do przystani.*

*I Lecz zaraz potem rzucono pytanie pół żartem, pół gniewnie: po kiego licha „Opole” tutaj się napatoczyło?*

*I zanim przycumowano, przybysze już w ogólnych zarysach wiedzieli, co sądzić o Kaolaku. Widoki nie przedstawiały się różowo.*

*Tutejsi Francuzi, zdemoralizowani upadkiem Francji,*

*I byli w nastroju, by brać, lecz nic nie dawać. Agent okrętowy robił trudności i ociągał się z płacaniem rachunków nawet za zwykły prowiant dla załogi. Władze, nastawione nieprzychylnie, były nieuczynne. Więcej: popełniły już brutalny gwałt.*

*Oto duński statek. Przybył dziesięć dni temu, jeszcze przed „Bielskiem”. Przed dwoma dniami w czasie nieobecności kapitana wtargnął nieoczekiwanie na jego pokład oddział wojska, obłożył statek*

*aresztem, wywiesił francuską banderę, a komendę powierzył nowemu kapitanowi, Francuzowi. Gdy stary kapitan, Duńczyk, wrócił z miasta, omal że nie oszalał. Teraz mieszkał jako okpiony pasażer na własnym statku i zdawało się, że trochę rzuciło mu się na rozum. Nie ulegało wątpliwości, że w tym wszystkim maczał swe palce agent okrętowy, Leblond: zaprosił Duńczyka na aperitif i w tym właśnie czasie nastąpiło obsadzenie statku.*

*Duński statek leżał w środku, między „Bielskiem” a „Opolem”.*

*Kapitan Jędrzejewski spostrzegł na jego pokładzie kilku senegalskich żołnierzy i wartę, stojącą pod karabinem u wejścia do trapu. Było w tym widoku coś szczególnie przygnębiającego: jak gdyby dumnej istocie odebrano bezprawnie wolność i zakuto jej ręce.*

*Przybycie „Opola” wywołało sensację w osadzie i ściągnęło do przystani wielu gapiów. Zaroilo się od Murzynów, wiele było wybuchów śmiechu i wesołych uwag. Były też grupki po dwóch, trzech białych, Syryjczyków lub Francuzów. Oni nie śmiali się, lecz czujnym okiem śledzili manewry cumowania i uśmiechali się pod nosem.*

*Uśmiechy ich nie podobały się marynarzom.*

*Kapitan Jędrzejewski patrzył na rzekę. Płynęła w tym miejscu dość wąskim korytem, nie szerszym niż sto pięćdziesiąt metrów, a pół mili dalej zakręt zamykał widok doszczętnie. Było tu ciasno, duszno, przygnębiająco, jak gdyby „Opole” złośliwymi czarami posadzono na małym, martwym jeziorku, zamkniętym zewsząd, na dziesiątki mil, beznadziejnym lądem. Kapitan doznał naraz przeszywającej tęsknoty*

*za szerokim oddechem morza. Zapra gnął fal, słonego wiatru i kołysania się statku.*

*Przez tłum do przystani przepychał się zażywny jegomość i wszedł na „Opole”. Był to mężczyzna już dobrze w lecie wieku, o szronowatych włosach, lecz młodzieńczych ruchach i bystrym wejrzeniu: po komendancie garnizonu najbardziej wpływowa figura w Kaolaku: agent Leblond.*

*— Bon jour, monsieur le capitaine! — zawołał kordialnie wielkim głosem do kapitana Jędrzejowskiego. — Bardzo się cieszę, że pan przybył do nas...*

*Kapitan nie wątpił, że monsieur Leblond się cieszył. Potem, po załatwieniu formalności z władzami portowymi, agent rzekł do kapitana:*

*— Żona moja będzie bardzo rada poznać pana... Czy mógłbym zaprosić na jutro do siebie na aperitif? Twarz agenta miała wyraz chytrego lisa.*

### 3.

*Jeżeli Leblond był cwany lisem, to bezsprzecznie lisem o wielkim, wyraźnym wdzięku i o ujmujących obyczajach. Był gościnnie i posiadał wytworny bungalow, urządzone wewnątrz na modłę amerykańską. Miał też powabną żonę, piękną dziewczęcą brunetkę, która będąc młodszą od niego o dwadzieścia pięć lat, wzbudzała w wielu mężczyznach nieczyste żądze i sprośne nadzieje. Posiadał przy tym baterię pierwszorzędných aperitifów i umiejętność wyrażania współczucia.*

*— Jakże żałuję, jak niezmiernie żałuję! — mówił w swym biurze do kapitana Jędrzejowskiego nazajutrz po przybyciu „Opola”. — Niestety, o wszystkim decyduje agencja w Dakarze, a nie ja. Właśnie rozmawiałem telefonicznie z Dakarem w sprawie „Opola”. Przeżywamy okres kompletnej dezorientacji. Bardzo mi przykro, że ani centa nie mogę panu wyłożyć ani na zaliczkę dla załogi, ani na prowiant...*

*Nastąpiło milczenie.*

*— Trudno! — oświadczył kapitan Jędrzejowski twardym głodem. — Każę przerwać wyladowywanie brykietów aż do czasu, gdy panowie się zorientują. Jutro przyjdę po odpowiedź.*

*Potem kapitan telefonował z biura agenta do polskiego konsula Mańkowskiego w Dakarze. Uprzejmie i szybko go połączono. Lecz gdy zaczął mówić do konsula w ojczystym, oczywiście, języku, Leblond przerwał grzecznie i przeprosił:*

— *Z polecenia komendanta garnizonu wszystkie rozmowy*

*telefoniczne muszą odbywać się po francusku.*

*Więc kapitan tylko zawiadomił konsula o swoim przybyciu, unikając  
poufniejszych informacji.*

*W drodze powrotnej na „Opole” zatrzymał go na bulwarze  
portowym*

*mężczyzna*

*około*

*pięćdziesięcioletni*

*z*

*dubeltówką*

*przewieszoną przez ramię. Wracał z polowania. Twarz jego, czerwona  
od nadmiernego napływu krwi — objaw rzadki wśród Europejczyków w*

*tropikach — zdradzała grożącą katastrofę udaru. Oczy latały nerwowo.*

*Był to Duńczyk, usunięty kapitan statku. Przedstawił się, potem bez*

*słowa przejścia przybliżył swe usta do ucha kapitana Jędrzejowskiego i  
wyszeptał z miną spiskowca:*

— *Uciekaj, kapitanie! Uciekaj stąd, póki czas! Póki statek twój żywy!*

*Wyrywaj!*

*Odskoczył o krok, zajęczał chropowatym śmiechem i nagle,*

*podnosząc głos, mówił — jakby bez związku z poprzednim -o czymś  
zupełnie innym:*

— *Sępy! Czy wiesz, co to sępy? Najpodlejsze z obmierzłych stworzeń!*

*Gdy jesteś silny, mają respekt i unikają ciebie!... Potkniesz się: krążą*

*nad tobą!... Padniesz, siądą dokoła ciebie!... Sępy są wiecznie głodne, ale nigdy nie uderzają z przodu!... Sępy czekają, aż zgnijesz! Żrą mięso tylko w rozkładzie, tylko ściervo w rozkładzie!... Wtedy dopiero rzucają się na żer, gdy śmierdzi!... Ach, parszywe sępy!*

*Spojrzał na swój statek i nagle urwał. Przez twarz jego przeszedł skurcz obrzydzenia. Strzelbę, którą ściągnął przedtem z ramienia i w powietrzu wymachiwał, trzymał teraz nieruchomo, zwróconą lufami w stronę kapitana Jędrzejowskiego.*

*— Czy nabita? — zapytał tenże przezornie.*

*Duńczyk zreflektował się i przeprosił. Strzelbę zarzucił znów na ramię. I jakby uwolniwszy się od jakiegoś urzekającego napięcia, rzekł teraz swobodnie, niemal wesoło:*

*— Poluję za miastem na sępy. Wypowiedziałem im wojnę i zabijam je, gdzie tylko mogę. Muszę przy tym uważać, by mnie nikt nie widział, tutejsze władze nie lubią, gdy zabija się sępy. Władze tutejsze — ho! ho! — kochają sępy... Patrz pan, ile tego paskudztwa nad nami!...*

*Z wyrazem wstrętu wskazał na niebo. Rzeczywiście krążyło tam kilkadziesiąt wielkich czarnych ptaków. Były niezmiernie wysoko i zataczały bezustannie koła.*

*— Zabijam je! — rzucił z pasją.*

*Nagle spojrzał przenikliwie w oczy kapitana Jędrzejowskiego-*

*— Uciekaj stąd! Tu cuchnie padliną! -wycodził. — Uciekaj! Po czym kiwnął ręką na pożegnanie i poszedł na swój statek.*

*o drodze potykał się jak ktoś pijany.*

4.

*Groźba, że „Opole” przerwie wyładowywanie, poskutkowało.*

*Następnego dnia agent przyrzekł solennie wystarać się o pieniądze dla załogi i na prowiant. Lecz gdy brykiety były już na ładzie, szczodrość jego ostygła i Leblond dotrzymał przyrzeczenia tylko częściowo, wykładając zaledwie połowę przyrzeczonej sumy. Na prowiant płacił sumiennie: obawiał się, że głodna załoga gotowa robić burdy.*

*W mieście biała ludność francuska przeżywała dziwne nastroje, tak charakterystyczne dla owych smętnych czasów. Nikt, zdawało się, nie brał tu na serio upadku Francji. Ludzie byli nawet jakby zadowoleni, jakby kamień spadł im z serca, i nie ukrywali swej ulgi i radości, że nareszcie ustało coś, co było niewymiernie przykre. Pojęcie „skończonej wojny” roztaczało tu niezdrowy urok i głuszyło sumienia wobec klęski narodu. W dwóch kawiarniach, dość prymitywnych dziurach, polscy marynarze stykali się z białymi mieszkańcami Kaolaku i nie mogli się dość nadziwić ich postawie.*

*Natomiast poważniej niepokoiła Polaków inna rzecz, zgoła nieprawdopodobna i dla nich niezrozumiała, mianowicie rosnąca w kolonii francuskiej sympatia dla Niemców. Fale jej przychodziły z Dakaru i z Francji i chociaż zdawały się lęgnąć z absurdu lub hysterii, jednak wyraźnie istniały i zatruwały umysły ludności. Niemiec stawał się niemalże uosobieniem przyjaźni. Były to przemiany niepokojące i niebezpieczne dla polskich statków.*



*Po załatwieniu sprawy brykietów kapitan Jędrzejowski żądał, w myśl planu, załadowania orzeszków ziemnych. Leżały gotowe na przystani. Lecz agent nie pozwolił ich ruszyć i zwlekał. Znow powoływał się na Dakar, a Dakar milczał. Dni mijały beczynn timer. To samo działo się z „Bielskiem”.*

*Obydwaj kapitanowie nadawali depesze do swych władz okrętowych w Londynie. Nie było żadnej odpowiedzi. Poczta prawdopodobnie odcinała ich podstępnie od świata.*

*Z Dakaru przenikały coraz gorsze wieści, jakoby obłożono aresztem w porcie wszystkie brytyjskie i sojusznicze statki. Gdy kapitan Jędrzejowski chciał tam pojechać kolejką żelazną, by rozmówić się osobiście z konsulem polskim, cofnięto go z dworca: nie wolno było jechać bez pozwolenia komendanta garnizonu. Komendant odmówił mu wydania przepustki.*

*Po wyjściu od niego kapitan poczuł jakby duszący uścisk pętli dokoła szyi. Nagle chwycił go nerwowy strach, czy wojsko nie obsadziło już „Opola”. Przyspieszył kroku. Cały kapał się w pocie. Lecz obawy były płonne. Już z daleka zobaczył, że normalny spokój panuje na statku.*

*Za to na przystani spotkał kapitana Duńczyka, jak zawsze czerwonego na twarzy, lecz bardziej niż zazwyczaj podnieconego.*

*— Zdjęli mnie ze statku, wie pan? Z własnego statku! Wyrzucili mnie jak psa! — mówił bez powitania. — Odebrali mi także fuzję! Nie chcę, żebym tępił sępy...*

*Potem głosem poufnego zwierzenia, jak o jakimś osobistym*

*nieszczęściu:*

*— Miałem dziś zły sen, śniły mi się same sępy. Tysiące, tysiące sępów. I wszystkie siadały na moim statku. Obsiadły maszty i liny, obsiadły windy i pokłady, zalały burty i szalupy, zalały wszystko. W końcu cały statek był czarny od sępów. Czy rozumie pan: był to potworny sen...*

*Kapitan Jędrzejowski współczuł Duńczykowi, lecz wchodząc na swój statek, rozważał z melancholią, kiedy i jakie na niego samego spadną sny.*

5.

*Z dnia na dzień „Opole” i „Bielsk” czekały na ładunek orzeszków, lecz daremnie. Władze francuskie wiedziały, że obydwie statki były w matni bez wyjścia: oddalone od morza o sto dwadzieścia kilometrów, na wąskiej rzece, której ujścia strzegła bateria artylerii nadbrzeżnej, poza tym w pobliżu bazy lotnictwa i floty wojennej w Dakarze — nie miały najmniejszych szans ucieczki. Więc władze nie spieszyły się z ich zagarnięciem.*

*Nie spieszyły się jeszcze z innego powodu: okazywało się, że Polacy byli z innej, bardziej wojowniczej gliny aniżeli spokojni Duńczycy. Z Polakami nie było żartów. Chodzili rozdrażnieni o mieście i szukali awantur z „przyjaciółmi Niemców”. Starsi oficerowie z trudem powstrzymywali ich ód bijatyk. Było ich razem sześćdziesięciu, kupa pokaźna. Mieli broń i animusz, podczas gdy oddziałom francuskim brakowało dyscypliny. Władze nie wkraczały. Wolały czekać na dogodną sposobność. Pozornie życie w Kaolaku toczyło się normalnym torem, a przecież obydwie statki nie łudziły się bynajmniej\* że były jak dwie obleżone reduty, dokoła których co dzień coraz szczelniej zacieśniał się pierścień wrogich sił.*

*Któregoś poranku spadła wiadomość, że niemieccy lotnicy przylecieli do Dakaru i tam się zainstalowali. Tego dnia dziwnym zbiegiem okoliczności agent Leblond wypytywał się ostrożnie kapitana Jędrzejowskiego o uzbrojenie statków i o ilość posiadanej amunicji.*

*Bardzo był ciekaw polskiej siły ognia.*

*Pod wieczór, gdy żar dzienny złagodniał, przybył wraz z żoną do portu. Nie wstąpił na statek, lecz przechadzali się wzdłuż przystani. On rozpromieniony,*

*wyświeżony,*

*rozmowny,*

*triumfujący*

*(tak*

*marynarzom w każdym razie się wydawało), ona wykwintna,*

*strzelista, niesłychanie ponętna. Paryż w najlepszym gatunku. Agent*

*pokazywał żonie statki, objaśniał coś, chełpił się i wdzięczył się.*

*Obydwoje kraśnieli od zadowolenia, uśmiechów i jakichś wymyślnych, zagadkowych wzruszeń.*

*Załogi wodziły za nimi podejrzliwym wzrokiem. Agent zachowywał*

*się wyzywająco, jakby statki należały już do niego i jakby czynił z nich*

*prezent swej nadobnej żonie. Marynarze wyczuwali coś bezwstydnego*

*w tym zachowaniu się mężczyzny nadskakującego młodej kobiecie.*

*Samiec był sprośny i obrzydliwy, lecz chuć jego zaraźliwa. Ludzie ze*

*statków podniecali się widokiem kobiety.*

*Tego wieczoru załogi szły na miasto, by pić i szukać przygód.*

*Nosiły w sobie upokarzającą gorycz<sup>^</sup> jak gdyby ktoś nieżyczliwy*

*chciał je publicznie sprzedawać na plugawym targu.*

6.

*W pierwszych dniach lipca Brytyjczycy dokonali niespodziewanego nalotu na Dakar i uszkodzili torpedą leżący w porcie pancernik „Richelieu”. Cała kolonia francuska zatrzęsała się z oburzenia. Żądała represji na Brytyjczykach i ich sojusznikach. Nagle w powietrzu zawisł miecz.*

*Nazajutrz rano kapitan „Bielska” przybył na „Opole”, gdzie odbył z kapitanem Jędrzejowskim i jego oficerami naradę, na której zapadła jednocześnie decyzja ucieczki, i to niezwłocznie następnej nocy.*

*Ustalono dokładnie wszystkie szczegóły. Powstała przy tym myśl przecięcia drutów telefonicznych prowadzących do Dakaru i do ujścia rzeki, lecz porzucono ją: wykonanie jej mogło uwikłać ludzi niepotrzebnie w zbrojny konflikt z władzami. Raczej należało liczyć na nieporządki w kolonii i na rozprężenie w wojsku — i wyrywać, ile sił. Natomiast postanowiono użyć broni w razie jakichkolwiek wrogich kroków, grożących zatrzymaniem statków.*

*Gdy po południu poinformowano załogi o powziętym planie, wszyscy jak jeden mąż przyjęli wiadomość z zapalem. Nikt nie protestował i nikt się nie wahał. Wszystkich, oficerów i marynarzy, przenikał jeden duch.*

*Tymczasem niepokojące chmury jakby już nadciągały - szybko i groźnie. Agent Leblond zaprosił kapitanów do siebie na obiad na następny dzień. Zaproszenie brzmiało złowroźnie i budziło domysły, że*

*władze uknuły już ostateczny cios.*

*Ażeby zmylić jego czujność, większość załóg udała się tego wieczoru na miasto, jedni na przechadzkę, inni do kawiarni. W Café Saloum starszy oficer „Bielska” Chodźko spotkał jednego z duńskich oficerów, swego dobrego znajomego, który zapytał go zniecacka.*

*— Podobno przygotowujecie się do ucieczki?... Chodźko struchlał, lecz nie stracił panowania nad sobą:*

*— Skąd to panu wpadło do głowy?*

*— Widziałem dziś u was więcej dymu z komina...*

*— Wydawało się panu... To chyba z kuchni... — i Chodźko zaprosił go na szklankę wina.*

*Duńczyk nie był w przyjacielskim nastroju i śledził podejrzliwie twarz Polaka, lecz widocznie nic nie zauważył. Już nie wracał do tego tematu.*

*Dobrze świadczyło o dyscyplinie marynarzy, że żaden z nich tego wieczoru nie puścił pary z gęby. Blisko pięćdziesięciu było ich na lądzie, w nieludzkim naprężeniu czekających na wypadki, jakie miały rozegrać się za kilka godzin. Niektórzy nawet porządnie zaproszyli sobie głowy winem, lecz nikt nie stracił nerwów, przeciwnie, wszyscy świetnie zachowywali pozory beztrioski. Był to spisek klasyczny.*

*Około północy, po zamknięciu lokali, marynarze wracali na statki.*

*Jak zwykle: jedni cicho i spokojnie, inni buńczucznie i zaczepnie, jeszcze inni rozśpiewani. Wrzeszczeli o milej dziewczynie: „Madelon, Madelon!” i jak zawsze budzili w porcie czarnych żołnierzy*

*drzemiących na posterunkach.*

*Na długo przed godziną czwartą rano wachtowi budzili ludzi. Była wciąż jeszcze czarna noc, bezksiężycową, lecz gwiaździsta. Od rzeki szedł cichy bulgot prądu porywistego w czasie odpływu morza.*

*Kotły stały już pod pełną parą.*

*W porcie nikt obcy nie czuwał. Wszystkie warty spały snem sprawiedliwych (jakkolwiek nie obowiązkowych). Również statek duński tonął w zupełnym bezruchu i tylko słychać było żołnierzy chrapiących na jego pokładzie.*

*Odcumowanie od brzegu nie sprawiało trudności. Z wieczora poprzekładano liny w ten sposób, że można je było teraz zdjąć łatwo, nie schodząc wcale na ląd. Jedyne trudności, mogąca pokrzyżować wszystkie plany i zniweczyć wszystkie nadzieje, tkwiła gdzie indziej: w kotwicach.*

*Poprzednio, przybijając do przystani, statki rzuciły na rzekę kotwice. Należało je teraz wybrać, i to jedynie za pomocą windy parowej. Winda na statku wyglądała zawsze jak zawile narzędzie tortur, wprawiona w ruch, wydobywa z siebie piekielne hałasy: są to zgrzyty, syki i huki.*

*Zgrzyty, syki i huki rozległy się teraz w nocy i chociaż przerywano je co kilka sekund, wydawało się marynarzom, że zbudzić powinny nie tylko port, ale i miasto całe. Jakoś nie budziły. Praca szła im okrutnie mozolnie, ale szła: Po ćwierć metra, po pół metra wyciągali łańcuchy z wody. Potem zaczajali się wsluchani w przestrzeń, gdzie spali*

*wartownicy. I znów od nowa wyciągali, i znów bum! bum! bum! bum!  
wstrząsające do szpiku kości. A w tym dręczącym znoju przyszli im w  
pomoc nieoczekiwani sojusznicy, o których nikt by przedtem nie myślał:  
świerszcze.*

*W Koalaku plaga owadów przechodziła ludzkie pojęcie. Miliony  
much zawładnęły statkami; czarne ich warstwy obsiadały jedzenie,  
setki wpadały do talerzy. Karaluchy, olbrzymie i natrętne, nadżerały  
ubrania. Głodne komary napastowały drapieżnymi obłokami.*

*Niebywała rojność owadów w Kaolaku doprowadzała ludzi do  
rozpaczy, lecz teraz w nocy marynarze byli jej radzi: dziesiątki  
świerszczy rozdzierało świstem powietrze i wyprawiało w porcie tak  
hałaśliwą muzykę, jakby chodziło im o uczciwe stłumienie wszystkich  
innych odgłosów.*

*Nagle, w połowie wybierania łańcuchów kotwicznych, marynarze  
znieruchomieli jak posągi i zatamowali oddechy. Z pobliskiej budki  
wartowniczej wyszedł jeden z żołnierzy. Rozglądał się zaspanym  
wzrokiem. Kiedy już zdawało się, że lada chwila wszystko odkryje,  
nastąpiło odprężenie w sposób nie pozbawiony komizmu: żołnierz  
przycupnął, by spełnić przyziemną potrzebę. Następnie pomruczał coś  
do siebie, ziewnął głośno i wrócił do budki.*

*W chwilę później znowu ktoś zbudził się, tym razem na rufie  
duńskiego statku, i bacznie spoglądał na dziób „Bielska”. Być może, że  
zauważył coś niezwykłego. Dumął dłuższą chwilę, lecz potem głowa jego  
opadła i chęć spania zagłuszyła wszystkie podejrzenia. Człowiek położył*



*się do snu. Minęło i to niebezpieczeństwo.*

*Tuż przed godziną piątą wschodni kraniec nieba nabierał szarości.*

*Nareszcie, nareszcie kotwice wychyliły się z wody. Nie-dostrzeżenie  
wpierw, cichuteńko zaczęły kręcić się śruby. Jama między statkiem a  
nadbrzeżem rozwierała się powoli. Już miała metr, już dwa metry, pięć.*

*Działa się rzecz nieprawdopodobna: było już osiem metrów.*

*Serca chciały wyskoczyć z piersi, radość zapierała słowa. Oto jeden  
statek, piękny, i drugi statek, wspaniały, odbijały cichcem od brzegu i  
nabierały od nowa życia. Wysuwały się z ramion nieżycziwego portu i  
nikt tego nie widział, ani port, ani miasto. Złe ramiona, chciwe i  
omroczone, wciąż spały.*

*Na środku rzeki statki zaczęły nabierać rozpędu. Niebo na wschodzie  
jaśniało. Farwater był bardzo wąski i wyteżonym wzrokiem należało  
wypatrywać go między bojkami. Śruby pracowały już normalnym  
biegiem. Z prądem statki szybko rwały naprzód. Na czoło wysunął się  
„Bielsk”, gdyż miał na pokładzie Mulata-pilota. Pod groźbą rewolweru  
zmuszono go do prowadzenia.*

*Gdy pierwsze promienie słońca padały na ziemię, marynarze już z  
kilku mil odległości rzucali ostatnie spojrzenia na Kaolak. Jasne,  
różowe słońce złociło miasto, lecz w ich świadomości miasto pozostało  
na zawsze drapieżne i nikczemne, posępne i zatrute.*

## 8.

*Maszyniści, palacze i trymerzy pokazali tego dnia, że umieją dokonywać cudów. Śruby wirowały jak szalone, szybkość statków z normalnych 9 i pół węzła podnosiła się do 12 i 13 węzłów. Kotły były bliskie eksplozji. Nigdy przedtem i nigdy potem „Opole” i „Bielsk” nie osiągnęły nawet w przybliżeniu tej szybkości, jakby wiedząc, że w tej chwili walczyły o sprawę życia. Były to wyścigi zawrotne i sunące poprzez płaskie, zalewne niziny, statki wyglądały z daleka jak dwie opętane furie, wrywające ku morzu.*

*Tak nizały się minuty na kwadrans, kwadrans na godziny. W dwie godziny po ucieczce z Kaolaku mijano wielką plantację orzeszków ziemnych, lecz chociaż miała telefon, mieszkańcy jej nic jeszcze nie wiedzieli.*

*Pęd statków, silny powiew wiatru i bojowy nastrój ogarniający marynarzy, działały jak krzepiąca pieśń. Ludziom śmiały się oczy.*

*Wiara w powodzenie była niezłomna. Wprawdzie wiedziano, że u ujścia rzeki czeka ich najgorsza chwila, jednak już teraz wszyscy odczuwali prawdziwą ulgę. Widzieli niemal plastycznie, jak wrogie pazury, jeden po drugim, odpadały od statków, zmuszone puszczać łup.*

*Wiedzieli także inne rzeczy. Ktoś odkrył z radosnym okrzykiem:*

*— Muchy! Gdzie muchy?!...*

*Much na statku było coraz mniej. Nie znosiły ruchu. Porywał je prąd wiatru. Przykra dotychczas plaga ginęła w oczach jak kamfora.*

— *Odchodzą od nas kłopoty — żartowano.*

*Krótko przed południem statki zbliżały się do miejscowości*

*Fundium, gdzie był urząd celny i gdzie spodziewano się oporu.*

*Zarządzono alarm bojowy. Marynarze w stalowych hełmach zajęli*

*stanowiska*

*przy*

*czterocalowym*

*dziale*

*i*

*trzech*

*karabinach*

*maszynowych na „Bielsku”, a na „Opolu” przy jednym kaemie.*

*Okazało się, że Fundium było już zaalarmowane. Na brzeg wyległa*

*masa urzędników i żołnierzy, na rzekę wypłynęła motorówka z dwoma*

*białymi i z kilkoma czarnymi żołnierzami. Ci, podpływając pod „Bielsk”,*

*zaczęli krzyczeć i dawać gwałtowne znaki, by statki się zatrzymały.*

*Statki nie zatrzymały się i prudy dalej jak szalone. Przy broni,*

*zwróconej w stronę lądu i motorówki, marynarze zajmowali groźną*

*postawę. Gotowi byli każdej chwili za lada prowokację otworzyć ogień.*

*Ich stalowe hełmy miały wojowniczą wymowę.*

*Tymczasem ludzie na motorówce darli się wniebogłosy, ludzie na*

*brzegu zaczęli również wrzeszczeć. Wymachiwali frenetycznie wielką*

*jak żagiel banderą francuską i jeden z nich, kierownik urzędu celnego,*

*w imieniu Francji żądał piorunującym głosem zatrzymania się statków.*

*Czarni żołnierze na szczęście nie oddali strzału i ta ich*

*powściągliwość ratowała sytuację. Za to tym bardziej krzyczeli. W ogóle brzeg przypominał trochę scenę jakiejś bohaterskiej opery. Był tam patos i pompa, były wielkie gesty i wybuchy gniewu, i spazmy.*

*Były również i aktorki. Kilka białych kobiet wychylało się z okien budynku i one — o przyjemne dziwo! -w przeciwieństwie do mężczyzn, nie były wrogie Polakom: przyjaźnie powiewały ku statkom chustkami, kaskami, czymkolwiek bądź. Ten i ów z „Bielska” odpowiadał im szarmancko.*

*Statki mijaly Fundium. Gdy ujrzał to czarny chorąży, popadł w rozpacz i ni stąd, ni zowąd rzucił dramatycznym gestem banderę na ziemię. Tego nie wytrzymał na „Bielsku” Mulat-pilot, obywatel Dakaru, wielbiciel kolaboracjonisty marszałka Petaina. Porwał go ogólny nastrój egzaltacji.*

*— Biedna, biedna Francjo! — zawył z wysokości mostku potężnym basem. — O, marszałku, jak nas poniewierają, ciebie, Francję i mnie! Po chwili, obrzucając „Bielsk” spojrzeniem pełnym oskarżenia, jak gdyby statek był temu winien, dodał ponuro i wzniosie:*

*— La France est morte!...*

*Jak słuchy niosą, podobno z taką konkluzją nie zgadzał się drugi oficer „Bielska”, Mrozowski, który w dowód protestu udzielił pilotowi tego szturchańca.*

*Pilot od razu oprzytomniał i stracił patos.*

*— Pardon! Francja żyje! — przeprosił i już nadal prowadził statek*

*sumiennie, bez uniesień.*

*Pozostało jeszcze najniebezpieczniejsze miejsce, w godzinę jazdy poniżej Fundium, ujście rzeki, gdzie rzekomo była ukryta bateria artylerii. Lecz bateria milczała. Nikt z brzegu nie strzelał. Być może, że dotarli tu z Fundium wyolbrzymione meldunki o uzbrojeniu zuchwałych desperatów. Raczej jednak tłumaczyć to sobie wypadało ogólnym chaosem i rozluźnieniem karności we francuskiej kolonii. Gdy statki wyszły wreszcie na pełne morze, morze było czyste — Dakar nie wysłał żadnego okrętu ani bombowca.*

*Od nowa owiała ich mocna, słona bryza. Piersi, jakby uwolnione od ciężaru, nabierały wiatru głębokim, pełnym oddechem.*

*— Patrz! — zawołał wzruszony kucharz „Opola” do stewarda. -Patrz na naszą banderę!*

*Bandera rozpięła się szeroko w bryzie i furkotała znów z radosną zapalczywością. Po dwóch tygodniach ciszy ożyła z nieprzewartą siłą.*

*— Dobry znak! — osądził steward. — Pies im mordę... — Urwał.*

*Opamiętał się. Nie przystało używać takich słów.*

*Gdy statki zwracały się na południe, ku angielskiej kolonii, historia ich żywota była bogatsza o doniosły czyn: garstka marynarzy ocaliła od zagłady skrawek niepodległego terytorium polskiego, którego w owych ciężkich dniach pozostało tak mało, które przecież wtedy było tak niepomernie drogie i tak cenne.*

9.

*W Bathurst, porcie brytyjskiej kolonii Gambii, przywitano ich ze zdumieniem i nieledwie z wrogą podejrzliwością. Ucieczka obydwóch statków z głębi kolonii francuskiej nie mogła pomieścić się w tamtejszych umysłach, tym bardziej, że z kilkunastu brytyjskich statków, będących w podobnych tarapatach w Dakarze, żaden nie zdołał uciec.*

*Gdy w kilka dni później „Opole” i „Bielsk” zawitały do Freetown i kapitan Jędrzejowski zameldował się w Naval Control Office, ten sam wyższy oficer, który miesiąc temu udzielał mu moralnych nauczek, przywitał go z niewyraźną miną.*

*Well, well — rzekł na wstępie, jakby tłumacząc się -w ciągu ostatniego miesiąca sytuacja wielce się zmieniła.*

*Kapitan Jędrzejowski nie mógł powstrzymać się od małej złośliwości:*

*— Absolutnie się nie zmieniła!*

*- I beg your pardon?*

*— Brytyjskie statki, wysłane bez obawy, jak pan twierdził, do Dakaru, niezmiennie tam pozostają...*

*Brytyjski oficer przygryzł wargi.*

*Wiceadmirał D'O.L., głównodowodzący na Atlantyku południowym, człowiek zarówno rozumny, jak sprawiedliwy, nie ukrywał zachwytu: był to już czwarty i piąty polski statek, który w ostatnich dwóch*

*tygodniach wyrwał się na wolność z portów francuskich w Afryce.*

*Admirał cenił wysoko nie tylko morską sprawność, lecz i niezwykłą determinację, jaką wyróżniali się w akcji polscy marynarze, wyróżniali się nawet — nie omieszkiał tego podkreślić brytyjski admirał — nawet spośród marynarzy o starszej tradycji żeglarskiej i o większym, zdawałoby się, doświadczeniu morskim.*

### **ROCH PŁATA FIGLE**

*Był to chyba dość znamienity objaw, że w naszej flocie handlowej najpopularniejszą figurą nie był żaden oficer ani kapitan, ani nawet dyrektor linii, lecz prosty, zwykły sobie palacz. Nazywał się Roch i płatał figle. Płatał figle wesole i ponure, szkodliwe i pożyteczne, dowcipne i brutalne, a często takie, od których krew się ścinała i skóra cierpła. Marynarze go prosili, by zaprzestał figli. Marynarze, tracąc czasem cierpliwość, społem sprawiali mu lanie: wszystko daremnie. Rocha figlomania była jak uporczywa choroba, jak przymus psychiczny. Roch musiał płatać figle bezustannie i zapamiętane, a gdy na którymś statku nie mógł dać folgi swej namiętności, puszczał statek w trąbę i szedł na inny.*

*— Stuknięty w łepetynę! Wariat! — mówili o nim z pogardą ci, którzy lubili wypowiadać pochopne sądy. Roch bezsprzecznie był dziwakiem, ale jego dziwactwo nie wykluczało na przykład ważkiego faktu, że Roch zaliczał się równocześnie do najlepszych palaczy polskiej floty. Na jego wachcie statek zużywał najmniej węgla, a przy tym miał pełno pary i mało dymu. Gdy inni, zatraceni lajzerzy-łaziki, zawodzili, Roch umiał*

*pracować za dwóch i trzech. Upiwszy się marynarskim zwyczajem, też czasem zawodził, lecz wielu mechaników uznawało w pełni jego pracę, a niektórzy kapitanowie nie wstydzili się mówić o Rochu z serdecznością.*

*Więc wariat?*

*Roch był barokowy: wysoki, barczysty, powolny. Posiadał wielką krzepę fizyczną i lubił terroryzować słabszych od siebie.*

*Lecz napotkawszy na energiczny opór, cofał się, nieledwie tchórzyl.*

*Towarzyszy z załogi traktował z pobłażliwą wyższością, przełożonych swych — jak równych sobie. Był przy tym. ogromnie bezczelny, nie*

*uznawał żadnych konwenansów ani hierarchii i do kapitanów często*

*walił: ty. Na statku zachowywał się, jakby był jego możliwym*

*właścicielem, i nie ulegało kwestii, że na statkach, na których*

*przebywał Roch, były dwa autorytety: kapitana i Rocha. Autorytet*

*Rocha nie zasadał się na wyższej inteligencji czy dowcipie. Po prostu*

*działał terrorem. Roch mówił mrożąco spokojnym głosem i z*

*niewzruszoną twarzą -Roch nigdy nie podnosił głosu, nigdy się nie*

*śmiał, rzadko się uśmiechał, i to półgębkiem — Roch mówił do*

*marynarza, który mu się czymś naraził:*

*— Czekaajta, czekaajta, zrobię ci figielka!...*

*I marynarz mógł być pewny, że figielek przyprawi go o nie lada*

*kłopot i o ból głowy.*

*Roch spędził wiele lat w Legii Cudzoziemskiej i tym częściowo może*

*tłumaczy się jego usposobienie. W Legii przechodził podobno krzyż i*

*mękę, która skończyła się, gdy pewnego dnia, jak twierdził, zastrzelił*



*przełożonego oficera. Związał wtedy do ■ portu Casablanca i zastał tam gdański statek, którego niemiecka załoga za cenę francuskiego karabinu (gdańszczanie widać lubili skupywać broń) przewiozła go na Bałtyk. Tu Roch stanął w obliczu rozmachu Gdyni, stwierdził, że jest imponujący i że warto w nim wziąć udział: został palaczem na polskim statku.*

*Ze swego pobytu w Afryce Roch lubił opowiadać kolegom w kubryku jakąś straszliwą historię z granatem ręcznym, który dla figla rzucił między Murzynów, robiąc z nich krwawą maź. W tę makabrę, oczywistą bzdurę, nikt nie chciał wierzyć i temu pewnie należy przypisać, że stał się dla figlarza natrętnym kompleksem: Roch odtąd figle swe łączył często z materiałami wybuchowymi.*

*Tak więc, ażeby przekonać niedowiarków o swym figlu, wrzucił ukradkiem na „Dorocie”, rybackim statku dalekich połowów, paczkę naboju rewolwerowych do rury rozpalonego pieca, przy którym siedziało kilku marynarzy. Sam też siadł. Piecyk od wybuchu rozleciał się na kawały, nikomu na szczęście nie wyrządzając krzywdy, i tylko ucierpiał sam psotnik: marynarze zbili go na kwaśne jabłko.*

*Roch przyjął pranie jak dopust Boży z godnym stoicyzmem, bo niewiele mógł się bronić wobec przewagi sił, i potem siadając spokojnie przy rozwalonym piecyku, rzekł melancholijnie: -1 rzucaj tu figle przed wieprze!*

*Roch był niezłym psychologiem i znalazł się na kruczkach psychicznego gwałcenia. Kiedyś zgwałcił w Gdyni samego Jacynicza, dyrektora*

*największej polskiej linii okrętowej, miejscowego Boga i możnowładcę, do którego żaden marynarz ponoć nie miał osobistego dostępu. I Roch nie dostąpił, lecz będąc wtedy na biczu, bez zajęcia, co dzień rano stawał przed drzwiami Jacynicza, i gdy dyrektor przechodził do swego biura, potężne drabisko o nieruchomej, zagadkowej twarzy wlepiało w niego uporczywie ślepią i grzecznie, choć przeszywająco donośnym głosem, witało:*

*— Dzień dobry, panie komandorze-dyrektorze! I nic więcej.*

*Na trzeci dzień Jacynicz go zauważył, na czwarty dzień, wchodząc do gmachu, już o nim myślał na schodach, na piąty dzień zniecierpliwiony tudzież nieco zaniepokojony dyrektor telefonował o wypadku do swego inspektora załogowego:*

*— Niech go pan mi natychmiast bierze na statek, byleby daleko z moich oczu!...*

*I Roch, nie pisnąwszy ani słowa prośby, dostał zajęcie, trudne wówczas do osiągnięcia nawet dla marynarzy uprzywilejowanych.*

*Roch pił, ale lubił pracować. „Gdy inni, pijani, nie przychodzili do pracy, Rosio potrafił pracować czterdzieści osiem godzin, wprawdzie nie bardzo trzeźwy, ale wszystko, co trzeba było zrobić, robił” — brzmiał wyjątek z raportu S/S „Lidia”. Ociągających się palaczy poganiał do pracy bezwzględny terrorem, lecz czasem zdobywał się na dziwne a niespodziewane pomysły.*

*Gdy razu pewnego statek „Pułaski” był w Dakarze, Murzyni, bunkrujący węgiel, leniwie się ruszali i woleli leżeć w bunkrach, niż*

*pracować. Białych przełożonych wcale nie słuchali. A praca była pilna. Wtedy Roch posmarował się na czarno, z majtek obwiązał sobie turban dokoła głowy i z tupetem wpadł między próżniaków. Zaczął komenderować nimi gardłowym głosem, jak gdyby jakimś obcym narzęciem murzyńskim. Robotnicy jak oczarowani zerwali się do pracy, którą niebawem ukończyli. Tylko dziwili się, co to za nieznany szczep, i zachodzili w głowę, jaki to dziwny język.*

*— Język i szczep samego Rocha! — odchrapywał im Roch przez nos, co Murzyni przyjmowali z nabożną pochwałą, proponując mu, by został ich kierownikiem.*

*Na to Roch wydmął wargi i odpowiedział:*

*— Nie dla takiego psa polska kielbasa!...*

*Roch miał w Gdyni żonę, zacności kobietę o świętej cierpliwości.*

*Razu pewnego posmarował rocznego ich synka od stóp do głowy masłem, rozpruł pierzynę, wytarzał dziecko w pierzu i całe oblepione puchem podał żonie. Powiedział:*

*— Teraz masz aniołka!*

*Kiedyś żona suszyła mu głowę, by przywiózł jej z zagranicy jedwabne pończochy, tak jak to inni marynarze przywozili swym żonom po kryjomu wszelką ponętą kontrabandę. Roch skwasił się na twarzy.*

*— Jo ci mówię, lepiej nie! Od tego ból głowy!... — ostrzegał połowicę, lecz ona się upierała.*

*Więc Roch wyszedł na miasto, wstąpił na gdański urząd celny i będąc tam znany, zadenuncjował swe własne mieszkanie o*

*kontrabandę. Powiedział mianowicie, że tam się znajdują zakazane towary zagraniczne. Gdy wieczorem wrócił do domu, podniecona żona przywitała go:*

*— Miałeś rację! Lepiej nic nie przywoź! Była tu ostra rewizja! Aż mnie cały dzień głowa boli!*

*Kapitanowie lubili Rocha dlatego, że jak mało kto inny dbał o dobro statku, zwłaszcza wtedy, gdy zachodziły wyjątkowe, a wesołe okoliczności.*

*Oto na S/S „Katowice” był pies czarno-biały, który w jakimś angielskim porcie uciekł na ląd i przepadł. Lecz wciąż figurował na liście celnej „Katowic”, i gdy w innym porcie urzędnik od cła zażądał widzenia owego psa czarno-białego, statek znalazł się w kłopotcie.*

*Angielski urząd celny nie znał w takich wypadkach żartów i nakładał poważne kary.*

*— Piesek jest w kabinie! — cyganil steward upartemu celnikowi.*

*— Proszę otworzyć kabinę!*

*— Człowiek z kluczem wyszedł na miasto!...*

*Celnik chwilę nasłuchiwał przez drzwi, pełen podejrzenia i wątpliwości:*

*— Ale pies nie szczeka? -Bo niemowa...*

*Wtem sytuację uratował Roch, który na szczęście, nie spostrzeżony przez celnika, przyniósł z miasta psisko. Całkiem obce, ale czarno-białe.*

*Gdy inni marynarze nie wiedzieli, jak wybrnąć z ambarasu, Roch od razu poszedł po rozum do głowy i pobiegł na miasto. Spotkał na ulicy*

*czarno-białego i porwał go. Więc teraz niósł oburącz z triumfem ciężką zdobycz — kundel był słuszny niczym wyrośnięty baran — i cieszył się, że psisko oblizywało mu całą twarz w jakiejś naglej a osobliwej przyjaźni. Celnikowi oświadczone, że to ten pies.*

*— All right! — rzekł celnik z ulgą.*

*Na innym statku podczas wojny kapitan był w kłopotcie, gdyż zwiął mu kucharz w przeddzień wyjścia statku na morze, a innego nie można było dostać w całym porcie. Roch, widząc zafrasowaną minę kapitana, zagadnął go swym zwykłym sposobem:*

*— Panie komendant! Pan stary wariot, ja stary wariot!*

*— Czego chcecie? — odburknął kapitan. — Przecież kucharza nie mam...*

*-Jo się postaram!*

*W porcie Roch wyszukał obcy, wielki statek, zaznajomił się z jego kucharzem, wypił z nim na lądzie butelkę whisky, potem zaprosił go do siebie na pokład, na przyjaźń wypili jeszcze dwie butle, a gdy kucharz legł nieprzytomny, Roch zamknął go w swej kabinie.*

*Nazajutrz, już po opuszczeniu portu, kapitan chodził po mostku jak zły buhaj. Wtem ujrzał Rocha, taszczącego na plecach obcego człeka: nieprzytomnego wciąż jeszcze kucharza. Roch rzucił łup pod nogi kapitana i odsapnął z zadowoleniem, mówiąc: |— No, stary, nie smuć się teraz!*

*— Kto to jest? — zapytał kapitan.*

*— Nasz nowy kucharz! — Lecz zaraz jakby na usprawiedliwicie Roch*

*dodał płaczącym głosem: — Anglik, cholera! Truć nas*

*będzie. Ale nie było lepszego w całym porcie...*

*Roch słynął z tego, że miał niewzruszoną twarz i równie niewzruszoną wolę, gdy raz sobie coś upatrzył. Myśli swej czepiał się wtedy z maniackim uporem i wykonywał ją, choćby Bóg wie jakie przeszkody stały na drodze.*

*Kiedyś, już w czasie wojny, pływając na jakimś norweskim statku, poprosił kapitana o pięć dolarów zaliczki, a gdy pieniędzy nie dostał, przepowiedział bez uniesienia, że taki skąpy statek wnet zginie.*

*— Go to heli! — zbeształ go kapitan.*

*— Do piekła pójdziesz ty i twój statek — odpowiedział Roch spokojnie.*

*Dziwny i przypadkowy zbieg okoliczności chciał, że kilka dni później statek rzeczywiście dostał torpedę niedaleko brzegów Anglii i poszedł na dno. Wśród huku i rozgardiaszu katastrofy kapitan, wyrzucony z mostku, wpadł do wody i zachłysznięwszy się, począł tonąć. Roch podpłynął do niego, podtrzymał go i z największą flegmą, jak gdyby to się działo gdzieś w bezpiecznej kabinie lub w biurze linii, powtórzył w wodzie grzecznie swą prośbę o pięć dolarów. Oczywiście bez skutku, a kapitan myślał, że palacz dostał bzika.*

*Lecz palacz nie dostał bzika i wyratował kapitana z wody, a gdy znaleźli się na lądzie, Roch dostał, czego chciał. Razem z wdzięcznym uściskiem dłoni.*

*— Czemu nie zaraz tak?! — rzeki do kapitana z wyrzutem.*

*-Oszczędziłbyś sobie kąpieli, a statek nie poszedłby do piekła,*

*Niewzruszona była również pogoda Rochowego umysłu. Nic nie wytrącało go z równowagi, nic nie mogło rozzłościć.*

*Pewnego dnia Roch zapukał do kabiny kapitana Szworca i nie czekając na wezwanie, wszedł wprowadzając jakąś leciwą damę. Na oświadczenie kapitana, że nie potrzebuje praczki, Roch mruknął pod nosem zagadkowo, że przyda się, i wyszedł z kabiny. Gdy wrócił na kubryk, był z siebie zadowolony. Mówił do marynarzy:*

*— Alem staremu figla zrobił: spróchniałe babsko mu wsadziłem.*

*Kapitan w czas się poznał na kawale i uszminkowanego gościa wyprosił z kabiny, a Rocha kazał wezwać do siebie. Bez wielkich wstępów odwrócił go za bary i kopniakiem wyrzucił z kabiny. Roch niewiele się bronił, jedynie, wycofując się, mówił upominającym głosem:*

*- No, no, stary! Tylko nie barłoczyć!... zaraz widać, żeś pijany!*

*Roch przyszedł do kubryku, obmacał się i stwierdził z uznaniem:*

*— A to mi stary mocno wlepił!...*

*Dla figla Roch gotów był poświęcić wszystko i gdy trzeba było — ze zdumiewającą beztroską igrał z życiem.*

*Przez pewien czas pływał w czasie wojny na coastingu, na angielskim statku, na którym był zwyczaj, że marynarze otrzymywali specjalne strawne, za co w rejsie każdy dla siebie gotowa! pokarm.*

*Niestety, Roch na łódzie wszystkie pieniądze przehulał i gdy wyszli na morze, nie miał co jeść.*

*A nikt z towarzyszy nie chciał z nim się podzielić swą porcją. Roch się rozgniewał, co rzadko mu się zdarzało, i wymyślił figla: wziął z rufy statku dziesięciofuntowy pocisk armatni, wsadził go do garnka z wodą i postawił na piecu w kuchni.*

*— Ugotuję sobie nabój i zjem! — zaciął się z ponurą determinacją-*

*Nie były to czcze żarty i woda z pociskiem zaczęła się zagrzewać. Czy mógł nastąpić wybuch, to jeszcze pytanie. W każdym razie przerażenie padło na załogę i na kapitana i wszyscy nagle się zmienili: szybko dali mu jadła, ile tylko chciał.*

*Chyba najgorszą psotę Roch spletał pewnemu kucharzowi. Pokarm na statku to niesłychanie czuła i ważna rzecz, a ów kucharz był skończonym leniem i zaniedbywał swe obowiązki. Roch ostrzegł go raz i drugi, lecz słowa jego odbijały się jak groch o ścianę. Więc pewnego dnia Roch postanowił dać mu porządną nauczkę. Zaczaił się przy skajlajcie nad kuchnią i gdy kucharz nawinął się na dole, zrzucił na jego głowę, niby lasso, linę z pętlą. Podciągnął i kucharz zawisł jak na szubienicy. Palcami nóg ledwo, ledwo dotykał podłogi. Roch uwiązał u góry linę i tak pozostawiając wiszącego, zeszedł do kubryku do swych towarzyszy.*

*— Figla zrobiłem kucharzowi — rzekł niedbale monotonnym głosem.*

*Po chwili któryś z marynarzy się zainteresował:*

*— Coś mu zrobił?*

*— Powiesiłem go...*

*Zerwali się, skoczyli do kuchni. Struchleli: kucharz wisiał u skajlajtu*



*i ledwo zipał. Odcięli go, lecz pół godziny trwało, zanim go docucili.*

*Statek zasłynął z najlepszego jedzenia.*

*Wybuch wojny zastał Rocha w porcie holenderskim. Pomimo*

*poważnego wieku zgłosił się natychmiast na ochotnika do wojska*

*polskiego. Konsulat, gdzie przeprowadzał wszelkie formalności, posłał*

*go do komisji lekarskiej.*

*— Po co? — zachnął się Roch. — Do wojska poślijta, nie do komisji...*

*Ostatecznie stanął przed lekarzem i cierpliwie znosił jego badanie.*

*Lecz gdy lekarz zaczął obstukiwać jego kolano, Roch nie wytrzymał i*

*zrewanżował się silnym kopnięciem w zad doktora.*

*— Ja lekarz jestem! — zawołał tenże oburzony.*

*— Jo marynarz jestem! — odrzekł Roch nie mniej oburzony i zwinął*

*manatki.*

*Do wojska go nie wzięli, gdyż potrzebniejszy był w marynarce*

*handlowej.*

*Takie figle i setki podobnych Roch platał niemal codziennie. Figle*

*właściwie głupie, płytkie, sowizdrzalskie i często bez dowcipu. A jednak*

*było w nich coś, nad czym nie można przejść bez zadumy; było w nich*

*odbicie jakiejś zdecydowanie silnej a osobliwej struktury mentalnej.*

*Rocha porównać można do niezwyklego kamienia, zawadzającego na*

*ruchliwej drodze i przykuwającego uwagę ludzi. Nie dość, że kamień był*

*sam w sobie niezwykle, lecz w przemożny sposób oddziaływał na tok*

*myśli owych przechodniów. Roch stanowił jakby cząstkę naszej historii*

*morskiej.*

*Był może nawet czymś więcej: jakby zarodkiem legendy. Przecież Roch tłukł się bezustannie w setkach marynarskich opowieści i żył dobitnie w wyobraźni naszych kubryków i mess, pokładów i mostków. Tak chyba leżały się wszystkie morskie legendy, wielkie i małe. Zapewne wyda się to rzeczą upokarzającą i nieco wstydliwą, żeby tylko takie, wypaczone i sowizdrzalskie, miały być początki jednej z naszych morskich legend, lecz cóż na to poradzić?*

*Nasze pierwsze kroki na morzu, wiadomo, pozostawiały wiele do życzenia. Dużo zgrzytów i fermentów, ludzie popełniali wiele błędów i nadużyć. Czy Roch nie był czasem swoistym pretekstem zdrowego instynktu przeciw tej niedoskonaliej rzeczywistości?*

*Czyż w zapamiętanej naiwności jego figli nie tkwił może bezwiedny bunt zranionego sumienia zbiorowości i dlatego właśnie Roch cieszył się takim rozgłosem wśród marynarzy? Jedna rzecz jest pewna: podczas gdy ci, którzy tak łatwo nazywali go wariatem, często nie umieli poradzić sobie z prostym dniem życia, szarpali sobie dusze i łamali charaktery— Roch stworzył dla siebie dziwny, mocny świat, otoczył go obronną palisadą figli i spoza niej jak z warownej fortecy patrzył na*

*życie.*

*S/S „BIELSK” — STATEK Z CHARAKTEREM*

1.

*W dawnych czasach (lecz znów nie tak bardzo dawnych) statki posiadały duszę. Były to dla marynarzy wyraźne osobowości, nie mniej żywe niż inne żywe istoty, tylko że osobowości potężne. Również i sami marynarze byli wtedy pełniejszymi ludźmi, o wybujalej wyobraźni, o nieporównanych cnotach i potwornych wadach, byli ludźmi zdolnymi do żarliwej wiary lub straszliwego przekleństwa.*

*Wiek dziewiętnasty odebrał marynarzom wiarę, statkom duszę.*

*Żelazo, para i elektryczność, które tyle dobra wyświadczyły ludzkości, w niektórych dziedzinach poczyniły nie lada spustoszenie. Stłumiły rozmach marynarzy, zgasiły barwę mórz, wyjałowiły statki. Tym zdzieraniem romantycznego uroku ludzkość nie tylko wyrządziła krzywdę rzeczom i żywiołom, lecz krzywdziła i siebie samą. Morzu nie można odbierać czasu, jak kwiatom nie powinno się odbierać zapachu. Toteż gdy pod koniec owego dziewiętnastego wieku pojawił się wielki pisarz i żeglarz, Słowianin, oddający morzu od nowa odwieczną jego duszę, jakby zapomnianą przez ludzi, Józef Conrad (Korzeniowski), stał się jakby objawieniem i uwierzył mu cały świat, a szczególnie świat angielskich marynarzy. „Ironia losu, że to Polakowi było dane wytłumaczyć Anglikom morze”, pisał o nim wytrawny znawca spraw morskich, Geoffrey Rawson, w swym epokowym dziele *Ships and Seamen*:*

2.

*Jeśli więc dopuścić zuchwałe przypuszczenie, że statki mają duszę i nie są martwą jedynie konstrukcją żelazną, to dziwne dzieje S/S „Bielska” mogłyby nastroić okazji do różnych ciekawych domysłów. I jeżeli przyjąć, że statek jest żywą istotą o wrażliwej, kapryśnej i przekornej duszy, to statek ów musiałby zachowywać się właśnie tak, jak zachowywał się „Bielsk” w ciągu całego dziewięcioletniego swego życia.*

*Był to udany ze wszech miar parowiec — około tysiąca pięciuset ton — pasażersko-towarowy, zbudowany przez stocznnię duńską według planów polskich i spuszczonej na wodę w roku 1932. Przeznaczony na półroczne rejsy bałtyckie, gdzie zimą morze często zamarza, „Bielsk” miał kadłub łamacza lodu i sylwetką swą nasuwał na myśl bizona o tęgiej piersi, przebijającego się wśród gęstwiny kry. Doskonale i niezawodne maszyny mogły wyciągnąć szybkość dwunastu węzłów, co później przydało się niezłe w krytycznych chwilach jego żywota.*

*Wszystkie urządzenia statku były celowe i wyśmienite: prawdziwi marynarze, którzy na nim pływali, nigdy nie szczędzili mu ciepłych słów uznania. Równie mile wspominali go pasażerowie owych kilku kabin, cóż, kiedy pasażerów nie było wielu. Były nawet czarne rejsy, gdy pasażerów nie było wcale: stronili od statku jak od złego ognia, unikali go jak czarta.*

*Duńczycy to naród uczciwy, lecz konserwatywny i nieufny wobec*

*nowatorstwa. W czasach gdy budowano „Bielsk”, nie dowierzano jeszcze Polakom jako marynarzom. Zapewne podczas budowy statku ściany jego musiały nasłuchiwać się niejednej ciętej kpiny pod adresem jego przyszłych marynarzy, nasiąkając fluidem złego przeczucia i zgryźliwych uprzedzeń.*

*Statki często bywały w opozycji wobec człowieka, lecz rzadko w dziejach żeglugi walkę tę można było obserwować tak wyraziście i śledzić tak dokładnie, jak w uderzających perypetiach „Bielska”. W tym wzajemnym ścieraniu się sił — tu statku, tam kapitana — człowiek musiał bezustannie i od nowa składać dowody swej wartości. „Bielsk” z nielitościwą konsekwencją kreślił diagramy ludzkich losów i słabych kapitanów niszczył, dzielnych uznawał, mocnych się bał.*

*Statek, który w roku 1932 rozpoczął swoją karierę wpływając do portu w Gdyni, miał w sobie coś z bystrego wierzchowca: był wnikliwym psychologiem i nieubłaganym złościkiem w stosunku do tych, co na niego wchodził.*

### 3.

*W owych latach Polska niewielu miała własnych marynarzy i często musiała sięgać do ludzkiej spuścizny po swych byłych zaborcach lub korzystać z usług Polaków wychowanych w obcych marynarkach.*

*Chociaż taki kapitan M. Był Rosjaninem. W okresie pierwszej wojny światowej służył jako oficer w rosyjskiej marynarce wojennej. Po Rewolucji 1917 roku wyemigrował do Polski.*

*Gdy powstały załóżki polskiej żeglugi handlowej, M. zgłosił się około 1927 roku do współpracy i przyjęty, rozpoczął ją jako drugi oficer na jednym z towarowych statków. „Odznaczał się męską postawą, typowo morską, był człowiekiem kulturalnym i towarzysko obytym”, brzmiała opinia bliskich mu ludzi. M. szybko awansował i już w rok później dowodził jako kapitan jednym z polskich statków na Bałtyku.*

*Niewątpliwie fakt szybkiego awansu, uderzające przymioty duszy i ciała i zapewne trochę i tego, że pochodził z Rosji — to wszystko musiało wzbudzać u niektórych złośliwych kolegów niechlubną zazdrość, a gdy M. miał pecha i zdarzyły mu się podczas rej sów dwa niemiłe wypadki, złościcy starali się go oczernić i przypiąć mu niejedną łatkę.*

*Jeszcze wiele lat później, już podczas drugiej wojny światowej, oszczerstwa przeciw niemu nie ustawały i w kubrykach oraz w messach statków obnoszono go na językach: więc że na przykład swym niezwykłym wdziękiem umiał podbijać w równej mierze fordanserki w „Adrii”, jak armatorów polskich; że stugębna plotka łączyła jego*

*nazwisko z brzydką przygodą jakiegoś statku w Zatoce Botnickiej, po której to przygodzie M jak niepyszny osiadł na lądzie; że w ogóle był to człowiek niewysłowienie miękki i chwiejny, ale że dzięki wrodzonej gładkości umiał zawsze wkradać się w zaufanie armatorów, którzy nawet aferę botnicką puścili mu płazem.*

*Były to zwykłe potwarze złośników, poprzekręcane fakty. M. nie był ani miękki, ani chwiejny, a w Zatoce Botnickiej nie z jego winy zatonął statek: oficer nawigacyjny, zmyliwszy kurs, chciał na własną rękę, nie budząc ze snu kapitana M., wycofać statek z niebezpiecznego miejsca i rozbił go o skałę. Wina była jego, nie kapitana. Więc M. po tej katastrofie bynajmniej nie „osiadł jak niepyszny na lądzie”, lecz dalej z powodzeniem pływał na polskich statkach.*

*A potem przyszedł S/S „Bielsk”. Statek, który już z wyglądu przypominał postać groźnego bizona o potężnej piersi. Dopiero co spuszczonego w duńskiej stoczni na wodę i powierzono jego kierownictwo kapitanowi M. S/S „Bielsk” czynił wrażenie tura, rozjuszonego podczas rui, jak gdyby podjudzonego szyderstwem duńskich robotników, jak gdyby rozzłoszczonego na kapitana, o którym krążyło tyle sprzecznych a zgryźliwych pogłosek: podłoże konfliktu było gotowe.*

*W kilka tygodni później „Bielsk”, idąc swym normalnym rejsem Gdynia — Helsinki, znalazł się na wodach fińskich. Między Tallinnem a Hankö panowała silna śnieżycą z wichurą. W tych fatalnych warunkach klimatycznych trasa wśród scherów fińskich była*



*szczególnie zdradliwa i niebezpieczna. Nastąpiła noc z 31 marca na 1 kwietnia 1932. Kry lodowe zmuszały statek do wymijania, nie można było utrzymać go na kursie.*

*W tych trudnych okolicznościach kapitan M. mógł być rzucić kotwicę i przeczekać. Ale przeważało w nim poczucie obowiązku, M. chciał punktualnie dobić do portu. Nie dobił. Statek wpadł na skałę i byłby zatonał, gdyby nie ugrzązł na kamieniach.*

*Kapitan M. chwalebnie spełnił swój obowiązek do końca: przy pomocy zaimprovizowanej kolejki linowej spuścił na ląd wszystkich pasażerów i większość załogi, sam zaś pozostał na posterunku na zanurzonej do połowy statku wraz z drugim oficerem i trzema marynarzami, dopóki nie przyszła odsiecz. M. okazał żelazny hart ducha, ale przewrotny statek okazał się silniejszy i złośnik dopiął swego: ubezpieczalni i Żegludze Polskiej spłatał diabelnego figla prima aprilisowego.*

*Ludzie z załogi twierdzili, że w czasie wypadku słyszeli w olinowaniu wśród poświstu wichru wyraźne chichoty i urągliwe okrzyki duńskie. Co do kapitana M., to pomimo tej awarii pływał on później na statkach i cieszył się zaufaniem. W czasie wojny zapisał chlubną kartę swego życia i chociaż był Rosjaninem, brał czynny udział w polskim ruchu oporu. Pobyt w hitlerowskich obozach koncentracyjnych zrujnował jego zdrowie i M. krótko po wojnie zmarł.*

4.

*Drugi kapitan „Bielska”, Z., był rzucającym się w oczy przeciwieństwem pierwszego. Niski, krępy, żywy, głośny, szorstki, muskularny — typ męsko brzydkiego boksera o wklęsniętym nosie. Na widok jego fizycznej siły mówiło się o nim: chodząca energia.*

*Tego dał Polsce drugi były zabór, zachodni. Jakkolwiek Zrodził się Polakiem, wszystko, czym był i co posiadał, zawdzięczał Niemcom.*

*Pływał w niemieckiej flocie handlowej jako marynarz, gdy Anglicy w czasie pierwszej wojny światowej wzięli go do niewoli i umieścili na wyspie Man. Tam przeszedł kurs nawigacyjny. Po wojnie pływał nadal na niemieckich statkach, najpierw jako marynarz, potem jako bosman. Później uzyskał dyplom porucznika żeglugi wielkiej. Służąc wciąż Niemcom, awansował jako oficer na statkach linii Hamburg — Ameryka, a w roku 1928 złożył u nich egzamin na kapitana żeglugi wielkiej. W dwa lata później przybył do Polski.*

*Przybył w aureoli zagranicznej służby, tryskającej pewnością siebie i niemieckiego dyplomu, więc przyjęto go w Gdyni z otwartymi ramionami. Powierzono mu funkcję pierwszego oficera na statku pasażerskim i przyrzeczono szybkie awanse. Uznanie i zaszczyty stały przed nim otworem, lecz niestety, któregoś dnia w tym locie wżwyż coś nagle a obmierzle zgrzytnęło: gdy Z. zastępował raz kapitana na jednym z rejsów między Gdynią a Ameryką, pech kazał mu posadzić statek paskudnie na mieliźnie w pobliżu Kopenhagi. Ów zgrzyt zwichnął*

*mu karierę, wysadzając i jego, Z., z kolei na mieliznę.*

*Z. odkrywał dopiero przy bliższym poznaniu swe braki. Okazało się że matka-przyroda obdarzyła go co prawda imponującą krzepą w muskułach i zadzierzystem wyglądem, lecz poskapiła mu oleju w głowie. Po prostu zewnętrznym znamionom tężyzny nie odpowiadał mózg. Gdynia w owe czasy wzięła ten mózg na języki i tak z niego sobie dworowała: Z. posadził statek na mieliznie w drodze do Nowego Jorku, gdyż w pewnym miejscu, idąc w kierunku północnym, powinien był wziąć kurs na lewo, czego nie zrobił. Plotka gdyńska wymyśliła, że ów „kurs na lewo” prześladował kapitana Z. jak uparte widmo i gdy statek w drodze powrotnej z Ameryki zbliżył się do tego samego miejsca, idąc tym razem oczywiście w przeciwnym kierunku, południowym, Z., pamiętając poprzednią omyłkę, wziął teraz „kurs na lewo” — i zdziwił się, że znowu wpadł na tę samą mieliznę.*

*Była to naturalnie „lipa”, zmyślona przez jego kolegów, jednak charakteryzująca go niezłe. Co wszakże najbardziej w nim uderzało, to urok, jaki mimo wszystko roztaczał. Jego walory zewnętrzne i fanfaronada nastroszonej siły brały ludzi wciąż na lep, nawet notorycznych lisów.*

*Armatorzy „Bielska” po katastrofie w Zatoce Fińskiej szukali teraz energii, wydajności, męskości, pięści. Wzrok ich padł na szeroką postać Z. Niedługo się zastanawiali i Z. został kapitanem „Bielska”.*

*Ach, nikt wówczas nie przewidywał, ile w tej decyzji było lekkomyślności i wyzwania losu. „Bielsk” był przecież organizmem o*

*nieprześląganey logice, notował z rygorem zegara każdy objaw słabości przeciwnika i działał jak mściwa, drapieżna istota. Brutalna brawura Z., która u Niemców mogła uchodzić za cnotę, wśród Polaków rzucać zasłonę dymną, tu rozwiewała się w nicość.*

*W marcu 1933, akurat w rok po przygodzie na fińskich wodach, „Bielsk” opuszczał ujście rzeki Łaby. Po zdaniu pilota przy latarniowcu Elbe-2 kapitan Z. przeszedł zaraz na lewą stronę farwateru, nie wiadomo dlaczego, gdyż należało kontynuować kurs po prawej stronie. Z morza naprzeciw wchodził właśnie inny statek, który trzymając się swej przepisowej strony, znalazł się w tym samym co „Bielsk” farwaterze. Statki mogły wzajemnie wyminąć się tylko przy zachowaniu największej ostrożności.*

*Lecz w tym krytycznym momencie jak na złość z komina „Bielska” buchnęły znieńacka gęste kłęby dymu i powiały w kierunku zbliżającego się statku, zakrywając jego widok. Niezwykłość tego zjawiska, jak gdyby niemal czarów, zaparła ludziom oddech. Gdy w chwilę później statki się zobaczyły, było za późno: dziób tamtego uderzył w burtę „Bielska” tuż pod mostkiem, na którym stał ogłupiały kapitan Z. Zatrzeszczało, wygięły się płyty burty, porobiły się dziury, wpadła woda do luków. Stocznia w Antwerpii miała przy naprawie huk roboty, a polscy armatorzy mieli huk do zapłacenia.*

*Zdarzenie to, niestety, nie posłużyło ludziom za przestrożę i kapitan Z. pozostał nadal na „Bielsku”. Więc znowu nastąpiła katastrofa i znowu akurat w rok później, w marcu 1934 (wszystkie wypadki statku*

*działy się w marcu, także jego zejście ze świata).*

*Była noc u wybrzeży fińskich, trzaskający mróz. Powierzchnię morza pokrywała gęsta kasza lodowa. „Bielsk” postępował w odległości pół mili za fińskim łamaczem lodu, który prowadził go przez okolicę najeżoną rafami. W pobliżu latarni Grahara łamacz lodu skręcił na lewo, dając o tym dwukrotny sygnał syreną. „Bielsk” z początku prawidłowo dążył za nim w pierwotnym kierunku, lecz nie doszedłszy do miejsca skrętu zboczył przedwcześnie w lewo, jak gdyby chcąc skrócić sobie drogę. Co skłoniło kapitana Z. do tak ryzykownego manewru, nie wiadomo. Zła orientacja? Lekkomysłność? Zanik czujności?*

*Nagle statek zadrżał, podniósł się nieco i zatrzymał. Włazł na podwodną skałę. Rozdarł sobie dno i wnet w maszynowni pojawiła się woda szybko przybierająca. Pasażerów ratowano do szalup. Po dziesięciu minutach woda sięgała już szczytów maszyn, a statek przechylał się coraz groźniej w prawo i w lewo, wśród zgrzytów i łoskotu. Lecz nie zatonął. Ostał się na skale, z której ściągnęli go później ratownicy. Załodze znowu się zdawało, że słyszy wśród masztów i bomów szydercze parskania duńskie.*

*„Bielsk” ocalał, lecz kapitan Z., pobity teraz na dobre, poszedł w diabły. I poszło moc pieniędzy na ponowną naprawę.*

5.

*Trzecim kapitanem „Bielska” był marynarz, również jak Z.*

*wychowany w marynarce niemieckiej, lecz Polak duszą i ciałem.*

*Kapitan Szworc, ten sam, któremu później, podczas drugiej wojny*

*światowej w pobliżu Islandii tak rzewnie dziękował marynarz chiński.*

*Na długo przed pierwszą wojną światową, bo od roku 1909, pływał*

*Szworc już na statkach handlowych, a w czasie wojny, zaciągnąwszy się*

*do niemieckiej marynarki wojennej, dosłużył się stopnia porucznika.*

*Lecz natychmiast po ukończeniu wojny wrócił do Polski.*

*W roku 1922 przeszedł z polskiej marynarki wojennej do handlowej i*

*został jednym z pierwszych instruktorów-wychowawców na statku*

*szkolnym „Lwów”.*

*Był to marynarz z prawdziwego zdarzenia, oddany zapamiętane*

*morzu, świetny nawigator i niepowszedni znawca maszyn. Twardy*

*wobec siebie, wobec oficerów, wobec marynarzy, nawet wobec statków,*

*przedstawiał wygasający typ dawnych srogich kapitanów. Porywczy,*

*łatwo popadał w gniew. Łączył w sobie chropowatą prawość*

*charakteru i zawziętą energię w wykonywaniu obowiązku.*

*Więc i wobec „Bielska” zabrał się ostro do rzeczy i jakby od razu*

*ukrócił jego swobodę. W tym zetknięciu się dwóch upartych*

*przeciwników człowiek po raz pierwszy okazał swoją przewagę. Statek*

*musiał się zgodzić, że po kilku miesiącach nienagannego pływania*

*ludzie zaczęli mieć do niego zaufanie i jako pasażerowie korzystali*

*coraz częściej z jego usług.*

*Jeśli nadal utrzymać teorię o przekornej jego duszy, to „Bielsk” w owych czasach wił się zapewne w obliczu swej niemocy i rozpaczliwym okiem wypatrywał okazji, by zrobić kapitanowi jakąś dokuczliwą psotę.*

*Zdarzenie*

*w*

*porcie*

*tallińskim*

*◆byłoby*

*takiej*

*postawy*

*charakterystycznym objawem.*

*Przy dobijaniu do przystani w Tallinie „Bielsk” miał zatrzymać się obok trzystutonowego szkunera, leżącego przed nim. Idąc już tylko o własnym rozpędzie wzdłuż mola, zbliżał się powoli do żaglowca.*

*Kapitan Szworc stał na mostku i kierował manewrem. W pewnej chwili,*

*gdy należało zatrzymać statek, posłał przez telegram okrętowy do*

*maszyn znak: „Wstecz”, by dano kontrparę. Lecz wtem mechanizm ni*

*stąd, ni zowąd wypowiedział posłuszeństwo, a sygnał wskazywał wciąż*

*tylko na „Stop”. Kapitan ostro ponowił rozkaz, lecz telegraf uparcie*

*powtórzył*

*swoje*

*„Stop”.*

*Widocznie*

wentyle

od

maszyny

niespodziewanie się zatarły, lecz w tej chwili nikt nie myślał dociekać przyczyn. „Bielsk” z niepowstrzymaną siłą szedł powoli naprzód, by zmiażdżyć szkuner.

Kapitan w mig zorientował się w niebezpieczeństwie i nie tracąc czasu ani głowy, krzyknął do dzioba, by rzucono natychmiast prawą kotwicę, potem lewą, a na ląd dano szpring. Rozkazy wykonano błyskawicznie, i w ten sposób, prawie cudowny, uniknięto katastrofy: statek musiał zastopować, wstrzymany zaledwie o metr przed rufą szkunera.

„Bielsk” uległ swemu pogromcy.

6

Wypadek ów stanowił jak gdyby punkt zwrotny w życiu statku — odtąd człowiek trzymał coraz mocniej w ryzach jego wybujale skłonności. Czasem jeszcze działy się na nim rzeczy niepokojące, jak tragedia chłopca kuchennego, który popełnił samobójstwo, zadźgawszy wprzód kucharza, lecz były to tylko uboczne, ludzkie zdarzenia. Wielka linia życiowa statku ciągnęła się teraz przez morza z niezmqconą i nieprzerwaną płynnością. „Bielsk” dobrze służył.

Nie ulega również wątpliwości, że dostał się teraz w pewne i godne ręce; po energicznym kapitanie Szworcu nastąpiło kolejno po sobie trzech młodych i pełnych zapału dowódców, już wychowanków polskiej



*szkoły morskiej. Również oficerowie i marynarze byli coraz zdolniejsi.*

*Więc „Bielsk” pozbywał się swych złośliwych narowów, jak ktoś, kto wyrasta z młodzieńczych lat nieobliczalnej burzliwości.*

*Nadeszła druga wojna światowa i rzetelna praca u wschodnich wybrzeży Atlantyku, w rejsach między Anglią, Francją a Afryką. W czasie upadku Francji statek znalazł się w opalach i jak kilku innym statkom*

*groziło*

*mu*

*internowanie*

*we*

*francuskim*

*porcie*

*zachodnioafrykańskim. Lecz wtedy już był na dobre sojusznikiem*

*Polaków, wciągniętym całą duszą w ich wysiłek. Nikt nie poznałby*

*dawnego złośliwca: „Bielsk” w tej ciężkiej przeprawie afrykańskiej*

*zachowywał się wyraźnie jak oddany przyjaciel i wierny towarzysz*

*broni. Z jego pomocą marynarze wyrwali się szczęśliwie z groźących im*

*kleszczy.*

*W kilka miesięcy później, w marcu 1941 roku, statek zginął*

*żołnierskim losem. Wychodził w nowy rejs z jednego z południowych*

*portów Anglii. Był sam, bez eskorty, więc kapitan chciał doczekać nocy.*

*Lecz władze portowe zapewniły go, że powietrze i morze są czyste, i*

*polecily mu wyjść przed wieczorem.*

*Musiał usłuchać.*

*Zaledwie cztery mile od portu wachtowy marynarz zameldował zbliżanie się z lewej burty dwóch samolotów. Przez lornetkę stwierdzono, że bliższa maszyna miała na skrzydłach znaki brytyjskie, druga, ścigająca ją, znaki niemieckie. Uciekając, brytyjski samolot pędził wprost w kierunku „Bielska”.*

*Marynarze spodziewali się widoku walki powietrznej, lecz przeraźliwie się zawiedli. Gdy pierwszy samolot, rzekomo swój, zbliżył się do statku na odległość około stu metrów, nagle z jego kadłuba oderwały się trzy podłużne przedmioty. Bomby padły do wody o dwadzieścia metrów od statku i wybuchły, nie wyrządzając szkody. Samolot równocześnie obsypał ogniem z karabinów maszynowych mostek kapitański. Był to, tak samo jak drugi bombowiec, niemiecki dornier, tylko że podstępnie przemalowany.*

*Oficerowie i marynarze doskoczyli do broni. Mieli z każdej strony mostku*

*karabiny*

*maszynowe*

*Hotchkissa,*

*na*

*rufie*

*działo*

*przeciwlotnicze. Zaczęli ostrzeliwać się z karabinów. Gdy nadleciał drugi samolot, także i on, spuszczał dwie bomby, chybił rufy statku o*

*kilka metrów. Wstrząs i fontanna wody wrzucona na pokład ogłuszyła na chwilę ludzi przy działach.*

*Samoloty nie dały za wygraną, zawróciły i niestety, ponownie ich atak był skuteczniejszy. Pierwszy dornier wsadził w jeden z luków „Bielska” dwie bomby, które, przebijając drewniane pokrycie, wybuchły w pustej ładowni.*

*Lecz statek wciąż odgryzał się niczym rozjuszony pies.*

*Prawoburtowy hotchkiss (lewy był już zniszczony) walił gęstym i celnym ogniem. Obsługiwał go trzeci oficer Langa, dobry strzelec i znany przed wojną sportowiec. Musiał dobrze poskubać wroga, gdyż bombowiec odleciał od statku i jak wykazały późniejsze raporty, lądował przymusowo koło Falmouth.*

*Pozostał drugi dornier. Nowy jego atak, dokonany z niewielkiej wysokości, był fatalny. Trzy równoczesne bomby trafiły w „Bielsk” tuż przed mostkiem kapitańskim i wyrwały w burcie potężną dziurę. Woda buchnęła do środka. Była to rana śmiertelna, statek od razu przechylił się na prawo. Kapitan zarządził alarm szalupowy. Działo na rufie dało jeszcze ognia, lecz oczywiście bez skutku.*

*Z jednej strony burty spuszczone szalupę, z drugiej — tratwę.*

*Ratowanie marynarzy odbywało się w spokoju, chociaż pędem.*

*Wszyscy opuścili już statek z wyjątkiem kapitana, który daremnie szukał dokumentów w zburzonej kabinie.*

*Statek przechylał się coraz bardziej i wisiał nad szalupą jak zły los, rzucając na nią ponury cień. Zdawało się, że jeszcze chwila, a pogrzebie*

*ją pod sobą. W tym powolnym przechylaniu się żelaznego olbrzyma nad kruchym życiem ludzkim, zagęszczonym w szalupie, był nieokreślony wyraz drapieżności, jak gdyby w tej ostatniej chwili odżyła dawna wrogość statku*

*do ludzi.*

*do mazi.*

*Kapitan, który jeszcze przebywał na pokładzie szukając papierów, krzyknął do nich na dół, by natychmiast odbijali. Przecięli więc falenie łączące szalupę ze statkiem i odbili. On sam wspiął się na drugą, sterczącą wysoką burtę i stamtąd, z pasem ratunkowym w ręce, ześliznął się do wody.*

*Gdy łódź cokolwiek się oddaliła od statku, nastąpiła nieoczekiwana rzecz, która wprawiała wszystkich a najwyższe zdumienie. Statek doszedł już do tak niskiego stopnia przechyłu, że, przewrócony bokiem, prawie tonął. Lecz naraz przestał się zapadać. Przeciwnie, zaczął się podnosić, prostować i powracać do swej dawnej, normalnej pozycji. W tym nieoczekiwanym ruchu była jakaś tajemnicza wymowa podniecająca ludzką wyobraźnię: niektórym się wydało, że statek, chyląc się przedtem tak groźnie, chciał splatać marynarzom ostatniego figla i przstraszyć ich; inni widzieli w tym jak gdyby przyjacielskie ostrzeżenie statku, by przynaglić rozbitków do ucieczki.*

*Po zupełnym wyprostowaniu się statek zaczął tonąć naprawdę, zapadając w otchłań dziobem naprzód, z rufą wzniesioną wysoko ponad wodą. Tak wsuwał się w swój morski grób nurek pełen tragicznego*

*dostojeństwa. Ostatnia nad powierzchnią wody pozostała rufa.*

*Wsiąkała powoli, jakby niechętnie, jakby z żalem. Potem pozostały z niej już tylko dwa szczyty: bandera i armata. Rzekłbyś, dwóch nierozdzielnych towarzyszy. Gdy po chwili armata schodziła, ginęła jeszcze wolniej niż poprzednio rufa: ginęła jak ktoś bliski i drogi, życiu wyrwany przemocą.*

*W końcu pozostała sama bandera. Plama biało-czerwona sterczała nad wodą dziwnie długo. Marynarze nie mogli oderwać wzroku. Byli wstrząśnięci, ogarnął ich nabożny dreszcz. Kilku przeżegnało się.*

*Zjawisko było aż zbyt wyraźne: tonący „Bielsk” rzucił pozostałym żywym przejmujący znak swoją i ich banderą, zanim zginął zupełnie.*

*Niektórzy marynarze mieli wrażenie, że ktoś błogosławił im na dalszą drogę.*

8.

*Więc pozostaje ważne a niedorzeczne pytanie: czy „Bielsk” posiadał duszę? Niewątpliwie wszystkie opisane zdarzenia na nim były tylko przypadkowym zbiegiem okoliczności i nie trzeba doszukiwać się w nich zwierciadła czegoś, co miałoby źródło i znaczenie inne, przeciwne fizycznym prawom materialnego świata. Więc pozostawmy raczej te wątpliwości na uboczu i stwierdźmy, że wylaniają się z nich dwie niezaprzeczalne prawdy. Dawniej, gdyby to się działo dwa, trzy wieki temu, kiedy marynarze mieli bardziej nieposkromione serca, zuchwałe myśli i zaborczą fantazję, „Bielsk” zyskałby legendę statku o żywej i upartej duszy.*

*Dziś, choćby odebrać mu te przymioty i osadzić go w trzeźwiejszej wodzie, pozostanie jednak zagadkowym statkiem, który lepiej niż powołani do tego ludzie umiał odróżnić marynarskie plewy od zdrowych ziaren. I „Bielsk” nie tylko odróżniał, lecz więcej: plewy zapamiętałe niszczył, ziarnom szczerze sprzyjał i wiernie służył.*

*Był to statek z charakterem.*

**SMAROWNIK ŁOZA CHCE JEŚĆ**

1.

*Rozmowa nasza miała hojny posmak egzotyki. Wiedliśmy ją w samym sercu Nowego Jorku, w ogrodzie Rockefeller Center, w potwornie gorący wieczór lipcowy. Mówił przeważnie kapitan, ja słuchałem. Mówił o Bałtyku. Prawił tak ciekawie i tak obrazowo, że w czeluście otaczających nas drapaczy chmur i w tłum najdziwniejszej międzynarodówki, i nawet w nieznośne gorąco Nowego Jorku wlewały się chłodne fale, nic, tylko fale Bałtyku.*

*Kapitan wskrzeszał niedawną przeszłość i swoją niezwykłą epopeję. Było to wtedy, gdy Niemcy hitlerowskie we wrześniu 1939 obsadziły już Gdynię, a on mimo to wraz z dwoma towarzyszami wyrwał się z kleszczy oprawców na małym żaglowcu sportowym i na przekór zacieklej pogoni i licznym patrolom wymknął się cało do Szwecji: wyraz jeden z tysiąca bodaj czy nie największej duchowej wartości, jaką Polacy wnieśli do tej wojny, wyraz owej nieposkromionej, zapamiętałej, biologicznej żądzy niedania się i niepoddania się.*

*A w niespełna rok później prawie to samo. Był wtedy już kapitanem M/S „Radłowo”. Po upadku Francji władze francuskie w Dakarze zatrzymały jego statek, by go oddać Niemcom. Znow zryw buntu i zuchwałe zrzuć więzów. „Radłowo” którejs nocy podniosło kotwicę z dakarskiej redy i przez szczelne, jak przypuszczały władze portowe, sieci żelazne wyrwało się z niewoli na otwarte morze, by odtąd już bez przerwy służyć sprawie sojuszników.*

*Była to jedna z tych osobliwych rozmów, w których myśl staje się kształtem, a najbliższe otoczenie zapada w bezosobową mgłę. Znikł mi z oczu Nowy Jork i Rockefeller Center, zacierały się nawet rysy opowiadającego kapitana, wyrósł natomiast przed nami nieugięty, żywotny statek. O błyszczących konturach i śmiałym obliczu. Wojnę ówczesną cechowało niezmierne bogactwo symboli. Symbolem również był ów statek. Wśród najbardziej ludzkich, codziennych spraw działał na nim rzeczy pełne wzniosłości.*

*Był więc na „Radłowie” kucharz Ignas, trochę stuknięty w tył głowy (jak mi ongiś mówił o tym Kaszub Elfenbein), bo dostał kiedyś przed wojną od narzeczonej z Polski przykry list, po którym zgłupiał. Był na statku ulubieniec jego, piesek Musztarda, który na lądzie już chodzić nie umiał tylko na pokładzie. Był niecnota steward, za plecami kapitana wykradający żywność na szkodę załogi. I bosman cholera, goniący załogę jak pies do pracy. I był kapitan, ów żeglarz z Gdyni a bohater z Dakaru, o którego klóciła się załoga, gdyż jedni widzieli w nim tylko tyrana, inni — przyjaciela i dobroczyńcę.*

*Ludzki, zwykły rozgardiasz małych kłopotów i śmiesznośc, lecz z tego gwaru i chaosu wylaniał się nieustepliwy jak skała, niepokonany duch statku. Była w nim siła uporu na miarę olbrzymów i nieustanna chęć trwania, i była niespożyta, czerstwa wiara w przyszłość. Tradycja morska, więcej, znacznie więcej: tradycja całego narodu natchnęła tu pływającą stal, która nie myślała się poddać wrogim wichrom. Morze było tu tylko cokołem, rejsy w służbie sojuszników tylko tłem, istotną*



*rzeczą zaś była pochodnia wypadła ze zgrabiących rąk tam w kraju, a tu przez statek podjęta, twardo trzymana, zuchwale pchnięta w szeroki świat na dowód niezniszczalności pewnych walorów drogich Polakom.*

*Na odwód ciągłości ich istnienia.*

*Naraz w toku rozmowy z kapitanem ogarnęła mnie paląca tęsknota za tym statkiem. Już dawno miałem w planie odbycie na nim rejsu, lecz nigdy tak bardzo nie pragnąłem być w jego pobliżu, na jego pokładzie i pod jego wpływem.*

*— Gdzie będzie „Radiowo” za jakie trzy miesiące? — spytałem kapitana.*

*Kapitan uśmiechnął się:*

*— Mars, Neptun i Eol mogliby chyba dokładniej odpowiedzieć. Ja tylko przypuszczam: u ujścia Amazonki.*

*— Zgoda, będę czekał na statek u ujścia Amazonki!...*

2.

*Nie doczekałem się. W dwa miesiące po tej rozmowie nastąpiła katastrofa. M/S „Radiowo” zginęło, storpedowane na Morzu Karaibskim, o dzień drogi od Trynidadu.*

*Była to wtedy najpodlejsza dla żeglugi okolica Atlantyku, gdzie liczne hordy niemieckich okrętów podwodnych dokładały wszelkiej zawziętości, by sparaliżować linię komunikacyjną między Stanami Zjednoczonymi a Afryką. Więc działy się wśród Wysp Antylskich nieopisane tragedie marynarskie. Walka toczyła się niemal na noże, była bezlitosna, a obrona trudna. „Radłowo” szło samo, bez konwoju. Dzień jaśniał pogodny, słoneczny. Było pięć minut do południa. Torpeda przyszła znienacka, rozpruła prawą burtę w śródokręciu, wybuchła w maszynowni. Prawa szalupa rozpadła się na drzazgi, statek od razu przechylił się w lewo. Trzech ludzi zabiło na miejscu, dwóch maszynistów i trzeciego oficera pokładowego. Reszta, około dwudziestu, ratowała się szybko do pozostałej szalupy. Był gwałt: statek tonął w oczach. Jako ostatni opuścił pokład kapitan. Niektórzy odnieśli rany. Kapitanowi ciekła krew z głowy. Kucharz leżał na dnie szalupy, półprzytomny. Naraz kucharz wzniosł głowę i zacharczał mdlejącym głosem: -Musztarda!... Obok niego podjęto krzyk: — Gdzie Musztarda! Szukać Musztardy! Wszyscy marynarze z nagłą, spazmatyczną porywczością zaczęli szukać psa w gmatwaniu nóg. Nie było psa. Ktoś z dzioba łodzi zawył na alarm, groźnie, jakby chciał*

*rzucić się na swych sąsiadów.*

*— Ratujcie Musztardę!...*

*Łódź nie odbiła jeszcze od burty statku. Palacz Brazylijczyk, który stał na brzegu szalupy, porwał za talię i wspiąwszy się powrócił na pokład „Radłowa”. Gdy w kilka chwil później ukazał się znów przy poręczy, dźwigał pod pachą psa. Rzucił go w dół ludziom na głowy i sam za nim zeskoczył do szalupy. Spadła na wszystkich ulga, podniecenie zelżało. Odbili od tonącego statku. Wiosłowali co sił.*

*I Po kilku metrach krzyknął kapitan, by zatrzymali się i pomimo rany na głowie wyskoczył do wody. Przypomnił sobie, że należy ratować ze statku kasę okrętową. Był tęgim pływakiem, lecz gdy dobijał do burty „Radłowa”, rozległy się z szalupy ostre ostrzeżenia:*

*— Wracać! Wracać!...*

*Nie zdążył wejść na pokład. Statek zanurzał się coraz szybciej. Już dokoła jego kadłuba powstawały niebezpieczne wiry. Były silne i wciągały w głębinę, a pływaka pokryły raz i drugi wodą. Lecz nie dał się. Walka o życie zwielokrotniła jego siły. Wyrwał się z rejonu prądów. Podali mu z szalupy bosak i wyciągnęli z wody.*

*„Radiowo” zatoneło, gdy oddalili się o przeszło sto metrów. Wtedy w pobliżu wynurzył się na powierzchnię morza okręt podwodny. Wyszło na jego pokład kilku ludzi prawie nagich, ubranych tylko w szorty. Byli zarośnięci bujnymi brodami, mieli dziki wygląd i przypominali Germanów z Lasu Teutoburskiego. Dwóch z nich trzymało ręczne karabiny maszynowe, wycelowane w stronę rozbitków. Gdy zbliżyli się*

*na odległość głosu ludzkiego najstarszy z nich, zapewne ich dowódca,*

*zawołał po angielsku do szalupy:*

*— Gdzie kapitan statku?*

*Jakikolwiek opór byłby nedorzecznością i mógł tylko ściągnąć*

*zabójczą salwę na bezbronną załogę.*

*— Jestem! — odpowiedział kapitan bez namysłu.*

*— Czy może pan pływać?*

*— Mogę.*

*— To przy płynąć!*

*Więc kapitan po raz drugi w ciągu dziesięciu minut skoczył do wody.*

*Był to fatalny skok, wiódł do śmierci, a przynajmniej do ponurej*

*niewoli, od której kapitan dwa razy w czasie wojny się ustrzegł. Tym*

*razem zapadł na niego ostateczny wyrok. I jak gdyby sobą wykupił*

*życie załogi. Nieprzyjaciel ognia nie otworzył. Drapieżnik nasycił się tą*

*ofiara. Poszedł z nią pod wodę.*

*Z pięknego motorowca pozostała tylko jedna mizerna szalupa, a w*

*niej dwudziestu rozbitków. Rozpacz była w ich duszach, śmiertelny*

*smutek w ich oczach.*

*W miejscu, w którym zginął statek, pływały na morzu tylko szczątki*

*połamanego drewna: były to jakby szczątki rozbitej pochodni, którą*

*wrzucano do morza.*

*Gdy torpeda dosięgła „Radłowa”, w maszynowni pełnił wachtę*

*smarownik Łoza. Z owej godnej rodziny Łozów z Sierpca w*

*województwie warszawskim, która czterech braci wysłała na tę wojnę,*

*jednego żołnierza i trzech marynarzy, i dwóch z nich już w pierwszym roku straciła.*

*Wybuch torpedy nie zabił Łoży, jak rozplątał stojącego obok niego pierwszego mechanika, lecz zranił go dotkliwie kilkunastoma odłamkami stali. Oślepił go i na pół odurzył. Fala wpadającej wody rzuciła go o ścianę, na szczęście w pobliże trapu. Uchwycił go. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, lecz z wysiłkiem i przerażeniem piął się do góry. Potem skajlajtem wypadł na pokład. Zatoczył się, mając oczy zalane krwią. Ujrzał go drugi mechanik i pomógł mu dostać się do szalupy. Tu Łoza stracił przytomność. Cztery dni i cztery noce tułali się na łodzi po pustym morzu, zanim ich ujrzał statek norweski. Rozbitki przechodzili przez sztormy, wypuszczać musieli dryfkotwicę, z trudem trzymali się na fali. Wciąż zalewała ich woda. I jego.*

*Miał Łoza ciało tak nikczemnie naszpikowane odłamkami torpedy, tak nafaszerowane boleścią, że raczej śmierci bliższy był niż życia. Z licznych jego ran najgorszą okazała się rana na łowią. W lewe oko wpadł kawał żelaza i nie tylko zmienił je w krwawą maź, lecz wlał dalej w głąb, gdzieś pod mózg. Głowa napuchła szpetnie jak dynia, jakby pęknąć miała lada chwila. Była wystawiona na wicher i na słoną wodę; nie mieli czym jej obwiązać. Było coraz gorzej. Wszystko smarownika bolało w chwilach, gdy odzyskiwał przytomność. W dzień żarła go gorączka, w nocy trzęsły nim dreszcze. Dolna szczęka mu obrzękła, bo i brodę przeszły żelazo. Nie mógł połykać śliny, bo gardło nabrzmiało: i w gardle tkwił odłamek.*

*Leżał bezwładnie na dnies łodzi, dokąd przeciekała woda z zewnątrz.*

*Widział, że towarzysze odnosili się doń z litością, lecz byli bezradni.*

*Widział również często ich badawcze spojrzenia i domyślał się*

*przyczyny ich ciekawości: patrzyli, czy jeszcze żyje. Bał się, że rzucą go*

*przez omyłkę do morza w czasie jego nieprzytomności. Strach przed*

*taką śmiercią przeszywał go paniką i był pewnie silniejszy niż*

*prawdziwa śmierć grożąca mu bezustannie od rany w głowie. Być może,*

*że strach ów trzymał go przy życiu, nie pozwalając przerwać jej wątlej*

*nici.*

*Przeżył. Cztery dni w szalupie, kilkanaście godzin na „Nortegu”.*

*Potem zawitali do Port of Spain. Gdy portowy lekarz, który przybył na*

*redę, zobaczył opęczniełe, okrwawione, rżęzące ciało, nic nie rzekł,*

*tylko smętnie a wymownie pokiwał głową. Kazał je znieść do swojej*

*motorówki. Potem na odchodnym, machnąwszy melancholijnie ręką,*

*oświadczył norweskiemu kapitanowi:*

*— Wyciągnie mi kopyta w drodze do szpitala!...*

4.

*Smarownik Łoza kopyt nie wyciągnął. Lekarz się mylił. Mylili się wszyscy inni lekarze na Trinidadzie, kiwający głowami. Ich złowróżbne machnięcia rąk świadczyły raczej przeciw nim — o ich naiwności — niż przeciw niemu. On podjął opór przeciw ich niewierze, zawziął się przeciw ich wiedzy i wykiwał ich. Ci dobrzy dżentelmeni o skórze białej, brązowej i nieraz czerniawej mieli swe trinidadzkie doświadczenie życia i śmierci. Twardość i trwałość ludzką mierzyli swą własną, trinidadzką miarą. Więc zawyrokowali, że Łoza musi umrzeć. Lecz on ich miary nie uznał. Nie przyjął ich wyroku. On był skądinąd. Jego rodzina inna ziemia, uboższa niż ich tropikalna, ziemia piaszczysta i mazowiecka, lecz przecież w tej biedzie, lecz właśnie w tej biedzie żywotniejsza i uporczywsza, burzliwsza i śmielsza. Taka była jego natura.*

*Był to smarownik czterdziestoletni, który więcej niż pół życia spędził na statkach. Przeważnie polskich, kilku obcych. Pił jak inni marynarze i jak inni lgnął do sipawek w portach, lecz nigdy nie był biczmanem ani kundą, ani łabędziem. Miał swój honor. Był mocniejszy niż inni wyraźnym widzeniem tego, co prawe, co niskie. Jego rejsy po świecie nie były częścią włóczęgą; były raczej wędrówką, były może osobliwym pielgrzymstwem. Nie trwonił w nich sił życiowych, raczej zdobywał je i pomnażał. Singapur czy Colon, Gdynia czy Buenos Aires były dla niego jak wartościowe monety zbierane do zdrowego trzosu. Sosna, poczęta na piaskach mazowieckich, targana szkwalem siedmiu mórz, rozrastała*

*się w duszę spoistą jak dąb i w ciało odporne jak drzewo żelazne.*

*Lekarze na Trynidadzie, zbici z tropu, stanęli w obliczu zagadkowego dla nich fenomenu.*

*Więc gdy Łoza w ciągu kilku godzin nie skonał, postali go do szpitala*

*w San Fernando. Tam prześwietlili go i stwierdzili ponownie, że*

*powinien był umrzeć na pewniaka, gdyż miał kawał żelaza w środku*

*głowy. Obawiając się operować go zwykłym sposobem, spróbowali*

*innego: silnym magnesem zaczęli wywabiać żelazo z głowy. Udało się!*

*Odlamki z triumfem wydobyli na wierzch. Że Łoza przy tym nie umarł,*

*wprawilo ich w podziw jeszcze większy niż ich triumf.*

*Potem resztki oka wydlubali, jamę wyczyścili. A Łoza żył. W*

*międzyczasie wyjęli mu z reszty ciała kilkanaście odłamków.*

*Żył na dobre. Teraz zaczęli patrzeć na niego życzliwiej niż przedtem,*

*z zadowoleniem i nawet z rosnącą sympatią. Jeśli kiwali głowami, to już*

*inaczej — z uznaniem.*

*Lecz prawdziwy popłoch powstał w szpitalu na czwarty dzień po*

*operacji oka. Jak szpital szpitalem, nie było jeszcze tak dziwnego*

*przypadku. Lekarze oniemieli, pielęgniarki potraciły głowy. Ludzkie*

*pojęcie się skończyło.*

*Łoza, jak każdy pacjent tuż po ciężkiej operacji, dostawał bardzo*

*lekki pokarm: rano dwa kawałki chleba prawie bez masła i cup of*

*coffee, na obiad odrobinę, pozał się Boże, ryżu z plasterkiem mięsa*

*maleńkim jak „zegarek na rękę”, na kolację znów suchawy chleb. Przez*

*trzy dni smarownik znosił to cierpienie jak dopust Boży (za jakie*



*grzechy? — pytał się w duchu), lecz w miarę jak wyjaśniało mu się w głowie po operacji, serce wypełniał jeden, coraz głębszy żal: poczucie doznawanej krzywdy. Każdy marynarz wie, co to dobra strawa; więc obolałą głowę smarownika zaczęła gnębić myśl, że robią z nim tutaj na Trinidadzie jakiś kant, że chcą go zamorzyć głodem.*

*Gdy na czwarty dzień rano pielęgniarka przyniosła zwykłe śniadanie, dwa kawałki chleba, zerwały się w marynarzu tamy cierpliwości. Zaryczał po angielsku jak zraniony lew:*

*-Jeść! Dajcie mi jeść!*

*Przybiegł zdumiony lekarz.*

*— Jeść, psiakrew, mówię!... — krzyczał Łoza rozsierdzony.*

*Lekarz zwrócił mu gniewnie uwagę na to, że pacjent, który zaledwie cztery dni temu prawie konał, powinien być spokojny; lecz na to Łoza obsypał go jeszcze gniewniejszym gradem słów, niemożliwych do druku. Obfite jedzenie zaszkodzi choremu, przedkładał lekarz, lecz Łoza posłał go do wszystkich jasnych piorunów i zażądał żarcia.*

*Smarownik pod bandażami nie mógł się ruszać. Lecz z pozostałego prawego oka buchał taki płomień oburzenia i tyle pasji życiowej, że to lekarza zatkało i niemal przeraziło.*

*Zwołali konsylium. Radzili. Dali mu, czego chciał. Jadł teraz*

*befsztyki. Nie szkodziły mu; przeciwnie. Nabierał szybko zdrowia i sił.*

*Urzeczeni, patrzyli na niego jak na cudo, pielęgniarki -jak na bóstwo.*

*Jakaś starsza Angielka mu się oświadczyła. On jadł jajecznicę, on*

*wcinał befsztyki, on żarł wszystko i coraz lepiej się miał. Wygrał jakąś*

*niezwykłą sprawę.*

*W cztery tygodnie później polski statek, na którym jechałem ze Stanów Zjednoczonych do Brazylii, przepłynął szczęśliwie przez strefę niemieckich okrętów podwodnych na Morzu Karaibskim i poprzez cieśninę Boca del Drago wszedł do Port of Spain. W owym czasie Łoza musiał stać się sławny na całym Trinidadzie, bo zaledwie lekarz portowy przybył na nasz statek, zaczął nam dziwy prawić o niepokonanym rozbitku z M/S „Radłowo”. Twarz lekarza zajaśniała nagle od zachwyty, gdy mówił o niepojętej żywotności smarownika Łozy.*

*— Trumnę już dla niego gotowaliśmy — śmiał się lekarz — a on tymczasem na czwarty dzień po operacji chciał lanie sprawić lekarzowi naczelnemu!...*

*Wtedy to ogarnęły mnie ciche wątpliwości, czy pochodnia, której ciągłość uosabiało przedtem „Radiowo”, naprawdę zginęła wraz ze statkiem: a nuż przejęły ją inne, nieszczęłe dłonie, i pochodnia przeszła w nieposkromione, krynqbrne ręce polskiego smarownika?*

5.

*Jak sięga pamięć jego przyjaciół, odznaczał on się zawsze wybitną, uczynną koleżeńskością. Nie było kolegi w biedzie, któremu nie pomógłby ochoczo, bez namysłu, skoro tylko sam miał na to.*

*Przeważnie miał, gdyż był pracowity, i chociaż lubił sobie popić, wiele zarabiał. W pracy był „honorowy”, jak mawiali o nim, i rzucał posadę, gdy mu się coś nie podobało na statku.*

*Nie podobało mu się szorstkie nieraz obchodzenie z marynarzami.*

*Łoza miał silnie wyrobione poczucie ludzkiej godności i gdy ją deptano, nie godził się, zżymał i domagał sprawiedliwości. Miał odwagę mówienia głośno tego, co myślał. Wiadomo, że gdy powstaje wielki port, więcej w nim jest drapieżnych wilków i szakali niż gołębi i aniołów. Więc smarownik Łoza, właśnie dlatego, że tak prawdomówny i odważny, nie miał w Gdyni łatwego chleba i nie był zbyt dobrze zapisany u góry.*

*Gdy go osobiście poznałem, opuścił już szpital i mieszkając jako rekonwalescent w hotelu „Paris” w Port of Spain, mógł swobodnie chodzić po mieście. Wtedy statek mój leżał na redzie przez kilka tygodni, więc widywałem się z nim często i poznawałem go coraz lepiej. Wart był poznania. Był to człowiek o wyraźnym charakterze i niewątpliwym wdzięku.*

*Obok siebie miał stale kanadyjskiego marynarza, który postradał zupełnie wzrok i nie mógł się ruszać bez opieki. Nieszczęsna ta ofiara*

*wojny przyłgnęła do smarownika jak dziecko do matki. Łoza prowadził go wszędzie za rękę i załatwiał za niego formalności z brytyjskimi władzami. Była w tej trosce wzruszająca i podniosła nuta: jednooki inwalida, cudzoziemiec, Polak, sam w niedoli, z nie zaleczonymi wciąż ranami, opiekował się biedniejszym od siebie kolegą, Kanadyjczykiem, i stawał w jego obronie — wobec kogo? — wobec władz brytyjskich.*

*Typowy Łoza.*

*Lecz chociaż jeszcze nie wyleczony, już niecierpliwą myślą wybiegał naprzód. Snuł plany, miał już perspektywy. Trinidadzki kapitanat portu zaofiarował mu posadę na korzystnych warunkach. Miał sposobność wybicia się. Nie skorzystał. Postanowił wpierw jechać do Nowego Jorku, by mu wstawili sztuczne oko.*

*Uderzała w rym podłamanym fizycznie człowieku jakaś pełna werwy wiara w przyszłość. Zamysły jego pulsowały zdrowym zapalem, szła od nich podbijająca śmiałość i ufność.*

6.

*Pewnego dnia zapytałem go, jak sobie wyobraża po wojnie swój powrót do Polski i w jakiej dziedzinie chciałby tam pracować. Czy w marynarce? Niewinne to pytanie jak gdyby nagle dotknęło w nim bolesnych strun. Twarz jego ściągnął wyraz goryczy, oko błysnęło niemalże wrogo.*

*— Nie wiem! Nie wiem!... — mruknął przez zaciśnięte zęby i nerwowym tykiem wychylił całe podwójne whisky. Siedzieliśmy w barze hotelu „Paris”. Zapanowało między nami ciężkie milczenie. Widać Łoza nosił wewnątrz siebie jeszcze inne rany niż zadane niemiecką torpedą.*

*Wnet ochłonął. Potem opowiadał mi jedno z wielu swoich przeżyć marynarskich. Na pewnym statku polskim był kapitan raptus i gwałtownik. Kiedyś zbił kucharza, bo mu źle gotował jedzenie. Nawiasem mówiąc, wypadki bicia zachodziły częściej na obcych statkach niż na polskich. Łoza, pływający na tym samym statku, wstawił się energicznie za pobitym i nagle kapitan, który właściwie był niezłym człowiekiem, zmiękł. Rzekł do Łozy: „Czy napijecie się ze mną?” „Czemu nie? Ale razem z kucharzem!” odpowiedział smarownik i sprawa na statku ucichła.*

*Nie na lądzie. Pobity kucharz poszedł do biura linii z prośbą o przeniesienie go na inny statek. Tu dwóch dyrektorów wpadło na niego „z pyskiem”. Łoza, który przypadkiem był obecny w biurze, oznajmił, że*

*może świadczyć w sprawie kucharza. „Nie wtrącać się do nie swoich rzeczy!” fuknięto na niego.*

*„Przepraszam...” obruszył się urażony. Jednego z dyrektorów chwyciła nagle wściekłość i huknął na Łozę: „Pan jest skończony gnój, a nie marynarz!” „To pan się przedstawia!” odkrzyknął Łoza. Kucharz przeszedł na inną linię okrętową.*

*Gdy słuchałem tego opowiadania, mniej zajmowała moją uwagę jego treść, na pewno nie przesadzona, natomiast odkrywałem z osłupieniem bezmiar goryczy, przenikający duszę smarownika. Był on przepojony trucizną, która sączyła się w nim z dawnych mrocznych, przedwojennych czasów i zasłaniała mu na przyszłość wzrok, ów biedny, jednooki wzrok. Zdjęła mnie litość, lecz zarazem ogarnęła jakaś rozpaczliwa pasja.*

*-I dlatego nie chcecie wrócić do kraju?! — krzyknąłem.*

*— Tak, dlatego! — odkrzyknął nagle zaperzony, zaciętrzewiony.*

*— Głupstwo! Jeden czy drugi skurczybyk nie może zamykać drogi powrotnej! — wrzasnąłem.*

*— Nie może?! — odwrzasnął. — Czy taki jeden nie ma tysiąca rąk, którymi nadal dusić będzie innych ludzi, po wojnie?!...*

*Naraz umilkliśmy. Sąsiedzi w barze zaczęli na nas spoglądać.*

*Opanowaliśmy uniesienie.*

*— Tysiąc rąk to mazurska przesada! — rzekłem po chwili spokojniej, pojednawczym głosem, z uśmiechem.*

*On również się uśmiechnął i wróciła znów zgoda.*

*Siedzieliśmy nadal przy stoliku, otoczeni marynarzami wielu narodów i wszystkich niemal ras — ot, wysepka polska w tym obcym morzu. Jakkolwiek obustronne zacietrizewienie się rozwiało, diabeł pod spokojną powierzchnią nie spał i coś Łozę jeszcze nurtowało. Po chwili odezwał się głosem łagodnym, niby znużonym, a przecież z lekka drżącym pod wpływem jakiegoś hamowanego wzruszenia, odezwał się jakby do siebie i sobie zadając pytanie:*

*— Ach, te skurczybyki! Czy wojna ich czego nauczy? Czy dalej będą chcieli nas dusić? Czy wrócą znowu na swe tłuste stanowiska?*

*— Choćby chcieli — odrzekłem — ludzie dotychczas duszeni będą mędrsi po wojnie, nie dadzą się już dusić, w tym rzecz!*

*— Będą mędrsi? — Zwrócił na mnie oko z przebłyskiem, w którym nie mogłem odgadnąć, co się kryło: drwina czy nadzieja.*

*— Wierzę, że będą mędrsi — odparłem ostrożnie.*

*— Wierzycie... — powtórzył przedrzeźniająco i wparł we mnie badawczy wzrok.*

*Po chwili podjął z żalem w głosie, z niewiarą, ale jakby skrycie pragnąc, ażeby mu zaprzeczył:*

*— Czy nie będą już wyrzucali na zbity pysk? Nie będą pomiatali jak bydłem? Za byle słuszne odezwanie się nie wyrzucą na bicz?...*

*— Wierzę, że nie.*

*— Nie będą nas gonili policjanci, otaczali nas szpicle?*

*— Wierzę, że nie.*

*— W więzieniach nie będą nas bili?*

— *Chyba nie.*

*-1 pozwolą ludziom gadać od serca, choćby to nie było sprawiedliwe gadanie? Nie wpakują za to do ciupy?*

— *Wierzę, że pozwolą swobodnie gadać i nie wpakują... Łoza syknął zniecierpliwiony:*

— *Gadacie jednym ciągiem wierzę i wierzę i nic, jeno wierzę, jakbyście panie pisarzu, bali się przyznać, że nie wiecie wcale, jak to będzie po wojnie!*

— *Bo nie wiem na pewno, tylko wierzę...*

*Przyznanie się do tego wywołało u Łozy nieoczekiwany odruch: uścisnął mi serdecznie dłoń.*

— *To uczciwe gadanie!* — *rzekł z uznaniem, rozjaśniając twarz przyjaźnie. — Gdybyście prawili, że wszystko już dokładnie wiecie, jak to będzie, to ani słowa bym wam nie wierzył!...*

*Spotykaliśmy się często, przeważnie przy szklaneczce whisky.*

*Lubiliśmy rozmawiać ze sobą i raz po raz przewracaliśmy świat do góry nogami. Szanowałem jego kompleks obolałej przeszłości i nigdy nieopatrnie go nie dotykałem. Miał Łoza wewnętrzne rany, lecz ponieważ był zdrową z gruntu naturą, dostrzegał je i czuł ich szkodliwą obcość. Widać było, że starał sieje przewyciężyć. Był pełen wątpliwości i zmagañ, i walki, którą ze sobą samym toczył. W tym okresie potrzebne mu były nasze wspólne rozmowy, proste, lecz zarazem tak bardzo ludzkie.*

*Co prawda nie mogłem mu wiele pomóc, bo była to rzecz bardzo*



*osobista, wyłącznie jego własna. Niełatwo pozbyć się zawziętości tak głęboko zakorzenionych. Lecz on zaczął ich się pozbywać. Był to mocny typ o niewyczerpanych zasobach wewnętrznego zdrowia. W miarę jak zarastały jego cielesne rany, wygładzała się i krzepła jego dusza. Jego wiara w sprawiedliwość, którą dawniej nieuczciwi ludzie tak brutalnie deptali, zaczęła znów kielkować i zapuszczać coraz głębsze korzenie. Nawet zdawało się, jak gdyby po tragicznych przejściach na statku i zajrzeniu śmierci w oczy smarownik nabierał większej niż poprzednio siły i rozpędu życiowego i na nieugiętych stawał nogach. Nie ulegało już chyba wątpliwości: niezniszczalną pochodnię M/S „Radłowo” przejął on, smarownik Łoza.*

*Gdy kiedyś, krótko przed naszym wyjściem z Port of Spain, siedziałem w towarzystwie jego i kilku marynarzy z naszego statku, rozmowa zeszła jak zwykle na temat przyszłych zamierzeń. Wówczas odezwał się łagodnym głosem smarownik Łoza:*

*— A ja wrócę do Gdyni. Pracować będę na holowniku...*

*Nikt z obecnych marynarzy nie domyślał się, ile brzemiennej wagi i przebytej walki tkwiło w tych zwykłych, pozornie tak prostych słowach.*

**WSPANIAŁY KAPITAN I NIEZŁOMNY STATEK**

1.

*Kiedyś, było to około roku 1928, „Dar Pomorza”, nasz zacny statek szkolny, zawinął do portu w Hawrze. Gromada młodocianych uczniów poszła do baru i zaczęła pić, jako że każdy z nich czuł się już prawdziwym zejmanem. Wszyscy zalali się w pestkę, śpiewali i szukali, starą, dobrą tradycją, zaczepki. Żądali od obecnych Francuzów, by razem z nimi śpiewali: „Wesoło żeglujemy, wesoło”, a gdy ci ani be, ani me, zaczęło się mordobicie opornych i tłuczenie szkła. Zjawilo się dwóch policjantów, lecz i oni dostali w skórę. Przybył większy oddział policji i wtedy pijane bractwo zatrąbiło na odwrót.*

*Powstała szalona gonitwa wzdłuż hawrskich doków ku „Darowi Pomorza”. Żwawsza, bo trzeźwa, policja doganiała, łapała i tłukła pałkami po młodych łbach.*

*Na przedzie uciekających wrywał Tadeusz Dybek, uczeń o zbawiennych, długich nogach. Lecz gdy posłyszał za sobą krzyk bitych kolegów, zrezygnował z ucieczki i zawrócił. Oddając się sam w ręce policji, żądał kategorycznie, by zaprzestano bicia. Zaprzestano i aresztowanych odprowadzono na komisariat.*

*Tu nastąpiła niespodziewana rzecz. Przestępstwo było ciężkie: burda, wielokrotna cielesna obraza, napad na władzę, wyrządzenie szkód materialnych. Atoli Dybek zabrał głos. Był to chudzielec, długi a cienki, lecz oczy miał pałające. Mówił dziwnie i, wydawało się zupełnie od rzeczy. Mówił o Somosierze; że Polacy walczyli tam dzielnie u boku*

*Napoleona. Płomieniście prawil o francusko-polskim braterstwie broni.*

*Przekonywał z jakąś diabelną przymilnością i wnet przyjaźń dwóch narodów wyrosła w ścianach ponurego komisariatu policyjnego do zagadnienia jedynie ważnego pod słońcem, do potęgi jakiegoś mistycznego dogmatu.*

*Nagle marsowy komisarz, przerywając potok Dybkowych słów, wstał i rzekł do młodych winowajców, nie wiadomo, przekonany czy rozbawiony:*

*— Jesteście wolni! Wynoście mi się na krzywy pysk!*

*Ta to w zwierciadle owych kilkunastu minut objawiły się trzy właściwości charakteru młodego Dybka, które później w jego życiu odegrały tak niepomierłą rolę: odwaga, lojalność wobec bliźniego, przebiegłość. Zdrowa, nieszkodliwa przebiegłość.*

*Owe trzy cechy stworzyły wybitną indywidualność marynarza, który dzięki swym czynom, dokonany w czasie wojny, był nie tylko na ustach wszystkich w naszej marynarce handlowej, lecz nabrał sławy także wśród marynarzy sojusznicznych.*

2.

*W owe dawne czasy, na długo przed drugą wojną światową, komendantem „Daru Pomorza” był komandor Maciejewicz. Któż by nie lubił tego zatraconego nerwusa? Jeszcze po latach jego byli uczniowie życzliwie go wspominali, imitując jego falsetowy głos i opowiadając o nim niestworzone (często raczej stworzone), a zawsze zabawne historie. Polska odziedziczyła go po marynarce rosyjskiej, w której dosłużył się komendanta okrętu podwodnego. Pewnego razu okręt jego poszedł na dno i chociaż nie było tam zbyt głęboko, należało liczyć się z powolną śmiercią całej zamkniętej w nim załogi. Wtedy Maciejewicz wpadł na kapitalny pomysł: ludzi swych Wypuszczał z wyrzutni torpedowej wraz z wielką bańką powietrza. Wyratował wszystkich. Sam był ostatni i każdy, nawet on sam, myślał, że zginie. Nie zginął. Jakimś przemyślnym sposobem również sam sobie wystrzelił w górę do powierzchni morza, by żyć i chodzić w chwale tego czynu. Pomimo swych dziwactw i strzaskanych nerwów Maciejewicz, będąc znamienitym marynarzem, umiał trzymać w ryzach swych uczniów, społeczność najniesforniejszą na siedmiu morzach. Co dzień rano uczniowie odbywali na „Darze Pomorza” ćwiczenia gimnastyczne, polegające między innymi na tym, że musieli przechodzić górą po wszystkich masztach i bramsztagach od dziobu aż do rufy statku. Sprawiało to wrażenie malowniczego napadu korsarzy lub zgoła wędrówki małpiego stada w lesie masztów. Kapitan Maciejewicz, który*

*rano zawsze miewał ataki neurastenii i złego humoru, złościł się przy tym, pomostowa! na uczniów i prawie szalał.*

*Więc pewnego dnia Dybek, chcąc go rozchmurzyć, popełnił dziwną niesubordynację: wziął na siebie czarny surdut bosmański z długimi jaskółkami i tak przystrojony, cudacznie pokraczył się ze swoimi rozległymi odnogami poprzez liny i sztagi. Wypisz, wymaluj: małpa czepiak. Nawet Maciejewicza porwało -a o to właśnie chodziło!'— i udobruchany kapitan zapomniał o swym tradycyjnym gniewie.*

*— E, paczcie! — zaśmiał się nagle, tracąc jak zwykle z rosyjska. —*

*Małpa Dybek!*

*Żakowski kawał? Nie tylko: był to u młodego Dybka odruch ludzkiej, dobroczynnej życzliwości, by rozweselić komandora.*

*Gdy „Dar Pomorza” przechodził równik, urządzono chrzest morski i Dybek był Neptunem. Ujrzawszy Maciejewicza w pobliżu, kazał mu, ni mniej, ni więcej, tylko ot, dla pustej fantazji, zmienić kurs i postawić statek w dryf.*

*— Dybek, zwariowaliście?! — krzyknął komandor.*

*Wtedy Neptun z całym spokojem:*

*— Diabły, weźcie nieposłusznego kapitana! Pachółkowie Neptuna rzeczywiście porwali Maciejewicza*

*i wrzucili go do basenu z wodą. I nie było na to rady; tak pozwalał wesoły obyczaj marynarski.*

*Lecz po ukończonej uroczystości uczeń Dybek zdobył się na charakterystyczny dla niego krok: stanął do raportu i przeprosił swego*

*przełożonego.*

3.

*Wczesne lata Dybka są kluczem do zrozumienia niejednego, co tanie się później. .*

*Dybek pochodził z kaliskiego, owej najszcześniejszej z ziem polskich, która, leżąc na pograniczu dwóch dzielnic, połączyła w sobie waleczność Wielkopolski z polotem Królestwa.*

*Jako chłopiec wchłaniał książki o egzotyce i marzył o wielkich podróżach. Były to marzenia zdrowe i twórcze, które nie przysły z chwilą zetknięcia się z twardą rzeczywistością, jak przyskały u tylu innych ludzi.*

*Więc, by spełnić je, wstąpił po maturze gimnazjalnej w roku 1925 do polskiej marynarki wojennej. Gorzki zawód! Szybko się spostrzegł, że ramy jej były zbyt ciasne dla jego wyobraźni; nie mógł w jej wojskową rutynę wtłoczyć swej bujnej duszy. Był złym uczniem w podchorążówce, a gdy miał kiedyś awanturę z żandarmerią wojskową, dostał dwadzieścia jeden dni aresztu, po czym z marynarki wojennej go wylano — na jego szczęście.*

*Następnie*

*zapisał*

*się*

*na*

*wydział*

*prawny*

*Uniwersytetu*

*Poznańskiego, lecz gdy przeczytał uczone jakieś dzieło profesora*

*Peretiatkowicza, przeraził się: jakże z zawilością prawa połączyć swe  
zmysłowe sny o szerokim świecie? I znów zrozumiał, że to nie bryza na  
jego żagle, i nie dał się zakuć w nie swoim korabiu.*

*Tak stracił dwa lata po maturze. Wkrótce napisał do Szkoły Morskiej  
podanie o przyjęcie go jako ucznia. Został przyjęty i wreszcie wszedł we  
właściwy sobie nurt. W marynarce handlowej znalazł to, co całkowicie  
odpowiadało jego naturze, i odtąd już wiedział, czego chce od życia.*

*Droga mu się wyjaśniła.*

*Zdobywając szybko i gruntownie wiedzę o morzu, rozwija! w sobie  
również i cechę tak rzadko spotykaną na morzach: ludzką dobroć.*

*Stawał się marynarzem z sercem i człowiekiem pogodnym. Nie znosił  
krzywdzenia słabszych; upośledzonych zawsze brał w obronę. Ów rys  
charakteru wypada podkreślić: nieczęsto spotykało się go w naszej  
przedwojennej marynarce handlowej.*

*Gdy po ukończeniu Szkoły Morskiej Dybek jeździł przez kilka  
miesięcy jako instruktor na „Darze Pomorza”, był tam uczniem niejaki  
Nowicki, chłopak trochę niedołączny, fajtlapa. Inni uczniowie zatruwali  
mu życie i płatali okrutne figle.*

*Pewnego razu Nowicki dostał rozkaz, by linę z kotwicą przenieść po  
chwijnym trapie z pokładu na szalupę. Złośliwi koledzy radzili mu, by  
uwiązał się do liny, i głuptas chciał to zrobić. Na szczęście zauważył to w  
czas Dybek i zgromiwszy uczniów, koniec liny umocował do burty*



*statku. Zapobiegł śmiertelnemu wypadkowi, gdyż w istocie Nowicki z trapu wpadł do wody wraz z kotwicą, która, gdyby była do niego uwiązana, wciągnęłaby go na dno. Można powiedzieć, że Dybek spełnił tylko swój obowiązek i nic więcej. Lecz iluż instruktorów w owych czasach postąpiłoby inaczej, właśnie wręcz odwrotnie, zgodnie z błędnym a nagminnym wówczas pojęciem „krzepy”?*

*Typowy Dybek ujawnił się i w innym zdarzeniu. Kiedyś na S/S „Pułaskim” brutalny podochmistrz sprowokował bójkę z podwładnym sobie stewardem i na domiar tak go oskarżył, że stewardowi groziło wydalenie ze służby. Wina podochmistrza była oczywista, a jednak wszyscy jakby sprzysięgli się, by zniszczyć stewarda: nie dopuszczono go do kapitana, najwyższej na miejscu instancji i uniemożliwiono mu własną obronę. Gdy dowiedział się o tym Dybek, wówczas na stanowisku drugiego oficera, sam osobiście zajął się sprawą stewarda i pomógł mu dotrzeć do kapitana. Ściągnął na siebie niechęć całej intendentury, lecz stewarda uratował.*

*Ów uśmiechnięty marynarz o jowialnym wyglądzie umiał, gdy trzeba było, zacisnąwszy zęby narzucić swą wolę i dochodzić swych praw, zwłaszcza gdy chodziło o ludzkie prawa. W owych czasach Dybek pokochał młodą pielęgniarkę na tym samym statku „Pułaski”, na którym był już pierwszym oficerem. Przełożeni jego sądząc, że to przelotne amory, gorszyli się i czynili mu wstręty. Tymczasem nie były to przelotne amory i Dybek, zrażony, machnął ręką na statek, machnął na linię żeglugową, ściągnął dziewczynę na ląd i ożenił się.*

*Tak, przemocą nieledwie, zdobył sobie wymarzoną towarzyszkę,  
małą i nadobną, a dzielną i nieustraszoną żonę, i jeśli nieco później,  
czasu wojennej zawieruchy, kapitan Dybek i statek „Kromań”  
wyłynęli na szerokie wody sławy, to rąbek tej sławy bezsprzecznie  
przypadnie i niezwykłemu stworzeniu o wielkim wdzięku a mężnym  
serduszką, które — na przekór minom, bombom i torpedom i nie mniej  
na przekór dobrym marynarskim obyczajom — nie opuściło męża ani na  
krok, podzieliło z nim na statku wszystkie pogody, przygody i burze i  
było dla „Kromania” jakimś szczególnego rodzaju opiekuńczym aniołem  
stróżem.*

4.

*Nie sposób pochwalić, że „Kromań” był olbrzymem i że to jakieś cudo nowoczesności: statek miał około tysiąca pięciuset ton i uchodził za mocno zestarzały grat. Zbudowany w Anglii w roku 1912, był weteranem z tamtej wojny i od tego czasu służył Anglikom, Szwedom, w końcu Grekom, zanim przeszedł do Polaków. Działo się to tuż przed drugą wojną światową, w czerwcu 1939 roku, kiedy powietrze przesycały złowieszcze prądy, zapowiadające orkan wojenny. Jeżeli Grecy czegoś się pozbywali na morzu, był to znak, że gruchot w ich mniemaniu wkrótce odwali kity i pójdzie na szmelc.*

*Jednak „Kromań” szczęśliwie zawitał do Gdyni i nie odwalił kity.*

*Natomiast dostał się w ręce Tadeusza Dybka, świeżo upieczonego kapitana. Dybek fizycznie dawno już się rozrósł. Długi a cienki młodzian z czasów „Daru Pomorza” stał się postawnym, okazałym mężczyzną, zbrojnym w silne ciało, czerstwą energię i tęgą ambicję. Pełen niespożytej zaborczości i ruchliwego ducha, Dybek zabrał się do statku jak do czegoś, co należy zdobyć, i wlał w niego nowe siły. „Kromań” wnet stracił swój uwiąd starczy i chcąc nie chcąc, musiał nadal żyć. I nie tylko żyć, lecz pożytecznie pracować: statek, nie pierwszy raz w historii mórz, poddał się mocniejszej woli człowieka.*

*Kilka razy „Kromań” zawiózł węgiel do Szwecji, przywiózł rudę do*

*Gdyni. Potem ludzie zaczęli gorączkowo kopać rowy w polskim porcie, inni uciekać w głąb kraju, a wysoko nad wybrzeżem zjawily się*

*metalowe zwiastuny ze swastyką na skrzydłach. Jeszcze bomb i śmierci nie zsyłały, tylko patrzyły chciwym okiem na słoneczny kraj. Port pustoszał. Sprawiało niesamowite wrażenie, gdy wielki port tracił gwałtownie swe tętno. Statki jeden za drugim uchodziły z niego, jak życie z zamierającego ciała. „Kromań” był ostatni. Była to godzina jedenasta. Wyszedł w przeddzień katastrofy.*

*Na morzu spotkała go osobliwa rzecz. Był już niedaleko Szwecji i stanął na rozdrożu: czy pójść na wschodnią część Bałtyku, dokąd miał zawieźć ładunek, czy bez wyraźnych instrukcji udać się na zachód, bliżej wyjścia na bezpieczniejsze, pełne morze. Wojny jeszcze nie było. Wisiała w powietrzu. Statek otrzymywał niezrozumiałe, jakby przez kogoś głuszone depeche. Wtedy kapitan Dybek na własną odpowiedzialność zdecydował się na zachód, kursem na Göteborg. Miał rację: dzień był 31 sierpnia. Słuszność tej samowolnej decyzji miała głębsze, niż się wydawało, znaczenie i wybiła piętno na późniejszych dziejach „Kromania”. Dała początek twórczemu sojuszowi między kapitanem a buńczucznym statkiem, zwarła ich jakby w jeden odporny front. Odtąd nauczyli się, kapitan i statek, sami decydować o swym wojennym losie i przemyślnie unikać raf, a czasem nacierać zuchwale na przeciwności i odnosić zwycięstwa.*

*Gdy następnego dnia rano — był to pierwszy września 1939 roku — „Kromań” szedł już wodami terytorialnymi wzdłuż Szwecji, wyskoczyły na horyzoncie trzy okręty, szybko zbliżające się. Niemiecki krążownik z dwoma*

*kontrtorpedowcami.*

*Podeszły*

*pod*

*„Kromań”*

*blisko,*

*prowokacyjnie blisko, na kilkadziesiąt sążni, i rzuciwszy nań tylko cień,*

*poszły dalej. Wilk, który właśnie zaczął rozrywać bombami i granatami*

*Polskę, tu jeszcze nie śmiał użyć swych kielców. Jeszcze szanował prawo*

*wód terytorialnych.*

*Drapieżne kielce rozwarł nieco później, a tymczasem „Kromań” pruł*

*spiesznie fale i wymykał się z Bałtyku ku swemu przeznaczeniu.*

5.

*Wrzesień i październik 1939 roku były świadkami cichej a rozpaczliwej akcji, pełnej poświęcenia i bohaterstwa: polskie okręty wojenne i statki handlowe wydierały się z zamkniętego niemal Bałtyku na swobodę. Był to początek epopei, gdy sfory nieprzyjacielskich okrętów urządzały na nie zawzięte polowania, zamykając duńskie cieśniny — lecz bez powodzenia: pęd ku wolności polskich marynarzy był. jeszcze bardziej zawzięty i skuteczny.*

*W połowie jesieni wszystkie polskie statki z Bałtyku znalazły się w portach brytyjskich i wkrótce, wchodząc w ramy współpracy z wypróbowaną organizacją brytyjskiej marynarki, podjęły swą normalną działalność. Flota polska, szybko zreorganizowawszy się w Brytanii, weszła niezwłocznie do akcji wojennej. Już wówczas, w początkach 1940 roku, zastynął „Kromań”. Chodził między Anglią a Afryką Zachodnią z węglem w jedną stronę — ze zbożem i z orzeszkami ziemnymi z powrotem. Zastynął z tego, że była na nim mała, nieulekła kobieta i że był to statek ze wszystkich statków najpogodniejszy. Jowialność kapitana Dybka i ludzkie podejście do życia święciły triumfy. Dybek stworzył rodzinny nastrój wśród swych marynarzy. Dla nich „Kromań” był rzeczywiście ich domem, w którym ochoczo się pracowało i w którym przy pracy chętnie się nuciło. Nie było tu zdraśnięć i fermentów, tak często zatruwających żywot na innych statkach, a gdy zbierało się, rzadko zresztą, na jakieś nieuchronne*

*burze, nieraz wkraczała urocza istota stojąca wiernie przy kapitanie i z kobiecym taktem rozpraszała chmury.*

*„Kromań” w owe czasy musiał chodzić samopas, gdyż normalne konwoje były dla niego za szybkie. Z tego powodu nie tracił ducha i znakomicie sobie radził. Był to statek przebiegły i pełen forteli. Był to statek zuchwały i wygrywający bezczelnością: nigdy nie gasił swych świateł, lecz przeciwnie, zapalał ich po nocach jak najwięcej. Był to, jak mawiano, pływający Broadway (marynarze wszystkich języków mają jakiś nieodparty pociąg do pojęcia: Broadway) i niemieckie okręty podwodne, zapaskudzające Zatokę Biskajską, nabierały się wybornie na kawał: myślały, że to statek neutralny.*

*Mniej pokoju „Kromań” zaznawał od swoich. Gdy którejś nocy w marcu 1940 szedł w pełnym przepychu swych świateł wzdłuż brzegów Hiszpanii, trzy pociski padły przed jego dziobem na znak, że ma się zatrzymać. Stanął i wkrótce zamajaczyła w pobliżu zaciemniona sylwetka jakiegoś kontrtorpedowca. Takie spotkania w nocy na morzu były zawsze niemile i nigdy nie wiadzianno, kto się z ciemności wyłoni.*  
*— Co za statek? — pytał się kontrtorpedowiec sygnałami świetlnymi.*

*Lecz kapitan Dybek z tupetem:*

*— A ty co za jeden? — domagał się sam niezbyt skromnie. Na okręcie dłuższe*

*milczenie,*

*jakby*

*przeciwnik*

*oniemiał.*

*Potem*

*już*

*energiczniejszym tonem:*

*— Powiedzieć, jaki statek!*

*Dybek, niewzruszony, przekomarzał się:*

*— Powiedz ty najpierw!*

*Konrtorpedowiec, widocznie nie chcąc tracić czasu, odpowiedział:*

*— Okręt wojenny!*

*— To ja statek handlowy! -Ale jakiej narodowości? Dybek nie*

*spuszczał z tonu:*

*1 — Właśnie: przedstaw ty się najpierw! Konrtorpedowiec dał za*

*wygraną.*

*— Francuski. -To ja polski.*

*Wtedy okręt zażądał, by kapitan Dybek przybył na jego pokład.*

*— Nie mogę! — brzmiała odpowiedź. — Wszystkie szalupy*

*przeciekają. Przyślijcie motorówkę!*

*— Dokąd kurs? -Do Anglii.*

*Okręt, widać, ostatecznie się zadowolił i już więcej wyjaśnień nie*

*żądał od upartego kapitana. Roztopił się w ciemnościach.*

*„Kromań” był statkiem zuchwałym i wygrywał swą zuchwałością.*

*Była to wtedy drôle de guerre i sposoby „Kromania” były dziwne. Statek*

*radził sobie, jak mógł, i radził nieźle. Szczęśliwie przedzierał się przez*

*fale wojny zawsze dobijał cały do portów.*



6.

*Jeżeli kiedyś Conrad powiedział, że statki zawsze mają słuszość, a ludzie nie zawsze, to dziś można powiedzieć więcej: że ludzie morza mają prawie zawsze słuszość, ludzie lądu — nie zawsze.*

*Kryzys ludzi lądu nastąpił w maju i w czerwcu 1940 roku.*

*Katastrofa, która wtedy spadła na Europę zachodnią, była wyraźnie i wyłącznie katastrofą ludzi lądu: ich zmysły zawiodły, ich mózgi nie przejrzały, ich instynkty nie przeczuły. O ileż łatwiej było marynarzowi, który swój prosty kurs życia zamykał w ko-lisku dwóch żywiołów, morza i nieba, i w dłoni dzierzył rzecz, niezawodną, kompas. O ileż trudniej było ludziom na lądzie, wśród tysiąca krętych ścieżek wzajemnie poplątanych, gdzie tak łatwo stracić z oczu nie tylko cel życia, lecz nawet broń chroniącą to życie.*

*Ludzie lądu to może: Polak, który nie umiał w czas przekonać*

*Francuza o swym doświadczeniu wrześniowym; to Norweg, który wychował obok siebie Quislinga; to Francuz, który myślał, że walczy o Gdańsk; to angielski porucznik w Gibraltarze, który wtedy rozmawiał z kapitanem Dybkiem..*

*Dnia 20 czerwca 1940 roku „Kromań” przechwycił ową słynną depeszę radiową z Londynu, nakazującą, w wyniku załamania się Francji, wszystkim polskim statkom, zmierzającym do portów francuskich, by natychmiast zmienić kurs i zawinęły do najbliższego portu brytyjskiego po instrukcje. Więc „Kromań” nie poszedł do*

*Dakar, dokąd prowadził jego rejs, lecz zawrócił do pobliskiego Gibraltaru.*

*Tu spotkało go to samo, co spotkało inne polskie statki w podobnych okolicznościach: władze brytyjskie, jakoś dziwnie trudno orientujące się w nowej sytuacji, poleciły kontynuować rejs i mimo wszystko iść do Dakaru. Podczas załatwiania formalności w urzędach portowych jeden z urzędników, bardzo młodziutki brytyjski porucznik marynarki (lecz pełniący stale służbę na lądzie), zwrócił się do kapitana Dybka z wyrzutem:*

*-Nie mogę zrozumieć, dlaczego pan, idąc do Dakaru, wstąpił tutaj, nie mając pilnej potrzeby zaopatrzenia się w prowiant czy w bunkier...*

*— Komunikat radiowy z Londynu tak kazał — odparł Dybek.*

*— No dobrze! Ale on dotyczy tylko statków idących do portów francuskich...*

*— Ja właśnie szedłem do portu Dakaru!*

*— Przecież Dakar jest brytyjski!*

*Kapitan spojrzał na porucznika trochę jak na wariata i sądził, że żartuje. Lecz porucznik nie żartował. Więc Dybek, udając poważne zakłopotanie, rzekł:*

*. — Gdy byłem miesiąc temu w Dakarze, siedzieli tam jeszcze*

*Francuzi. Może teraz, podczas mej nieobecności, Anglicy cichaczem ich wykurzyli...*

*Porucznik przeprosił, wyszedł, po chwili wrócił. Był czerwony ze wstydu:*

*- I am sorry! W istocie Dakar należy do Francuzów.*

*— To nic! — pocieszył go wesoło Dybek. — Wojna jeszcze chwilę  
potrwa i nie wiadomo, czy pan nie będzie miał kiedyś racji...*

*W czerwcu 1940 roku była to naprawdę une drôle de guerre, a*

*Dybek, chcąc nie chcąc, musiał podjąć z polecenia władz gibraltarskich  
swój rejs do Dakaru.*

7.

*Gdy w nocy 28 czerwca „Kromań” przybył przed Dakar, marynarze zdziwili się, że port i miasto tonęły w zupełnym zaciemnieniu. Tych środków ostrożności dotychczas nie było pomimo wojny z Niemcami i widocznie zarządzono je — jakiś paradoks! — dopiero po zawieszeniu broni z nimi. Jak gdyby Dakar gotował się teraz na serio do wojny z kimś innym.*

*— Bzika dostali? Z kim oni chcą teraz wojować?... — dziwowali się marynarze z „Kromania”.*

*Z nadejściem dnia oczom ich przedstawił się widok niezwykły: reda portu dakarskiego natłoczona była statkami różnych sojusznicznych i neutralnych bander, leżącymi na kotwicy. Naliczono ich blisko pięćdziesiąt. Leżały one wszystkie za rozległą siecią stalową, założoną dokoła redy przeciw okrętom podwodnym, lecz równocześnie zamykającą statki w porcie jakby kratą więzienną.*

*Starszy marynarz, Jaś-rybak, który już niejedną widział osobliwą rzecz w życiu, a do wszystkiego wnosił wiele słusznej wyobraźni, splunął w stronę portu i licznych statków i orzekł lakonicznie: ; — Port jest jak pająk, co gromadzi swe muchy...*

*Załodze trafiło to porównanie do gustu i rzecz znamienna, że prawie w tym samym czasie, nieco dalej na południu, innym Polskim marynarzom ujście rzeki Saloum wydało się również czymś wrogim, paszczką głodnego węża. Niestety, i oni, i Jaś-rybak niewiele się mylili.*

*Jedynie cieśla Fopka nie podzielał jego smętnej opinii:*

*— Bzdury klepiesz, Jasiu!... Widzisz tam, między „Anglikiem” a „Norwegiem”?*

*Fopka miał sokoli wzrok i pierwszy ujrzał w porcie statek z polską banderą. Inni również go dostrzegli i zrobiło im się raźniej. Wnet odkryli drugi polski statek obok pierwszego.*

*Ho, ho, będziemy w dobrej kompanii!... Jasiu, które to mogą być?*

*Jaś-rybak, wyrocznia morska i żywy kalendarz marynarski, chwilę się namyślał:*

*— Już wiem!... Musi, że to „Radłowo” i pewnie „Kalisz”.*

*Jaś-rybak w takich wypadkach często miał słuszność i tym razem było, jak mówił. Obecność dwóch swoich statków podziałała na nich wszystkich jak balsam.*

*Lecz tylko na krótko. Gdy przed „Kromaniem” otwarto stalową sieć i pilot wprowadził statek na redę, równocześnie opuszczały port dwa okręty brytyjskie. Był to lotniskowiec „Hermes” i jakiś krążownik. W ich wychodzeniu marynarze wyczuli dziejową doniosłość. Zarazem tkwiło w rym coś przygnębiającego, jakby odpływali ostatni na tych wodach obrońcy. W Da-karze pozostawały już tylko same bezbronne pionki sojusznicze. Natomiast w pobliżu wysepki Gore, na redzie, na tle mrowia statków, sterczał francuski pancernik „Richelieu”. Najeżony lufami wymownych dział, spoczywał tam jak brytan pilnujący wyjścia. Sieć zamknęła się za rufą „Kromania”. Zaledwie statek spuścił na redzie kotwicę, z szumem podeszła motorówka policji portowej i oficer*

*na niej żądał ostro przez megafon widzenia kapitana.*

*— O co chodzi? — zawołał z mostku Dybek.*

*— Rozkaz kapitanatu portu: jeżeli jakikolwiek statek bez pozwolenia władz wybierze kotwicę i zacznie się poruszać, będzie ostrzelany!*

*Kapitan Dybek zaklął z cicha i krzyknął:*

*— Czy chce pan powiedzieć, że jesteśmy internowani?*

*— Nie, nie chcę nic powiedzieć, tylko oznajmiam panu rozkaz...*

*— Jedno pytanie: jak się nazywa ten port?*

*I Oficer policji portowej nie zorientował się i odpowiedział*

*zdumiony:*

*-Dakar.*

*Było u Dybka wiele złośliwego zdumienia:*

*— A ja myślałem, że to Hamburg albo Wilhelmshaven.*

*Teraz z kolei Francuz zaklął. Szybko oddalił się na motorówce.*

*W kilka godzin później Dybek ścisnął dłonie kapitanom „Radłowa” i*

*„Kalisza”. Niewielu potrzeba im było słów, krótka wymiana nowin,*

*serdeczna troska w oczach, brutalna świadomość: wpadli w potrzask.*

*Co nie udało się Niemcom na zamkniętych wodach Bałtyku, udało się*

*„przyjaciółom” w Dakarze.*

*Słońce chyliło się ku zachodowi, więc port z tłokiem uwięzionych*

*statków widniał jak na dłoni. Dalej łagodnie wznosiło się białe*

*francuskie miasto, z murzyńskimi przedmieściami, jeszcze dalej —*

*pagórki. Dakar przedstawiał w tej chwili uroczy krajobraz stworzony*

*dla malarza sielanek, lecz było w tym jakieś haniebne, odrażające*

*klamstwo: kapitan Dybek nie mógł uwolnić się od myśli, że na tak  
sielskiej panoramie bezlitosny los rozrywał czyjąś ranę i wobec wielu  
obcych świadków obnażał ponury dramat wielkiego narodu, tak  
zasłużonego ludzkości i ongiś niezłomnego.*

8.

*Dakar był w owych dniach gniazdem niepokohamowanej chciwości i bastionem nowoczesnego korsarstwa. Był to w istocie drapieżny pająk. Chciał się widocznie przypodobać hitlerowcom, idąc za przykładem władz w Bordeaux i Vichy, lecz jeszcze więcej wchodziły tu w grę rozbudzone najniższe instynkty. Instynkt grabieży, rozzuchwalony ogólnym chaosem, jaki szerzył się po klęsce Francji, podsycany ponadto drzemiącym zawsze w koloniach duchem łupieżczym, instynkt jawnej, bezczelnej, choć pozornie ulegalizowanej grabieży opanował władze dakarskie. Dlaczegoż nie wzbogacić się gruntownie wśród ogólnego rozgardiaszu i nie upiec sobie wielkiej, międzynarodowej afery, zacierającej wszystkich dotychczasowych Stawiskych — jeżeli nadarzała się po temu taka okazja?*

*Na redzie stał pancernik „Richelieu”, znakomite narzędzie, na lądzie były baterie artylerii. Były dwa systemy stalowych sieci zamykające statki jak ławę ryb. Na świecie panoszył się chaos, jakiego historia nie znała, Francja legła, Anglia lada chwila się rozpadnie. Czy kiedykolwiek nastanie dogodniejsza chwila anarchii? Któż w ogólnym kataklizmie upomni się o owe statki brytyjskie, holenderskie, belgijskie, norweskie, polskie, nawet duńskie?*

*Władze oczywiście nie obwieszczały jasno swych zamierzeń, starając się zachować pewne pozory legalności, lecz nikt z marynarzy nie wątpił, na co się zanosi. Nikomu z załóg nie wolno już było wychodzić na ląd z*



*wyjątkiem kapitana i dwóch ludzi; był to rodzaj aresztu domowego.*

*Agenci okrętowi przestali wypłacać zaliczki i załogi były bez pensji, a statki w coraz większych trudnościach prowiantowych. Już zaczęła się akcja: na pierwszy ogień poszły niektóre statki brytyjskie. Dostały też francuską straż, nowych kapitanów i francuskie bandery.*

*Wtedy zatrzymanym statkom zatlił się na chwilę promień nadziei.*

*Cała haniebna kombinacja władz dakarskich opierała się na tym, że świat dokoła rozpadał się w próchno — z wyjątkiem ich samych.*

*Tymczasem władze nie brały w rachubę, że również i ich własny organizm, szczególnie ich własny, był rozprzężony i do trzewi przeżarty. Zaczęło się od buntu francuskich marynarzy w samym Dakarze.*

*— La guerre est finie! (Wojna się zakończyła) — wołali jak wszędzie indziej, jak we Francji samej, i nie chcieli wychodzić na morze na patrole.*

*Zanosilo się na wielką burdę, gdy admirał, komendant Dakaru, człek starej daty, ażeby uciąć łeb hydrze, oddał rokoszan pod sąd wojenny. Sąd skazał ich na przykładną karę śmierci, lecz gdy przystąpiono do egzekucji, wybuchł drugi bunt: oddziałów, które miały rozstrzelać skazanych, a odmówiły wykonania tego rozkazu. Władze straciły zupełnie głowę.*

*Na nieszczęście dla internowanych statków przyleciał z Francji nowy admirał i luzując starego, opanował sytuację. Po prostu sprawę umorzył, a skazanych uwolnił i wysłał najbliższym statkiem do*

*Marsylii. Statek ten wychodził ze spuszczoną do połowy banderą na znak żałoby, i widocznie łezka owego dramatycznego gestu zrobiła swoje: oddziały francuskie, które pozostały w Dakarze, lubo wciąż podniecone, już się nie buntowały, wróciły do zwykłej służby.*

*A statki sojusznicze, pokładające pewne nadzieje w nowym admirale, wnet doznały srogiego rozczarowania: skoro tamten admirał był szakalem dla nich, ten okazał się wilkiem.*

9.

*Dnia 5 lipca zebrało się przeszło dwudziestu kapitanów uwięzionych statków i wystosowało do admirała zbiorowe pismo z energicznym protestem przeciw gwałceniu praw morskich, zwracając przy tym uwagę na rosnący brak żywności w porcie oraz pojawiające się na statkach epidemie chorób. Z Polaków obecni byli wszyscy trzej: Dybek oraz kapitanowie „Radłowa” i „Kalisza”.*

*Gdy po zebraniu Polacy znaleźli się sami we trójkę, spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami.*

*— Groch o ścianę! — stwierdził Dybek, mając na myśli protest kapitanów wysłany do admirała, i koledzy przyznali mu rację.*

*Niemal jednocześnie powstała w trzech umysłach jedna myśl:*

*uciekać! Lecz ponieważ była późna pora dnia, postanowili nazajutrz zejść się ponownie i dopiero wtedy naradzić się nad planem ucieczki.*

*Tymczasem wracając motorówką do swych statków, kapitanowie „Radłowa” i „Kalisza” byli świadkami przykroj ceremonii: sąsiada ich, angielski statek, obezwładniał właśnie oddział dakarskiego wojska i ściągał z niego banderę brytyjską. Przejęci widokiem nowego aktu bezprawia, zatrwożyli się i postanowili, nie oglądając się na żadne względy, uciekać jeszcze tej samej nocy.*

*Okolo wpół do jedenastej w nocy — ciemność panowała doskonała i na redzie nie było żadnego światelka — kapitan Dybek, oddalony na „Kromaniu” mniej niż o ćwierć mili od swych kolegów, dosłyszał, jak*

*„Radłowo” ostrożnie podnosiło kotwicę i puszczając w ruch motory zaczęło powoli ruszać z miejsca. Wkrótce rozplynęło się w nocy. Statek sunął wzdłuż brzegu, przeszedł koło mielizny zwanej Resolute Bank, przebrnął szczęśliwie ponad siecią i wypadł na pełne morze. Zaświeciły gdzieś nadbrzeżne reflektory, lecz macały bez skutku.*

*W dwie godziny później „Kalisz” poszedł śladem „Radłowa” i jemu również się powiodło. Były to statki stosunkowo małe i nietrudno przesunęły się ponad siecią. „Kalisz” poszedł szczęśliwie do Freetown, „Radłowo” zaś rozpędziło się przez Atlantyk do Brazylii.*

*Nikt niepowołany nic nie zauważył i ucieczka zapewne długo nie wyszłaby na jaw, gdyby nie szpetny traf: lekarz francuski, zamówiony z lądu na dzień następny do chorego na „Kaliszu”, przyjechał na redę i zaczął szukać statku. Oczywiście nie znalazł, więc w końcu przybił do „Kromania”, przekonany, że dotarł do celu.*

*Kapitan Dybek chciał już oświadczyć, że nikogo nie zamawiał, gdy nagle domyślił się istoty odwiedzin i jednego z załogi swej przedstawił jako chorego. Lecz niezbyt się udało.*

*— Szukam chorego na zapalenie płuc. Przecież ten nie ma gorączki, a płuca są w porządku! — dziwił się lekarz.*

*— Ale boli go w boku! — przekonywał Dybek.*

*Lekarz zaczął od nowa obmacywać i jakoś nie mógł doszukać się choroby.*

*— To dziwne! Czy rzeczywiście boli?*

*-I jak jeszcze! — skrzywił się marynarz.*

*Towarzyszący lekarzowi komisarz policji portowej zaczął coś*

*podejrzewać i rozglądać się po redzie. Naraz odezwał się:*

*— Jeszcze wczoraj widziałem tu w pobliżu statek, którego teraz nie ma...*

*Ponieważ słowa skierował do kapitana Dybka, ten odrzekł*

*obojętnym głosem:*

*— Miał pan widocznie fata morgane!*

*— Głowę dam, że był tu statek!*

*I podniecony zwrócił się do lekarza:*

*— Nie mamy tu co robić! Chodźmy stąd!... Na redzie brak jednego statku!*

*W kilka godzin później władze portowe po żmudnych dociekaniach musiały zgodzić się z faktem, że brak było na redzie nie jednego, lecz dwóch polskich statków.*

*— Sales Polonais — wołano w porcie, zgrzytając nieledwie zębami.*

10.

*Zniknięcie dwóch polskich statków spowodowało obostrzenie kontroli nad „Kromaniem”. Niebawem przybył na jego pokład porucznik marynarki wojennej, by skonfiskować papiery okrętowe. Był to rodowity Francuz, nosił na sobie mundur francuski, więc trudno opisać zdumienie kapitana Dybka, gdy porucznik odezwał się do niego w języku niemieckim, zamiast jak dotychczas było w zwyczaju w angielskim.*

*— Schiffspapiere, bitte! — brzmiało w jego ustach upiornie, prawie jak przekleństwo.*

*Kapitan pohamował swe uniesienie i poprosił o rozmowę w języku angielskim, gdyż nie umiał po niemiecku. Zagadkowy uśmiech ukazał się na twarzy porucznika:*

*— Jeszcze się pan nauczy, jawohl, mein lieber Kapitän!... Zapadła cisza. To nie była z jego strony ani prowokacja, ani fanfaronada, ani drwiny. Porucznik mówił po niemiecku w wyniku jakiegoś zagnatwanego procesu myślowego. W wyniku chorobliwej, paraliżującej „logiki” w obliczu klęski doszedł do przekonania, że tak trzeba mówić, że to jest teraz jego obowiązkiem. Kapitan Dybek szybko to zrozumiał i ostygł z oburzenia, nawet nie czuł już odrazy. Miał tylko litość. Chciałby do niego krzyknąć: „Verdum” i słowem tym jak zaklęciem przebudzić go z dziwnego letargu. Miał ochotę chwycić go za bary i trząść dopóty, dopóki dusza jego nie wróciłaby na swe dawne,*

*dobre miejsce.*

*Lecz porucznik bynajmniej nie był w letargu ani też nie był godzien zbytnej litości. Gdy ujrzał portret Piłsudskiego — rozmowa odbywała się w salonie „Kromania” — uczynił niewyraźny ruch ręką, jakby z wyrazem pogardy.*

*Potem przeglądał papiery okrętowe, po które tu przybył. Nagle odkrył w nich coś szczególnie doniosłego. Zawołał do Dybka:*

*— Kapitan! Toż to statek niemiecki?!*

*— Masz, babo, redutę! — rzekł Dybek i zrobił ogromnie przerażoną minę. — A dranie w mej linii okrętowej tak długo mnie dotychczas bujali, że to statek polski!*

*Ironia Dybka nie czyniła żadnego wrażenia. Porucznik był zbyt przejęty swoim odkryciem i patrzył pilnie w papiery:*

*— Wyraźnie tu czytam: port macierzysty Gdańsk. A Gdańsk należy dziś do Reichu, co nie ulega wątpliwości...*

*Tego już było za wiele Dybkowi. Rąbnął prosto z mostu:*

*— Więc czy w takim razie i Paryż, w którym dziś bez wątpliwości siedzą Niemcy, należy uważać za część Reichu?*

*Porucznik skwasił się. Zaczął pakować papiery, między którymi były również i wszystkie mapy morskie, i gotował się do odejścia.*

*— Jeszcze zobaczymy, zobaczymy — rzekł z tajemniczą miną. Wtedy zagadnął go Dybek:*

*— Niech mi pan wybaczy moją ciekawość: z której okolicy Francji pan pochodzi?*

*Porucznik zmierzył kapitana złym, przeciągłym wejrzeniem:*

*— Pan się myli, kapitanie: nie jestem Alzacyjnykiem. Pochodzę z Marsylii.*

*I powtórzył dobitnie i wyzywająco, jak gdyby to miał być*

*wymierzony kapitanowi policzek, jak gdyby Polak miał to sobie*

*dokładnie zapamiętać:*

*— Direkt aus Marseille, mein lieber Kapitan! (Wprost z Marsylii, mój drogi kapitanie!)*

*O nieszczęsny, zabląkany poruczniku!*



11.

*Dakar był nie tylko gniazdem chciwego pająka. Kapitalnie położony pod względem strategicznym na zachodnim cyplu Afryki, mógł skutecznie paraliżować całą komunikację morską na Atlantyku południowym. Dowództwu brytyjskiemu na tych wodach wyrastał tuż u boku niebezpieczny wrzód, który należało przeciąć jak najwcześniej.*

*Dnia 8 lipca przybył od morza parlamentariusz brytyjski i przedłożył komendantowi Dakaru ultimatum. Wnet w porcie rozeszły się słuchy, o co chodziło. Chodziło o rozbrojenie pancernika „Richelieu” oraz innych mniejszych jednostek i o wysłanie ich na wody wyspy Martniki. Komendant Dakaru kategorycznie odmówił żądaniu i parlamentariusza odprawił z kwitkiem.*

*Następnego dnia około piątej rano kapitana Dybka zbudził warkot motorów. Wyjrząwszy przez bulaj, kapitan spostrzegł trzy samoloty nisko lecące i jak mu się zdawało, z oznakami brytyjskimi. Skoczył na równe nogi i wypadł na pokład.*

*Były to trzy bombowce, jak Dybek teraz dokładniej widział. Jeden z nich odczepił się od reszty, zszedł jeszcze niżej do powierzchni wody i wtedy wyprostował lot. Nagle podłużny przedmiot odczepił się od jego kadłuba, zamigotał w powietrzu i chlupnął do wody. Torpeda. Po chwili rozległ się głośny huk wybuchu i pancernik „Richelieu” znikł cały w obłokach dymu. Torpeda trafiła.*

*Odbywało się to w sąsiedztwie „Kromania”, oddalonego od*

*pancernika nie więcej niż o pół mili. Siła wybuchu była tak znaczna, że*

*„Kromań” cały od dzioba do rufy zadrżał jak w gwałtownej febrze.*

*Cios spadł nieoczekiwanie i nikt w porcie nie był na to*

*przygotowany. Wszyscy, widać, jeszcze spali. Trzy brytyjskie*

*bombowce spokojnie, z jakimś bezczelnym, wyzywającym wdziękiem*

*zatoczyły nad redą koło i zaczęły oddalać się w południowym kierunku.*

*Gdy już prawie dosięgały horyzontu, port nareszcie jakby ochłonął.*

*Zaterkotały karabiny maszynowe i zagrzmiały baterie artylerii*

*nadbrzeżnej. Biły gorączkowo, darły się rozpaczliwie, lecz potężna*

*kanonada na nic się już nie zdała. Ludzie w mieście dziwili się, do czego*

*jeszcze strzelano, skoro odległy cel rozpływał się we mgle horyzontu.*

*Walono jakby sobie na pociechę i odwagę, i w istocie Dakar wszystkim*

*pokazał, że liczebna siła jego ognia była imponująca. Po dobrym*

*kwadransie strzały ustały.*

*Gdy tumany dymu dookoła „Richelieu” zrzędyły, widać było, że*

*uszkodzono go poważnie. Okręt przechylał się na burtę. Akcja*

*ratunkowa i wypompowywanie ropy trwało kilka godzin, po czym*

*wzięto pancernik w cumy i ostrożnie zaholowano do łamacza fal*

*wewnątrz portu.*

*Był inwalidą. Torpeda, która go ugodziła, wyjaśniła nieco*

*Brytyjczykom atmosferę na Atlantyku południowym.*

*Za to w Dakarze zawrzało jak w rozwścieczonym ulu. Żądło ugodziło także i w „Kromań”.*

*Kapitan Dybek, wracając dwa dni później z lądu, ujrzał przy burcie „Kromania” uwięzowaną motorówkę francuskiej marynarki wojennej, a na pokładzie całą gromadę, jakichś dziesięciu żołnierzy kolonialnych z karabinami. Oburzony zbrojnym najściem, pospiesznie wszedł na statek i miał minę tygrysa.*

*Senegalczycy myśleli, że zacznie ich prac. Gdy jednego z nich, mniej chyżego, energicznie odtrącił z drogi, żołnierze rzucili broń na pokład i krzyżując ręce na piersiach zaczęli wołać z angielska:*

*— No me! No me!... (Nie ja! Nie ja!) Przestraszeni, zrzucali rzekomą winę na kogoś innego.*

*W maszynowni Dybek zastał kapitana francuskiej marynarki wojennej z dobytym rewolwerem w ręku i kilku oficerów „Kromania”. Wszystkich w gwałtownej sprzeczce i podnieceniu.*

*— Co tu się dzieje?! — krzyknął, aż echo zadudniło od żelaznych ścian.*

*— Mamy rozkaz zdemontowania maszyny statku! — zawołał kapitan, wymachując rewolwerem.*

*— Goddam you! (Do diabła!) Czego pan wywijasz tą spluwą?! Jeszcze gotowa wypalić!*

*Na to pierwszy mechanik „Kromania”, inżynier Kukieł, w krótkich*

*słowach wytłumaczył, co zaszło: francuski kapitan przybył z oddziałem żołnierzy na statek z żądaniem wydania mu części maszyny głównej, to jest dźwigu do zaworu i śruby z kołem manewrowym. Odebranie tych części miało na celu unieruchomienie statku. Gdy inżynier i pierwszy oficer przedkładali, że nie zastał kapitana na pokładzie i żeby czekał na jego powrót, przybysz odrzekł szorstko, że nie ma czasu, i domagał się pod groźbą broni wydania żądanych rzeczy. W czasie sprzeczki zeszli do maszynowni i tam zastał ich kapitan Dybek.*

*— To bezprawie! — rzekł kapitan do intruza, starając się uśmierzyć swój gniew. — To bezprawie i skandal! Protestuję!...*

*— Tralala! Niech pan sobie protestuje, ile się zmieści! Nie mam czasu na tracenie słów!*

*— Protestuję kategorycznie — i Dybkowi aż nabrzmiały żyły na skroniach od wysiłku, by nie wybuchnąć — protestuję przeciw pogwałceniu praw polskiej bandery!*

*Tamten zaśmiał się w głos:*

*— To mnie nie przekonuje!... Prawda?!... Pan żartuje sobie! Jedyne dziś prawo ot to: rewolwer!... Natychmiast proszę wykonać rozkaz władz portowych!...*

*— Zanim będę rozmawiał o tej sprawie, proszę usunąć tych żołnierzy z pokładu!*

*— Je m'en fiche!*

*— Skoro to się nie stanie, nie odpowiadam za żadne wypadki, jakie mogą tu nastąpić...*

— *Odpowie pan, kapitanie, odpowie pan! A wojsko moje pozostanie tam, gdzie jest!...*

*Słowo „wojsko” i górny ton, w jakim oficer mówił o swych żołnierzach, nasunęły nagle Dybkowi przekorną myśl. Coś w nim złośliwie zachichotało, że dowcip, jaki zamierzał zainscenizować, może się uda. Przerywając raptownie rozmowę, Dybek odwrócił się do trapu i rzekł krótko do przybysza:*

— *Chodź pan!*

*Weszli na pokład. Kapitan nie zawiódł się. Jak przypuszczał, karabiny wciąż leżały rozrzucone po pokładzie, a Senegalczycy rozleźli się na wszystkie strony. Niektórzy, oparci o poręcz, wypatrywali ryb w wodzie, inni leżeli na zwojach lin okrętowych i drzemali.*

— *Oto pana sławetne wojsko!* — rzekł Dybek i wskazał rozrzucone karabiny.

*Francuz zrozumiał własną śmieszoną postawę w tym wszystkim.*

*Zapienił się i całą swą złość wylał na głowy żołnierzy. Powstał zgiełk.*

*Zakotłowało się. W zabawnej panice doskakiwały postacie do broni.*

*Wyrywały ją sobie wzajemnie. Zanim nastął jaki taki porządek, pełno*

*było komicznego szumu; i na polskim statku, na najdrobniejszym chyba*

*w tej wojnie odcinku, rozgrywała się batalia ośmieszenia: oficer,*

*przeklinając swoją zgraję, kazał jej wynosić się za burtę. Żołnierze*

*wyskakiwali po trapie z małpią zwinnością.*

*Sprawa z Senegalczykami się skończyła i nie miało sensu, by*

*„Kromań” nadal sprzeciwiał się poleceniu władz francuskich. Oficer*

*dostał żadaną część maszyny i opuścił statek.*

*Lecz zanim go opuścił, spotkała go przygoda. Palacz Roch,  
osławiony i niepoprawny figlarz, zaczął się za trapem w maszynowni i  
gdy oficer przechodził, zniechęca wytknął swą potwornie wykrzywioną  
gębę i hukną! mu w ucho: „A kysz!” Intruz odskoczy! przerażony.*

*Później, snując w różnych barach i pubach angielskich portów  
dziwne opowiadania o tym zajściu, Roch powiedział:*

*— Ale daliśmy mu bobu, że popamięta: bobu dal mu stary, ale jeszcze  
lepiej dałem ja! Tak się skurczybyk przeraził, że zaraz w pory narobił i  
ogon między nogi wsadziwszy, siurnął jak diabeł za burtę!...*

13.

*Gdy zostali sami na „Kromaniu”, zeszli z pokładu na dół i stanęli nad maszyną pełni zadumy i skupienia: kapitan Dybek, pierwszy mechanik Kukiel i drugi mechanik Gieracki. Przedstawił im się widok smętny: wierna ich maszyna stała okaleczona, jak gdyby wrogie ręce wycięły jej część tętnicy, by krew nie mogła dostać się do serca. Przez dziesiątki tysięcy mil żywo im pulsowała, aż oto nastął koniec.*

*Stali długo w milczeniu, niemal jak nad świeżym grobem przyjaciela,*

*gdy*

*Gieracki*

*podniósł*

*wzrok*

*na*

*Kukiela*

*i*

*porozumiewawczo się uśmiechnął. Inżynier odpowiedział mrugnięciem.*

*Zauważył to Dybek.*

*— Więc co? — przerwał milczenie. — Czy da się uruchomić w razie czego?*

*Gieracki zrobił szczwany wyraz twarzy:*

*— Jeżeli dostaniemy butelczynę whisky, to powiem. -No, dalej!...*

*— Będzie whisky, kapitańciu?*

— *Będzie. Gadajcie!*

— *Da się uruchomić. -W jakim czasie?*

— *W godzinę...*

— *Niech was dunder świśnie!* — *Dybek wykrzyknął z uznaniem.*

— *Trzeba będzie* — *tłumaczył teraz inżynier Kukiel* — *wciążem łańcuchowym podnieść na stałe do góry grzybek zawora i wtedy dostaniemy znów parę do maszyny. Co prawda, trudno będzie nią manewrować, lecz w razie potrzeby parę da się zamknąć drugim zaworem, który jest tuż przy kotle...*

*Jest to niepokonany, nieśmiertelny mikrob, ów pęd duszy ku wolności. Okowom, które chciałyby go obezwładnić, już przeciwstawia swą własną prężność, już zapładnia komórki mózgowe dwóch mechaników...*

*Tego wieczoru mechanik Gieracki niezgorzej zalał sobie pałę. Przejął się losem swej maszyny i to go podnieciło do wypitki. Był to w ogóle dziwny mechanik i moczygęba, co się zowie. Miał wielką fantazję i niezwalczoną manię uruchamiania motorów.*

*Razu pewnego ujrawszy na Piccadilly w Londynie samochód stojący bez nadzoru, a sam będąc zdrowo podchmielony, nie mógł wytrzymać widoku nieczynnej maszyny. Wsiadł, jakimś sposobem zapuścił motor i wraz z kolegami urządził sobie wesołą przejażdżkę po Londynie. Gdy wrócił później w to samo miejsce, czekał już właściciel auta z policją. Gieracki miał szczęście: właściciel widząc, że to polscy marynarze pod dobrą datą, zaniechał skargi i poszedł z nimi pić.*



*Gieracki miewał w ogóle dziwne pomysły. Pewnej wesołej nocy w Casablance opryszki obrabowały go do szczętu, nawet z ubrania, i gdy już za białego dnia wracał na statek, miał na sobie tylko krótkie majteczki. Wobec tego zaczął udawać szybkobiegacza i ludzie na ulicach miasta spoglądali nań z przychylnym zdziwieniem. Lecz zbliżając się do statku, ujrzał na mostku swego kapitana, groźnie ściągającego brwi. Jak odpędzić tę burzę? Gieracki zaczął biegać tam i z powrotem niby w gorliwej gimnastyce porannej. Udało się.*

*— Brawo, Gieracki! — zawołał zachwycony kapitan, nie przeczuwając podstępu. — To się chwali! Czy to nie godniejsze, niż chlać po nocach?!...*

*Więc gdy wieczorem owego dnia, w którym zabrano z „Kro-mania” część maszyny, Gieracki zaglądał głęboko do butelki Białego Konia, jednej i drugiej, działało się to na pohybel władzom dakarskim, a za pomyślność maszyn parowych. Wzbierała w nim kawalerska fantazja, chciał zawojować całą Afrykę, chciał uruchamiać motory świata i nagle, koncentrując wzrok na Jasiu-rybaku, który miał również w czubie, rzekł do niego tajemniczo:*

*— Jasiu, czy boisz się? -Nie.*

*— Chcesz iść?*

*— Chcę.*

*— To chodź! Zbombardujemy im Dakar!*

*Uzbrojeni w klucz francuski, cichaczem i w ukryciu przed innymi, zeszli z pokładu na jolkę i odczepili ją od burty. Zaczęli wiosłować. Noc*

*była czarna jak węgiel, a oni przejęci swą misją.*

*Jakieś trzy czwarte mili od „Kromania” znajdowało się na redzie kilka francuskich hydroplanów. Okazało się, że żadnej straży przy nich nie było. Gdy dwaj spiskowcy do nich dołynęli, Gieracki wspiął się na pierwszą z brzegu maszynę i kazał Jasiowi pozostać w pobliżu na wodzie:*

*— Zaczekaj, zaraz wystartuję w powietrze...*

*Wlazł do wnętrza kabiny nawigacyjnej, która była otwarta, i zaczął manipulować. Słyszał było stuki, metaliczne dźwięki i brzęk tłuczonego szkła. Później wychyliła się z kabiny jego głowa:*

*— Jasiu-u-u! — krzyknął Gieracki, nie bacząc na otoczenie. - Jest bardzo źle!*

*— Czemu?*

*— Nie mogę zapuścić motoru! -Ojej!*

*— Wracajmy po inne klucze!*

*Gdy wrócili na „Kromań”, przydybali ich koledzy i już nie wypuścili na jolkę. Gieracki musiał zrezygnować z zapuszczenia motoru i był nieszczęśliwy. Natomiast kapitan Dybek miał jeszcze jeden dowód rozprężenia w Dakarze: nikt w porcie nie pilnował hydroplanów.*

*Jak dziwny miał żywot zacny mechanik Gieracki, jak niezwykle roit pomysły, tak samo i osobliwą miał śmierć: w rok później w porcie angielskim, wracając z kurząca się czupryną na statek, spadł z trapu i rozbił sobie głowę o pióro śruby. Zabiła go ta sama śruba, którą on tyle razy powoływał do życia i którą tak bardzo lubił uruchamiać.*

14.

*Agentem okrętowym „Kromania” w Dakarze był Roux. Tęgi grubas, brunet po czterdziestce, wielka figura w kolonii, piastował kilka wpływowych stanowisk, był dyrektorem banku oraz zamożnego towarzystwa handlowego „Socopao”. W zasadzie człowiek niezły, lubił Polaków i nawet zdobył się na to, że po ucieczce „Radłowa” i „Kalisza” rzekł na uboczu do Dybka z uznaniem:*

*— Bravestypes!...*

*Miał jednak charakter chwiejny, był typowym Francuzem na rozdrożu, miotany przez porywiste wiatry dziejowe, i przede wszystkim był bezwzględny człowiekiem businessu.*

*Dybek miał z nim częste rozmowy i stałe użerki na temat ładunku węgla, który przywiózł „Kromań”. Kapitan nie chciał przyjąć ofiarowanej mu za ładunki zapłaty we frankach senegalskich, mocno zdyskredytowanych upadkiem Francji, i żądał zapłaty w funtach angielskich. Wreszcie po wielu targach Roux uzyskał zgodę głównodowodzącego admirała na wypłatę w funtach.*

*W dwa dni po zdemontowaniu maszyny dwa holowniki zaciągnęły „Kromań” do przystani węglowej w porcie. Zaczął się wyladunek, lecz po kilku godzinach przerwał go sam agent Roux: admirał cofnął swą zgodę na funty angielskie. Nawet Roux był mocno speszony i postanowił wraz z Dybkiem udać się osobiście do admirała.*

*Poszli. Admirał oświadczył, że nie ma funtów na płacenie za ładunki*

*i że prawem wojennym rekwiruje dla kolonii cały węgiel. Protesty kapitana nic nie pomogły. Admiral przedłożył akt konfiskaty do podpisania i jedyny sprzeciw, jaki pozostał Dybkowi, był ten, że nie dał swego podpisu pod akt. Lecz węgiel j wyladowano.*

*Natomiast cała groza sytuacji ujawniła się dopiero po ukończonym wyladowaniu węgla. Nastąpiła rzecz nie przewidziana przez Dybka.*

*„Kromania” nie wyholowano na stare miejsce na redzie, ale zatrzymano go w samym porcie, przycumowanego do brzegu. Tu miał na stałe pozostać pod okiem władz portowych. Stąd o jakiegokolwiek ucieczce nawet nie było co marzyć. Był to prawdziwy potrzask.*

*Wtedy na domiar złego zawarczały obce motory w powietrzu i wylądował w Dakarze pierwszy samolot ze swastyką. Przyleciało kilku hitlerowców i natychmiast władzom miejscowym wbiło tęgę ostrogę: znowu warty stanęły, baterie artylerii odżyły, reflektory zaświeciły po nocach, ludzi aresztowano. Zaczęły się nowe porządki.*

*— Nie maco — rzekł Jaś-rybak filozoficznie do przyjaciela Fopki — z dachu wpadliśmy pod rynnę..,*

*— Gorzej, kumoterku, gorzej! Z dachu prosta do śmierdzącej kałuży.*

*— Podobno już uczysz się szwabskiego szwargotu..,*

*— Ano prawda! — odciął się Fopka. — Ale trudno mi idzie, nie przymierzając jak tobie latanie w hydroplanie!...*

15.

*Kapitan Dybek użył fortelu: zażądał telegraficznie od swego dyrektora w Londynie podania warunków umowy przewozowej na linii Pernambuko — Nowy Jork. Dyrektor domyślił się, o co chodzi, i nie tylko przesłał warunki żądanej umowy, lecz gotowy już rozkaz dla „Kromania” niezwłocznego podjęcia pracy na nowej linii. Statek miał zatem obsługiwać dwa neutralne porty, z dala od teatru wojny.*

*Dybek udał się z telegramem do komendanta dakarskiej Police de navigation, Lefabre'a. Lefabre, jak przeważająca część wyższych urzędników francuskich w kolonii, ogarniętych ówczesną epidemią, nie chciał z kapitanem inaczej mówić niż po niemiecku. Kaleczył język potwornie, gdyż ledwo nim władał, a kiedy rozmowa się ożywiła, mimo woli przeszedł na angielski.*

*Lefabre w zasadzie nic nie miał przeciwko wyjściu „Kromania” z Dakaru i gotów był nawet zaopatrzyć statek w potrzebny do rejsu prowiant, ale oświadczył, że o ruchach statków decyduje nie on, lecz sam admirał.*

*A właśnie do Dakaru przyleciał samolot z nową paczką Niemców. Polski konsul, Mańkowski, któremu pozwolono przebywać jeszcze w kolonii, ostrzegł kapitana Dybka, że wybiła ostatnia godzina i lada chwila Niemcy mogą zająć polski statek.*

*Dybek udał się do agenta Roux z prośbą o wstawiennictwo u admirała. Roux, który sam zaczął się niepokoić przesiąkaniem Niemców*

*do kolonii, przejął się uczciwie losem „Kromania” i korzystając ze swej zażyłości z admirałem, natychmiast do niego zatelefonował.*

*Przedłożył sprawę „Kromania” życzliwie, skrupulatnie, jasno. Lecz admirał nie chciał wysłuchać do końca:*

*— Nie mogę wypuścić statku z portu, gdyż taki wyraźny rozkaz mam od francuskiej misji rozjemczej w Wiesbaden...*

*Uwagę agenta, że przecież to statek polski, dziś właściwie neutralny, mający chodzić na neutralnych wodach amerykańskich, admirał przerwał:*

*— Drogi Roux, nic mnie to nie obchodzi, taki jest rozkaz z Wiesbaden...*

*I dodał z przekąsem:*

*— A jeżeli kapitanowi statku to nie w smak, niechże sam pośle telegram do Wiesbaden. Co Wiesbaden zadecyduje, ja spełnię—*

*Zbyt często powtarzająca się nazwa niemieckiego miasta nasyciała rozmowę atmosferą wrogości. Trudno było przeciwstawić się, tym bardziej że admirał wpadł w zniecierpliwienie:*

*— Zresztą, mon cher Roux, nie czasy teraz na to, by bawić się w filantropów. Naszym obowiązkiem jest widzieć jasno sytuację i postępować tak, jak tego wymaga rozum i racja stanu Francji, nie oglądając się na uboczne interesy naszych byłych sojuszników, którzy w dodatku wpakowali nas w ten cały bigos...*

*Potem zażądał Dybka do telefonu:*

*— Czego pan właściwie chcesz?! — mówił admirał. — Będziemy wam*

*wszystkim ze statku płacili pensje przez całą wojnę...*

*— Nie o to nam chodzi, panie admirale...*

*— Nie interesuje mnie to, o co panu chodzi, i nie chcę o tym wiedzieć!*

*— odparł admirał coraz bardziej podniesionym głosem.*

*— Panie admirale, stara przyjaźń polsko-francuska.*

*— Stara, kapitanie, stara i już przestarzała! A Francja jest mi milsza*

*niż wasza przyjaźń!... Dostyc już polskich mrzonek i polskich*

*romantyzmów, za które trzeba nam teraz drogo płacić!... Statek pański*

*nie wyjdzie z Dakaru i pozostanie tu do końca wojny, zapewniam*

*pana!...*

*Słowa padły jak wyrok, stuknęła słuchawka. Twarde słowa, złe*

*słowa. Aż w oczach trochę pociemniało. Dybek spojrział na agenta i*

*zauważył, że nawet jemu udzielił się wrogi nastrój: w wejrzeniu jego tlił*

*się wyraz niechęci.*

*Dybek podszedł do okna i zaczerpnął głęboko powietrza. Jak to było?*

*Wiesbaden, wciąż Wiesbaden? Dość polskich mrzonek? Nie wyjdzie z*

*Dakaru? Pensja przez całą wojnę?*

*Oddychał głęboko i oddech sprawiał mu ulgę. Krew szparko znów*

*powracała mu do głowy i coraz bardziej przecierało się w jego myślach.*

*Mózg zaczął już pracować normalnie, gdy wtem z dołu, od ulicy,*

*rozległy się ostre głosy rozmowy w obcym języku — niemieckim. Dybek*

*wychylił się z okna i ujrzał trzech Niemców przechodzących powoli*

*ulicą. Byli to wojskowi w ubraniach cywilnych. Rozmawiali ze sobą*

*głośno, buńczucznie, wyzywająco.*

*Nagle Dybek odnalazł siebie.*



16.

*Odchodząc od okna i siadając znów przy biurku, naprzeciw agenta, wiedział, że nadeszła przełomowa chwila jego pobytu w Dakarze. Teraz albo nigdy, powiedział sobie w duchu. Sprężył się wewnątrz jak do rozpaczliwego skoku. Skupił w jedno ognisko wszystkie swe władze duchowe, i skierował je w jeden punkt, w oczy agenta. Chodziło o najwyższą stawkę. Wyczuwał prawie zmysłowo, że stanął przed niewidzialnym głazem tarasującym mu drogę i wiedział, że jeżeli nie rozbije go teraz w puch, oznaczać to będzie klęskę „Kromania” i niewolę całej jego załogi.*

*Roux, nie przeczuwając wcale zamysłów Dybka, poczęstował go papierosem i przybrał zdawkowy uśmiech. Rzecz o admirał na osłodę:*  
— *Uparta głowa! Trudno z nim debatować!... Ale trzeba pogodzić się z losem!...*

— *Zdaje się, że trzeba.*— *mruknął kapitan i miał już spokojny wyraz twarzy.*

*Nic nie zdradzało jego napiętych do ostateczności nerwów. Łagodny uśmiech rozjaśnił jego twarz. Głęboko wciągnąwszy w płuca powietrze — jak gdyby nawet powietrze wciągnięte do walki miało mu dodać sił — Dybek odezwał się opanowanym, pogodnym głosem:*

— *Licząc się z koniecznością dłuższego pobytu w Dakarze, mam do pana pewną prośbę...*

— *Słucham pana, słucham!*

— *Proszę o wystawienie na „Kromaniu” stałej silnej warty*

*wojskowej!*

*Agent z początku zdawał się nie rozumieć słów kapitana. Potem oczy jego zaokrągliły się ze zdumienia. Takiej prośby się nie spodziewał.*

— *Przecież pański statek jest przycumowany tak mocno do przystani, że nikt go nie porwie!* — *zażartował.*

— *Właśnie dlatego, że jest w przystani — ciągnął Dybek — proszę o silną wartę, do której władze portowe miałyby szczególne zaufanie...*

*Roux zawołał z niedowierzaniem:*

— *Ale na miłość wszystkich bogów, niechże pan mi powie, dlaczego?*

— *Żeby dobrze pilnowała mego statku i nie pozwalała nikomu wchodzić ani schodzić bez mego pozwolenia...*

*W oczach agenta znów zaigrały iskierki weselości: -Wie pan, Dybek, to kapitalne! Doprawdy, jest pan pierwszym kapitanem w Dakarze, który występuje z taką propozycją...*

— *Mam powody ku temu!* — *Dybek był niewzruszony i nie dał się wciągnąć w lekki ton agenta.*

— *Jakie? Niech mi pan zdradzi, jakie?!*

— *Co tu wiele mówić. Wiemy wszyscy aż zbyt dobrze, jak destruktywnie na umysły żołnierzy i marynarzy w Dakarze podziałały smutne wypadki we Francji i ile kłopotów mają władze, by utrzymać ich w posłuszeństwie. Czego natomiast panowie z lądu nie wiecie, to tego, jaki oplakany jest stan moralny niektórych załóg na tutejszych statkach handlowych. Wojna jest złą doradczynią i łatwo rozprzęga, a cóż*

*dopiero taka wojna pełna klęsk. Muszę panu oświadczyć, że wśród załogi „Kromania” nurtują silne prądy komunistyczne. Za blisko byli Rosji, pan rozumie, o ścianę. Marynarze się rozwydrzyli. Nie można się dziwić! Przeżywają obecnie drugą klęskę. Gorzej, że zaczęli agitację na zewnątrz. Czarni żołnierze korzystając z tego, że „Kro-mań” leży przycumowany do przystani, przychodzą ukradkiem na statek i miewają potajemne konszachty w kubryku. O czym załoga do nich gada, można się domyślić...*

*Z oczu Dybka, z jego głosu, z jego rąk szły, widać, fale przekonywujące. Uderzyły w agenta i zapładniały jego wyobraźnię w podanym kierunku. Zaskoczył utajony motor. Roux przestał się uśmiechać. Twarz jego przybladła. Coś w nim jakby zdrętwiało:*

*— To rewelacja, co pan mi mówi!... To monstrualne!... Czy ma pan jakie wyraźniejsze poszlaki?*

*— Poszlaki? Więcej niż to, bo pewność! Przeglądając przypadkowo kabiny na kubryku, natknąłem się na francuski karabin maszynowy tam ukryty i na kilka karabinów ręcznych. Steward powiada, że jest podobno więcej ukrytej broni. Załoga zakupiła broń przed kilkoma dniami od żołnierzy przychodzących z wizytą na statek... Mogę panu broń tę pokazać...*

*— Toż to przerażające! To bolszewizm! Tego nam tu jeszcze brakowało!*

*Ciekawym przedmiotem badań dla przyszłych socjologów będą kompleksy panicznego przestרחu, jaki przenikał pewne ośrodki*

*mentalności zachodnioeuropejskiej na samo brzmienie wyrazów:*

*komunizm, bolszewizm. Wydawałoby się, że pojęcia te po prostu paraliżowały komórki mózgowie niektórych ludzi. Dla nich komunizm był najgorszym wcieleniem zła i nawet sama myśl o tym przyprawiała ich o jakiś zamęt, o rodzaj choroby umysłowej. Do tych ludzi należał także agent Roux. Wiadomość, jaką przyniósł mu kapitan Dybek, wstrząsnęła nim do głębi.*

*— Teraz pan rozumie — kończył Dybek — dlaczego proszę o silną wartę wojskową na moim statku. Nie chcę, by załoga moja komunikowała się z ludźmi z lądu...*

*Roux zerwał się na równe nogi:*

*— Ależ to głupstwo!... I sądzi pan, że warta coś pomoże? Że sama nie ulegnie agitacji komunistycznej?... Mało pan ich zna, kapitanie, tych przeklętych Murzynów!...*

*Dybek otrząsał powoli popiół z papierosa i śledził uważnie własną rękę. Nie, wcale nie drżała. Przez chwilę miał wrażenie, że cały dygoce ze wzruszenia, lecz był zadowolony, że to nie ujawniło się na zewnątrz.*

*— Więc co robić? — zapytał.*

*— Co robić? Uciekać! — Odejść precz od lądu! Odseparować statek od lądu! Jak najdalej od portu! Jak najdalej na redę!...*

*Roux był tak podniecony, że chodził po pokoju i głośno sapał. Dybek pilnował go i nie spuszczał ani na chwilę z oczu, jak gdyby trzymając go na uwięzi. A równocześnie miał wizję wewnętrzną: potworny głaz, który przedtem zamykał mu drogę do wolności, oto nagle topniał i*

*rozpływał się jak mgła.*

*Roux raptownie przystanął nad kapitanem, świdrując go nieufnym spojrzeniem i rzekł krótko:*

*— Chodźmy na górę!*

*W tym samym domu, lecz wyżej, urzędował konsul Mańkowski.*

*Poszli do niego i Roux zagadnął go znienacka:*

*— Czy to prawda, że macie komunizm na „Kromaniu”?*

*— Zdaje się, że tak! — odparł konsul spokojnie. — Kapitan Dybek*

*kilka razy o tym wspominał...*

*— Wspominał? o odwiedzinach czarnych żołnierzy? -Owszem,*

*owszem. Były tam jakieś karabiny maszynowe czy coś podobnego... Czy dziwić się temu w dzisiejszych czasach?*

*— Czy dziwić się?! — wrzasnął agent. — Mówisz pan sobie tak spokojnie, lekceważąco, jak gdybyś nie widział istoty rzeczy! Czy wie pan, czym to pachnie?! Przecież zanoszą się na nowe rozruchy i jeśli dojdzie do buntu, to tylko przeciw nam! Nas zgładzą!*

*— Zgładzą! — potwierdził chłodno Dybek. — Zgładzą, przede wszystkim pana i mnie zgładzą!*

*Na skutek starań agenta u władz portowych w godzinę później przywieziono na „Kromań” skonfiskowane części maszyny i kazano mu opuścić port i wyjść na redę. Było południe. Dybek oświadczył, że na razie nie mając dostatecznej pary, wyjdzie dopiero pod wieczór.*

*Dybek był znowu w świetnej formie: był wesóły i ufny. I przebiegły.*

*Fortel padł na żyzną glebę.*

17.

*Przed zmierzchem padły na wodę puszczone cumy i „Kromań” zaczął odbijać od brzegu. W historii tego statku był to moment doniosły i niejeden z marynarzy nie mógł się oprzeć wzruszeniu. Ziemia rozluźniła swe wrogie pęta, ląd wypuszczał ze swych nienasyconych objęć łup.*

*Portowy pilot miał rozkaz zaprowadzenia statku w środek między angielskie parowce, stojące na redzie i pilnie strzeżone przez straże wojskowe. Lecz widocznie przekorny bies siedział w maszynach „Kromania”: na znak „Stop!” śruba nie od razu stanęła.*

*Ster także, licho go wie, nieposłusznie działał i nawet kotwica całkiem niemrawo spadała, zanim wreszcie wszystko się spełniło.*

*Ostatecznie okazało się że „Kromań” wypłynął poza wyznaczone miejsce i stanął daleko od grupy angielskiej. Pilot wzruszył tylko ramionami, dostał niezłe cadeau w postaci dwustu franków i odpłynął zadowolony. A jednocześnie podoficer marynarki wojennej odebrał skonfiskowaną część maszyny i wrócił z nią na ląd w różowym humorze po wypiciu kilku koniaków; był to Baskijczyk i niemiłosiernie psioczył na Francuzów.*

*Więc statek leżał znów na redzie, bliżej wyjścia. Znów słona bryza przynosiła mu krzepki zapach wolności. Na widnokręgu rozplýwał się nęcący bezmiar atlantyckich wód. Między nimi a „Kromaniem” były dwa systemy stalowych sieci, były baterie nadbrzeżne i reflektory, a poza sieciami czujne patrolowce francuskie. Lecz los, może po raz*

*ostatni, wyciągnął życzliwą dłoń. Należało ją odważnie ująć.*

*Z nastaniem ciemności mechanicy zabrali się energicznie do naprawy maszyn. Palacze zaczęli podnosić parę w kotłach do normalnego stanu ciśnienia. Wypompowano również część balastów, by statek był lżejszy i o stopę mniej się zanurzał.*

*Dybek nikomu jeszcze nic nie mówił o swych zamiarach, sam biorąc odpowiedzialność za wszystko. Załoga zaczęła się czegoś domyślać, niektórych ogarniał lęk.*

*— A jak będą do nas strzelali, bójcie się Boga, to co?! — szemrały po katach głosy.*

*Wszystkim żywo w pamięci tkwił silny ogień nadbrzeżnej baterii owego dnia, gdy nastąpił nalot brytyjskich samolotów.*

*— To co?! — przedrzeźniał Jaś-rybak. — To wolicie gnić w obozach koncentracyjnych? Albo choćby siedzieć w tym śmierdzącym Dakarze aż do samego końca wojny?*

*— Udało się tamtym dwom statkom, dlaczego i nam się miałyby nie udać? — poparł go cieśla Fopka.*

*— Francuzi wtedy tak jeszcze nie czuwali!... „Radłowo” i „Kalisz” były mniejsze, łatwiej przeskoczyły przez sieci! Nasz głębiej chodzi!...*

*— Głębiej, nie głębiej, ja wolę uciekać! Obrzydła mi już ta francusko-szwabska opieka! — i Jaś-rybak zanucił ulubioną piosenkę, którą często sobie nucił podczas niejednego sztormu na wodach Biskaju: Żadne burze, żadne wichry Nie zgubią „Kromania”...*

*Tego wieczoru słońce zachodziło za fantastycznym kłębowiskiem*

*chmur, jakby i niebo nastrajało się na ludzką dolę i brało żywy udział w heroicznym wysiłku. Noc zapadała nad wyraz ciemna. Około dziesiątej godziny kapitan zwołał swych oficerów i odbył z nimi krótką naradę. — Więc uciekamy! — zakończył swą odprawę. — Stawiamy wszystko na jedną kartę, pokładając wiarę w nasze siły i w dobrą naszą gwiazdę.*

*Należy stwierdzić z dobitnym uznaniem, że większość oficerów polskiej marynarki handlowej w jej najcięższych chwilach w czasie wojny czy to na Bałtyku, czy na Morzu Śródziemnym, czy gdzie bądź na wertepach oceanów, nieodmiennie okazywała prawdziwe dowody bohaterstwa i nigdy nie zawodziła pokładanej w niej wiary. Niezależnie od grozy wypadków nigdy nie zawahała się przed wykonaniem swej powinności. Toteż i teraz decyzję kapitana Dybka przyjęli oficerowie „Kromania” z ulgą i radością.*

*Około godziny jedenastej w nocy zaczęto wybierać kotwicę. Niezmiernie powoli, z zachowaniem środków ostrożności, unikając zdradliwych stuków i zgrzytów łańcuchów. Powiodło się. Kotwica wynurzyła się wreszcie z wody i zawisała tuż pod kluzą. Nikt na redzie nic nie słyszał. Obce statki leżały spowite w ciemnościach jak nieme zwierzęta. Ledwo majaczyły ich kontury. Groziło od nich wielkie niebezpieczeństwo, lecz na razie było uspione.*

*Nieuchwytnie dla oka „Kromań” zaczął się posuwać. Najwrażliwszy nerw ludzki nie poczułby żadnego drżenia w jego kadłubie, i mogło się zdawać, że to cichy prąd morski ponosi bezwładny statek. A jednak!*



*Wypadało tylko przyłożyć ucho do żelaznych ścian, by posłyszeć  
miarowe, powolne, przytłumione uderzenia maszyn. Dobywały się  
gdzieś z najtajniejszych czeluści „Kromania” i były wyraźne jak  
uderzenia czyjegoś serca.*

*To w istocie biło serce żelaznego olbrzyma i, rzecz przejmująca, rzecz  
przedziwna, owo serce, jakkolwiek karmione nie krwią, lecz parą, biło  
pod takt tych samych najgłębszych uczuć i pragnień, jakie przenikały  
żywe, ludzkie serca na uciekającym „Kromaniu”.*

18.

*Kapitan stał na mostku i wzrokiem przesywał czarną zasłonę rozpościerającą się wokół. Jak rano tego dnia potrafił zogniskować całą wolę, by agentowi Roux narzucić swą myśl, tak teraz wszystkie swe siły, całą duszę wlał w swe oczy, by przebić i opanować tajemniczą otchłań przed statkiem. Co chwila rzucał sternikowi ciche, ważne słowa. Od oczu jego i od tych słów zależało już wszystko: ocalenie lub klęska.*

*„Kromań” posuwał się na ukos w stronę lądu. Skradał się jak ślepy, po omacku, w zupełnym zaciemnieniu i w największej ciszy. Tu i ówdzie wylaniały się z ciemności niewyraźne kadłuby statków drzemiących na kotwicach. Starał się omijać je z daleka. Wewnętrzny pas sieci, zamykający redę, dochodził do lądu w pobliżu mielizny, zwanej Resolute Bank. Między tą mielizną a siecią była niewielka, otwarta przestrzeń wody. Rodzaj niezbyt głębokiej cieśniny, do której zmierzał teraz „Kromań”. Przeprawa była ryzykowana, gdyż z lewej strony groziło ugrzęźnięcie w piasku, z prawej strony zamotanie się w sieci. Należało utrafić w sam wąski środek cieśniny i raczej żeglarską intuicją niż oczyma wymacać przejście. Statek pełził na najniższych obrotach śruby.*

*Intuicja nie zawiodła. Wskazała słuszną drogę. Statek szczęśliwie przeszedł. Nie było jeszcze północy. Miał za sobą pierwszą przeszkodę i gdy dostał się na głębsze wody, puścił zaraz pełną parę, dążąc z całych*

*sił w kierunku drugiej, zewnętrznej sieci.*

*— Tfu, aż mi się zaraz lżej zrobiło! — ktoś na pokładzie odsapnął głośno, od serca.*

*Jaś-rybak stał przy sterze, gdyż był najtęższym sternikiem i na wylot znał każde drgnienie głosu kapitana, zaczął z cicha nucić sobie pod nosem jakby od uroków:*

*Żadne burze, żadne wichry*

*Nie...*

*Nagle wszystkim marynarzom struchlały dusze. W porcie zaświecił reflektor. Snop światła, straszliwie brutalny, obnażył część redy i morza. Macał powierzchnię wody i szukał gorączkowo. Na szczęście było to po stronie portu przeciwległej do tej, na której znajdował się „Kromań”. Lecz promień nie stał w miejscu. Zaczął smykać po redzie wachlarzowym ruchem, oświetlając jedną rzecz po drugiej swym długim ramieniem. Budził uśpione na redzie statki i oglądał je dokładnie. Chwilami gasł, potem znów wytryskiwał i tak czułgał się wszere portu, przepojony jakąś srogą żądzą patrzenia i drapiezną chciwością ; odkrycia.*

*Gdy zbliżał się do „Kromania” i gdy wszystkim już się zdawało, że wybiła ostatnia godzina, światło nagle zgasło. Ludzie \ na statku doznali wówczas dziwnego wrażenia: najchętniej chcieliby wtłoczyć siebie, i cały statek pod powierzchnię wody, by ich nie widziano.*

*Dopiero po chwili reflektor zabłysnął od nowa i wtedy stwierdzono, że podczas ciemności przeskoczył statek i zaświecił nieco dalej. Nie odkrył*

*„Kromania”. Potem zgasł, I już na stałe; więcej się nie pojawił.*

*Jaś-rybak, marynarz uparty, chciał przynajmniej teraz dokończyć piosenkę i już podejmował przerwany poprzednio śpiew, gdy powtórnie nie dano mu głosu. Tym razem kapitan przerwał jego zapędy. Krzyknął ostrym, tłumionym głosem: -Uwaga! Sieć przed dziobem!... ^ Statek wpadł w nową fazę napięcia.*

*Równocześnie rozległo się z dziobu „Kromania” ostrzeżenie pierwszego oficera Fadieja pełniącego tam wachtę:*

*— Uwaga! Sieć przed nami!*

*Było to zbyteczne, gdyż kapitan na mostku sam ją już zauważył i ujawszy rękojeść okrętowego telegrafu, energicznie przesunął ją na znak „Stop”. W oka mgnieniu podchwycono rozkaz w maszynowni i wykonano. Z dołu odezwał się dźwięk potwierdzającego dzwonka.*

*Należało jak najszybciej zatrzymać śrubę „Kromania”, by nie wplątała się w sieć. Śruba na czas ustala. Statek szedł dalej. Miał ogromną siłę rozpędu.*

*Zaczęło się dziać. Były to tylko chwile, lecz napelnione szarpiącym skurczem naprężenia sekundy rozciągały się w nieskończoność.*

*Samo uderzenie dziobu o sieć było niewspółmiernie nikłe. Rozległ się tylko głuchy stuk, bo trafiono w boję i ludzi popchnęło trochę do przodu.*

*Lecz potem! Co za odgłosy potem! Jakież skrzypy, zgrzyty, rżenia! Z jakąś niepohamowaną nienawiścią żywego potwora żelazo sieci chciało zatrzymać żelazo statku, wczepiając się ostrymi pazurami w jego dno.*

*Osuwało się i znowu wczepiało.*

*I wciąż łoskoty, bez końca łoskoty i zgrzyty! „Kromań” trząsł się przy tym jak w przedśmiertnych drgawkach. Nigdy walka o życie statku nie była chyba tak przejmująca: szarpała nerwy, a ludzie doznawali uczucia, że to nie dno statku, lecz ich własne nerwy, ich własne brzuchy*

*czołgały się po ostrych zasiekach i rwały się w strzepy.*

*Było jeszcze inne wrażenie. Gorsze. Marynarzom wciąż się zdawało, że oto statek już stanął, że sieć już go zatrzymała. Niczym nie można tu było pomóc, człowiek był bezsilny i bezbronny, i tylko podniecone nerwy jego brały udział w tej walce. Statek przepychał się coraz powolniej. Szybko zamierał jego pierwotny rozpęd. Lada chwila „Kromań” mógł stanąć. Lada chwila musiał stanąć.*

*I ludziom nie tylko się zdawało, że już stanął. Zdawało im się, że nawet się cofa. Że sunie wstecz. Że wraca do Dakaru. Nerwy.*

*I nagle, jak nożem uciął, wszystko ucichło. Wszelkie łoskoty ustały.*

*Ustały także wstrząsy. Grobowa cisza zaległa statek.*

*— Jezus Maria! Stanął! — wrzasnął ktoś w ciemnościach. Wszystkie serca przeszło przerażenie, że oto stało się najgorsze, że statek ugrzązł na sieci.*

*A wtem z rufy krzyknął marynarz. Stał tam wachtowy marynarz i pilnował statku z tyłu. Nagle krzyknął i chociaż marynarze mają zazwyczaj głosy rubaszne i szorstkie, tym razem głos jego rozległ się nad pokładem jak głos anielski. Był to głos anioła. Marynarz krzyknął, nie — zawył z triumfu:*

*-Sieć za rufą!...*

*Dobry, wierny, dzielny „Kromań” przepchał się przez sieć. Zaczne pudło nie zawiodło ludzkiej wiary. Przeszło na drugą stronę swego bytu, wybrnęło ha wolność.*

*Cieśla Fopka, który na ogół niełatwo podlegał wzruszeniu, znieca*

*rozzewnił się i z trudem powstrzymywał łzy. Kochał statek wielką,  
dziwną jakąś miłością. Teraz szeptał, raczej szlochał:*

*— O Boże, o Boże!...*

*Maszyny od nowa zadudniły, rozpędził się statek. Jeszcze czas jakiś  
trzeba było kryć się wzdłuż brzegu, by reflektory nie chwyciły.*

*Będą mijaly brzemienne minuty w trwodze. Jeszcze patrolowiec  
francuski, ukryty niedaleko w ciemności, zasygnalizuje do niego  
złowrogo świetlnym morsem. Lecz nie powstrzyma rozpędu*

*„Kromania”. Nic nie stłumi jego parcia naprzód, nie zatamuje jego drogi  
triumfalnej. Drogi, u której źródła był twórczy podstęp, była zawziętość  
i fantazja, i namiętna, nieposkromiona, święta żądza wolności. Była  
polska fantazja, o której z takim przekąsem mówił francuski admirał.*

*Później, w głębi nocy, zwoła mężczyzn do salonu „Kromania” mała  
niewiasta, dzielna żona kapitana. Odprawi jak gdyby jakoweś  
serdeczne gusta. Nakarmi ich, napoi ich i jak zwykle nasyci matczynym  
ciepłem i kobiecą troskliwością. Byli silni, będą jeszcze silniejsi.*

*I Jaś-rybak nareszcie dokończy swą piosenkę, że doprawdy żadne  
burze ani wichry nie zgubią „Kromania”. Musi to do końca wyśpiewać,  
bo tyle nagromadziło się w nim rozpierającej wiary i tyle uczciwej  
radości.*

20

*Londyn, dnia 31 lipca 1940 roku*

*Admiralicja Brytyjska*

*Dear General Sikorski*

*Głównodowodzący na Atlantyku południowym zawiadomił o przybyciu do Freetown polskiego statku „Kromań” (kapitan Dybek), który wyrwał się z Dakaru dnia 27 lipca.*

*Francuskie władze usunęły główny zawór z maszyn, lecz mechanicy statku dokonali doraźnej reperacji. Wypompowano balast, by umożliwić ucieczkę statku poprzez zewnętrzne sieci, i pomimo że kapitan nie posiadał map, zdołał wyprowadzić statek bezpiecznie do Freetown.*

*Głównodowodzący powinszował kapitanowi z powodu śmiałego czynu, a Admiralicja pragnie dodać swe gratulacje wobec pięknego wyczynu.*

*Jest to już szósty polski statek wyrrywający się z portów Francuskiej Afryki Zachodniej i Brytyjska Marynarka Wojenna jest pełna podziwu dla wspaniałego ducha okazanego przez polskich kapitanów i marynarzy, którzy z determinacją nie dopuścili, by polskie statki wpadły w ręce wroga. Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku.*

*(-)A. W.ALEXANDER*

*Pierwszy Lord Admiralicji*



21.

*Przygoda „Kromania” w Dakarze, jakkolwiek tyczyła się doniosłych spraw statku, rozgrywała się przecież z daleka od właściwego teatru wojny, na afrykańskich rubieżach. Dopiero w kilka miesięcy później, pod koniec 1940 roku, dane było statkowi doznać prawdziwej wojny i wejść w ogień. Dostał się w sam najgorętszy w owe czasy wir walki na morzu: na wschodnie wybrzeże Anglii.*

*Londyn był zawsze nienasyconym żołądkiem, który karmić trzeba było dosłownie wszystkimi środkami komunikacji. Wewnętrzne drogi lądowe, łączące go z angielskim zapleczem i z portami zachodniej Anglii, przeciążonej szczególnie w czasie wojny, już nie wystarczały. Z pomocą przyjść musiała żegluga przybrzeżna. Więc ciągnęły z północy na południe nieprzebrane łańcuchy konwojów; setki statków dowoziły wzdłuż brzegu miliony ton ładunku. Była to pomoc wybitna i rozstrzygająca. Była to arteria życiodajna. Jej przecięcie znaczyłoby dotkliwą klęskę i ciężkie tarapaty dla Londynu. O tym Niemcy wiedzieli. Charakterystyczną cechą Bitwy o Brytanię, stoczonej w sierpniu i wrześniu 1940 roku, były, jak wiadomo, dzienne naloty nieprzyjaciela. Po przegraniu tej bitwy hitlerowcy zmienili taktykę i przeszli na nocne działania lotnicze, przy czym cel pozostał wciąż ten sam: Londyn. Słynne stały się przejścia nieugiętej stolicy, rozmiary jej zniszczenia, orgie pożarów, cierpienia mieszkańców. Potężne tomy opisów opiewają bohaterską postawę ludności.*

*A jednak o ten sam Londyn w tym samym czasie toczyła się nie opodal, u ujścia Tamizy, druga bitwa pełna poświęcenia, zawziętości i męstwa, bitwa decydująca i krwawa, chociaż bez rozgłosu, bez piewców, niemal bez echa. Bitwa o ujście Tamizy. Toczyły ją statki handlowe i ich eskorty. Bojownikami byli marynarze przybrzeżnej floty. Wróg walił w nich dniem i nocą z niebywałą furią z przeróżnej broni. Szarpał ich konwoje, czynił dotkliwe wyrwy, słał statki i ludzi na dno morza. Przegrał. Systemu komunikacyjnego nie zerwał, arterii przybrzeżnej nie zburzył, Londynu nie odciął od morza.*

*I na tym również odcinku, jak gdzie indziej, marynarze alianccy spełnili swój obowiązek, złożyli dowody wielkiej wytrwałości i siły charakteru. A obok marynarzy brytyjskich byli liczni Polacy. Były ich statki. Był między innymi „Kromań”.*

*Największe natężenie tej bitwy przypadło na zimę i wiosnę 1941 roku. Był to okres krwawego żniwa i wielkich ofiar. U ujścia Tamizy powstały istne cmentarzyska rozbitych statków. Sterczały tam przez długie lata z mielizn Morza Północnego wymowne czuby umarłych masztów. Długo jeszcze przypominały ludziom, że tu walczyli o Londyn i ginęli marynarze przybrzeżnej floty. Że owi prości, niepozorni, głośną chwałą nie okryci ani zbytним uznaniem nie rozpieszczeni bojownicy brali poważny udział w bitwie o Londyn, odnosząc zwycięstwo na tym ważnym odcinku wojny.*

22.

*Gdy „Kromań” przybył pod koniec roku 1940 na wschodnie wybrzeże Anglii, był jak zaniedbane pacholę i nie miał żadnej broni. Lecz miał zuchwałe serce i był jak rekrut pełen gorliwej otuchy.*

*Nasamprzód wmontowali mu chwalebny przyrząd de Gaussinga, aby raz na zawsze pozbył się strachu przez minami magnetycznymi.*

*Dostał także na rufę armatę jak się patrzy, sześćofuntowe działo przeciwlotnicze. Drugi oficer Sulatyk był tej szacownej broni godnym opiekunem i dowódcą i wnet stał się artylerzystą całą gębą. W spotkaniach walił i grzmocił suto, że trzęsło się Morze Północne.*

*Konwoje szły tylko w dwóch rzędach z powodu wąskiego farwateru, obramowanego z jednej strony polami min, z drugiej strony mieliznami przybrzeżnymi — i dlatego statki tworzyły niezmiernie długie łańcuchy, ciągnące się kilka dobrych mil. Eskorty było w owe czasy stosunkowo mało i trudno jej było obronić cały konwój. Statki same musiały pilnować swej skóry i im mocniejszy który posiadał ogień, tym lepiej odgryzał się napastliwości nieprzyjacielskich bombowców.*

*Najlepszą obronę stanowiły karabiny maszynowe, lecz było ich wtedy mało na Wyspach Brytyjskich. Uosabiały szczyt marynarskich marzeń. Statki poszukiwały ich namiętnie, jak dawni piraci skarbów, i ustawicznie urządzały na nie łowy na lądzie. I znów „Kromań” zasłynął jako niedościgniony spryciarz. Posądzano go prawie o czarną magię, nieledwie o konszachty z nieczystym. Skąd wytrząskiwał tyle broni i*

*amunicji, pozostanie chyba wojenną tajemnicą kapitana Dybka i jego załogi. „Kromań” wnet posiadał całą masę karabinów maszynowych, stawał się pływającą fortecą. Ogniem miotał jak szatański smok, nie szczędził pocisków i wkrótce wiadomo było we wszystkich portach od Londynu do Edynburga, że to statek, którego załogę ogarnęło prawdziwe szaleństwo prażenia do nieprzyjaciół.*

*Skuteczną a dziwną bronią był prożektor Holmana, wyrzucający za pomocą zgęszczonej pary do wysokości około stu metrów coś w rodzaju ręcznego granatu, który wybuchał w powietrzu z oszalamiającym błyskiem. Była to broń zaporowa, pełna tupetu, zadzierzysta i mieszająca szyki bombowcom. Statki na ogół niezbyt cenily Holmana, lecz „Kromań” w swej pasji kolekcjonerskiej upodobał sobie właśnie tę broń. Całkiem słusznie, a Fadiej, starszy oficer, stał się jej wielkim mistrzem i miłośnikiem. Doszedł do takiej doskonałości, że wypuszczał granaty co sekundę, tworząc nad statkiem imponujące piekło wybuchów. Tylko że Fadiej, zajęty manipulacją, nigdy nie orientował się dokładnie w kierunku nieprzyjacielskiego bombowca. Więc co chwila krzyczał przeraźliwie do radiotelegrafisty, obsługującego najbliższy karabin maszynowy: — Radio, powiedz, gdzie on?... Radio, powiedz, gdzie on?!... Głos jego przenikał grzmotem wszystkie zakamarki statku i w końcu przyjął się jako bojowy okrzyk „Kromania”: Radiogdzieon!*

*Z góry, z lotu bombowca, owe konwoje przypominały pochody mrówek, ciągnących ogromnie długą linią jedna za drugą.*

*Czarnymi cętkami odznaczały się na popielatym tle Morza*

*Północnego. Nie zawsze łatwo było je upolować, oczywiście: kąśliwe mrówki. i*

*Lecz jedna z nich była najzjadliwsza, niewielka, natomiast zionąca jak dzika kwasem swej broni. Niebawem nieprzyjacielskie bombowce znały dobrze małą bestię i jak gdyby urządzały na nią specjalne polowania. Lecz rezolutna sztuka była trudnym kęsem. Broniła się znakomicie i co atak coraz skuteczniej. Nabierała wojennej wprawy, okrywała się ogniem i dymem, pluła, rzygała. Na nic się nie zdały zaciekle łowy. Darmo wróg przysięgał sobie zniszczenie „Kromania”.*

*— Radio, gdzie on?! — rozlegał się na Morzu Północnym częsty krzyk Fadieja i granaty jego pękały, pienily się karabiny maszynowe, działo na rafie huczało, cały „Kromań” dygotał od szaleństwa i pasji. A od tej zapalczywości ogłuszającej zmykały wrogie bombowce jak przepędzone kundle.*

*Było na co patrzeć. Marynarze na sąsiednich statkach, starzy Anglicy, Holendrzy, Norwegowie, Szkoci, spojierali na to wszystko w wielkim zdumieniu i z zabobonnym prawie lękiem uśmiechali się do siebie powtarzając:*

*— The Pole is going wild!... (Polak się wścieka!)*

*— The Pole is firing heli!... (Polak wali piekielnie!)*

*I z podziwem kiwali poważnie głowami.*

23.

*Nielatwo to przyszło. Wojny tej trzeba się było uczyć dokładnie: i funkcji karabinów maszynowych, i funkcji swej duszy. I szybko uczyć. Czasu nie było na żmudne doświadczenia. Gdy zaraz w pierwszy dzień pierwszego rejsu „Kromania” bombowiec wyskoczył z chmur, nie było wacht przy karabinach. Obsługa broni porwała się co tchu na stanowiska. Lecz zanim dobiegła, samolot spuścił bombę i uciekł, na szczęście chybił. Późno otworzono ogień, za późno. Pierwsza nauka: stałe pogotowie wacht przy broni. Rzecz pozornie tak prosta i zrozumiała lecz jakże trudna do wykonania na statku handlowym. Gdy innym razem zbliżał się samolot, trudno było stwierdzić, swój czy nie swój. Załoga „Kromania” wytrzeszczała gały, by w myśl przepisów sumienne rozpoznać znaki. Smutno się skończyło. Bombowiec lupnął dwie bomby tuż za rufą statku. I znowu za późno go ostrzelano. Gdy podobne wypadki powtórzyły się, papierowe przepisy poszły w kąć i życie nauczyło drugiej ważnej lekcji: walić, ile ognia, do każdej zbliżającej się podejrzaney maszyny. Warkot nie zawsze zdradzał zbliżanie się nieprzyjaciela, który ujrawszy z daleka konwój, często zamykał silniki i podstępnie ślizgiem wpadał na statki. Były to niebezpieczne zaskoczenia i wtedy tylko bystre oko ostrzegało przed drapieżnikiem. Tak pewnego razu znienacka wypadł z chmury bombowiec na zamkniętym motorze. Szedł od dziobu konwoju i trzymał się na niskim*

*pułapie. Dzień był wyjątkowo szary i chmurny, toteż w panującym półmroku wyraźnie widać było nieustanne jasne błyski w nadlatującej maszynie. Fadij na mostku przyglądał się przez lornetkę i spokojnie zauważył:*

*— Daje niby sygnały świetlne!...*

*Lecz już w następnej chwili przekonano się, jakie to sygnały. Po prostu niemiecki bombowiec siekł z karabinów maszynowych. Kapitan Dybek pchnął błyskawicznym szarpnięciem Fadijja za żelazną ochronę i to go uratowało; dziesiątki pocisków obsypały mostek i pokład statku grzmotliwym gradem.*

*Ten sam bombowiec, przelatując, rzucił tak blisko bombę, że jakkolwiek padła poza burtę, w statku popękały rury i popuszczały nity.*

*Szkody wypadają leczyć w doku.*

24.

*W owej surowej szkole, w której Morze Północne wicherzyło się wiecznym gniewem, a wróg groził co chwila zagładą, krzepły charaktery, męźniały serca i jednocześnie życie, sprawa na pozór niedorzeczna, nabierało nowego uroku i ponętnej wartości. Im zapalczywiej wróg godził, tym namiętniej marynarze chcieli żyć i życia bronić. Broń, jaką posiadli, owe karabiny maszynowe, owo działo na rufie czy wyrzutnik granatów, nabierała w ich prostolinijnych duszach cech jakiejś wzniosłej wartości. Były to dla nich niemal żywe istoty, jak żywymi są ludzie przyjaciele. Były to stalowe symbole ciągłości ich marynarskiego życia.*

*Toteż obchodzono się z bronią jak z czymś niezmiernie ukochanym i ta troskliwość w zetknięciu się z brutalnością wojennego żywiołu niemalże doprowadziła do katastrofy „Kroma-ma” .*

*Kiedyś w lutym uporczywa szaruga chłostała konwój. Wicher wyl w olinowaniu, mroźny deszcz bił po statkach, w powietrzu tłukły się mgliste kłębowiska. Widzialność była słaba. Niczego się nie spodziewając w taką złą pogodę, „Kromań” pieczołowicie pokrył wszelką broń brezentami od deszczu.*

*A tu jak na złość z szarej masy obłoków zaatakował go bombowiec nurkowy. Zauważono go, jak schodził, jak rósł w oczach, jak rzucił bombę, jak się podrywał. Bomba chybiła celu, a w wodzie nie eksplodowała. Wszystko dokładnie widziano. Marynarze szarpali*



*pokrywy, walczyli z nimi, wreszcie zdarli. Broń była gotowa. Za późno.*

*Samolot znikł już w chmurach i nawet nie otworzono doń ognia.*

*Ale nieprzyjacielski pilot, rozzuchwalony widać, brakiem obrony,*

*chciał koniecznie zdobyć laury i zaatakował po raz drugi. Postanowił zejść niżej i lepiej wymierzyć. Lecz teraz byli gotowi. Nie dopuścili go.*

*Jak zagrzmocą, jak zagrzeją, jak zaryczą, jak zaprują — nic, tylko uwierzyłbyś: bojowy krążownik.*

*Nagle w bombowcu coś przeraźliwie błysnęło. Jakiś wybuch.*

*Samolot dostał, choć nie spadł. Już bomby nie rzucił. Wykonał*

*gwałtowny zwrot. Zaczął uciekać. Nie dali mu spokoju. Rznąli i rznąli za*

*nim. Zacierał się w szarudze, już zniknął. Jeszcze sypali, jeszcze nie*

*popuszczali. Ulżyli sobie. Lufy były gorące, gdy wreszcie strzały*

*zamilkły. Rozognione również były ich oczy.*

*Ciszę na pokładzie przerwał nagle Jaś-rybak rzeczowym głosem:*

*— Ten w tym miesiącu nie wróci!...*

*Więc nauka nie szła w las. „Kromań” bronił się coraz skuteczniej i w*

*końcu doszedł do niebywalej doskonałości. Ogień, jaki potrafił*

*wyrzucać z siebie, napelniał grozą napastników i nie sposób im było*

*zbliżyć się do kąśliwego zapaleńca. Coraz częściej bombowce skręcały*

*przed nim w popłochu i zrzucały bomby na chybił trafił. Jeżeli statki*

*handlowe stały się w tej wojnie do pewnego stopnia jednostkami*

*bojowymi, to „Kromań” osiągał jakby ideał obronności i przedstawiał*

*wzór walecznego zapału. By istnieć na tych wodach, by przetrwać,*

*takim właśnie wypadło być: szermierzem zjadliwym i palającym, osą*

*nieposkromioną i niedostępną.*

*Załoga „Kromania” dokazywała nieraz cudów. Mimo to po każdym odpartym ataku kapitan Dybek złościł się i wymyślał ludziom, że krzżeli się jak ospale żółwie, a ognia było za mało. Wiecznie za mało!*

*Była*

*to*

*skrajna*

*niesprawiedliwość,*

*lecz*

*z*

*tych*

*rzadkich*

*niesprawiedliwości, które nie ranią i nie bolą. Przeciwnie, tym więcej*

*lubiano kapitana.*

25.

*Wilcza taktyka nieprzyjacielskich ścigaczy była koszmarem przybrzeżnej żeglugi. Płaskie łodzie przenikały nocami łatwo poprzez brytyjskie pola minowe i zaczynały się na trasie konwojów, zazwyczaj przy jednej z boi. Drobne i niskie, były prawie niedostrzegalne, same zaś widziały sylwetki zbliżającego się konwoju. Wystrzeliwszy z bliska swe torpedy, zaczynały uciekać. Ich zwinność i zawrotna szybkość upodobiły je do nieuchwytnych duchów. Wrogie cienie tylko smykały w mroku. Równocześnie zahukiwały ich motory przeszywającym warkotem. Ze statków zrywały się spazmy nerwowych strzałów, które zawsze chybiały. Chwile dzikiej strzelaniny na ślepo i zamętu. W mig stado wilków się rozpryskiwało. Skowyt silników zanikał w dali. Napad się kończył. Nastawała znów cisza i tylko kilka poszarpanych torpedami statków zapadało się na dno. Umierały główne osoby dramatu.*

*Na szczęście aura Morza Północnego nieczęsto sprzyjała tym harcom: ścigacze nie znosiły wysokiej fali.*

*Bronią jeszcze podstępniejszą były miny. Wróg zrzucał je z samolotów z regularnością automatu co noc szczególnie u ujścia Tamizy i co rano rozpoczynała się oczyszczająca praca brytyjskich trawlerów. Praca nader sumienna.*

*Pamiętna była dla „Kromania” Wigilia w drugą Gwiazdkę u ujścia Tamizy. Statek był wtedy wyznaczony na komodora konwoju, który*

*miał wyjść przed świętami, lecz na skutek trwałej mgły zbierał się przez kilka dni i dopiero w samą Wigilię był gotów.*

*Wśród mgły konwój wychodził ostrożnie z Tamizy na szersze wody, powoli zmieniając swój kurs na północny. Słaba widzialność była marynarzom na rękę, gdyż zwiastowała noc spokojną od bombowców i ścigaczy.*

*Wigilię Bożego Narodzenia „Kromań” obchodził zawsze uroczyście i w nastroju rodzinnym. Tego dnia kapitanowa wyjątkowo troskliwie przygotowała w salonie wspólną dla całej załogi wieczerzę.*

*Wtem nastąpiła katastrofa. „Kromań” przeszedł ponad miną, która jednak wybuchła nie zaraz, lecz w chwilę później, już między nim a następnym statkiem, bliżej tego ostatniego. Była to widocznie mina magnetyczna. Wybuchła z siłą tak ogromną, że według słów kapitana „Kromań” wyskoczył z wody jak na jednej nodze. Natomiast statek za nim rozpadł się na części, które od razu nikły pod powierzchnią wody wraz z całą załogą.*

*Więc nie było już uroczystej Wigilii i zaniechano wspólnej wieczerzy. Wszyscy jedli u siebie, jak każdego innego dnia. Kapitan poszedł do oficerskiej messy i do kubryku łamać się opłatkiem. Byli smutni i mało mówni, byli zamyśleni. Wszyscy spostrzegli kruchość swego istnienia i jakąś bezwzględną zależność od niewidzialnej ręki losu. A niektórzy nawet zaczęli się modlić. Marynarze się modlili!*

26.

*Owej nocy na początku maja 1941 roku świeciła pełnia księżyca.*

*Pogoda była wymarzona dla nieprzyjacielskich bombowców i dziwiono się, że jeszcze nie nadlatywały. Spokój wydawał się czymś I tak nienaturalnym i niepokojącym, że kapitan Dybek nie zwalniał ludzi ze stanowisk przy broni i nie posyłał na zasłużony sen.*

*Przezorność opłaciła się. Około północy pojawiły się trzy bombowce.*

*Leciały od tyłu i dążyły do przodu konwoju, by widocznie tam rozpocząć atak.*

*Jeden z nich pruł wzdłuż kolumny, w której znajdował się „Kromań” i trzymał się nisko, na wysokości dwóch masztów. Nikt do niego jeszcze nie strzelał. Konwój był zaskoczony.*

*Nieprzyjaciel dostał pierwsze strzały dopiero z „Kromania”; i był to ogień znamieny dla tego statku: natychmiast uderzył i w najsilniejszy ton, wzbil się na najwyższą nutę. Ze wszystkich wylotów luf poszły gwałtowne błyski i gromy. Jak gdyby od razu z pełnej piersi zerwał się okrzyk.*

*W tym spotkaniu księżyc był sojusznikiem. Pozwalał marynarzom widzieć cel jak na dłoni. Nawet czarny krzyż zarysował się wyraźnie na kadłubie bombowca.*

*Walono w niego obfitym, niemal radosnym ogniem. Nagle, gdy nieprzyjaciel był na trawersie „Kromania”, nastąpiła wspaniała rzecz. Samolot się zachwiał. Jak ptak śmiertelnie trafiony, potknął się na swej*

*powietrznej drodze i zaczął spadać. Nagle inaczej zawyły jego silniki, jakby z bólu, świstem prawie obłądnym. Sekunda, dwie: już po nim! Zderzył się z wodą! I jakby tego nie dość było, jeszcze wybuchły w nim bomby. Wroga rozszarpała własna jego broń, lecz od wstrząsu i na „Kromamu” popękały rury balastowe.*

*Tymczasem dwa inne bombowce popędziły do czoła konwoju i tu jeden z nich, dostawszy się w zasięg eskortującego kontrtorpedowca, został również zestrzelony. Trzeci natomiast zdołał dorwać się do swego: zatopił jeden statek i uciekł.*

*„Kromań” strzelał dotychczas do wielu bombowców i niejednego z nich zdrowo poturbował. Lecz ten pierwszy został strącony klasycznie, jak na widowisku, na oczach wielu świadków, z okazałością, z natychmiastowym wynikiem.*

*„Kromań” był to statek handlowy, zawsze świadomy swego obowiązku: przewożenia ładunków, lecz był to równocześnie statek coraz bardziej zaprawiony i rozmiłowany w boju. Na wschodnim wybrzeżu*

*Anglii*

*w*

*ogniu*

*bezustannych*

*niebezpieczeństw*

*krystalizowała się coraz wyraźniej jego istotnie polska natura:*

*„Kromań” stawał się bitny. Zdobywał wielką, jedyną, jedynie słuszną*

*tej wojny prawdę i wprowadzał ją uczciwie w czyn. Więc nie deklamował, nie puszył się, nie perorował, nie używał imienia ojczyzny daremnie, używał go w ogóle mało. „Kromań” za to bił. Woził solidnie swój fracht i strzelał z prawdziwych, stalowych pocisków do prawdziwych wrogów.*

*Taki był tej wojny najwyższy nakaz: bić wroga bezpośrednio.*

*„Kromań” wykonywał to gorliwie i skutecznie.*

27.

*Kiedyś przyszedłeś nad morze, człowieku ścieżek lądowych, i wstąpiłeś na kilka dni na pokład „Kromania”.*

*Owionęła ciebie nowa, orzeźwiająca bryza, a pierwszy napotkany marynarz „Kromania” przywitał cię życzliwie, jasnym „dzień dobry!”*

*Zdumiałeś się. Uderzyło cię jego ludzkie i głębokie brzmienie, z czym tam, na łodzi, nieczęsto się spotykałeś.*

*Potem stwierdziłeś, że na „Kromaniu” wiele się pośpiewuje.*

*Wachtowy nucił stare, sentymentalne melodie z czasów „Qui pro Quo”.*

*A krakowiaka wykrzykiwał marynarz malujący burtę. „Kromań” to śpiewający statek.*

*I ujrzaleś na pokładzie wiele zwierząt: psy-znajdy z Anglii, koty-samotniki z Francji, małpki-złośnice z Afryki. Marynarze kochali je. Chcesz rady starej jak morze? Ufaj marynarzom kochającym zwierzęta. Unikaj statków, gdzie nie ma zwierząt.*

*A oto „Kromań” zawijał do portu angielskiego. Był to staroświecki port-pułapka, że niech go rekin świśnie. Wchodziło się do niego przez wąską tamę. U wylotu kanału hulały boczne prądy przyprywy i odpływu i starały się rozbić statek o mur. Wejście do owego portu to przede wszystkim skomplikowana walka ze złośliwymi nurtami.*

*Czuleś, jak „Kromań” przed wejściem tężeje, jak zbiera się w sobie, cały staje w dziwnym naprężeniu. To już nie maszyna pływająca była, to skradający się zwierz. Do bramy zionącej grozą podchodził zwierz, by*



*przejsć przez próbę życia, jedną z tych wielu, jakimi najeżone są szlaki statków.*

*Pilot, przysłany z portu, zamilkł na mostku. Znow kapitan miał głos i rzucał krótkie słowa do sternika. Sternikiem był niezawodny Jaś-rybak. Jeszcze krótsze hasła rzucał kapitan telegrafem na dół do maszynowni. Nigdy nie było cięższej treści w ludzkim słowie niż w tej chwili: kapitan musiał opanować każdy nerw żelaznego kolosa, który był przekornym zwierzem, i jednocześnie musiał zwalczyć odwieczną niechęć lądu, okrutnego wroga wszystkich statków.*

*Kapitan opanował i zwalczył. Zwyciężyli. Weszli do kanału. Była przejmująca cisza.*

*Gdy powoli oddech wracał w swe zwykłe łóżysko, zrozumiałeś, że najbardziej zawzięte walki toczyć się mogą w najgłębszej ciszy. I teraz już na kapitana spoglądałeś inaczej, z większym zrozumieniem: pod powłoką jowialności i częstego uśmiechu odkrywałeś od nowa znamiona wielkiego nawigatora i domyślałeś się duszy prawdziwego marynarza.*

*Na „Kromaniu” poznałeś także piękny obyczaj, nie spotykany na innych statkach. Mianowicie dzień w dzień około godziny dziewiątej wieczorem oficerowie i niektórzy z załogi statku schodzili się do salonu kapitana na miłą towarzyską pogawędkę.*

*Kapitanowa częstowała ich kawą i zakąskami i co dzień powstawał w tej gromadzie zażyły i serdeczny nastrój, chyba z samego pogodnego nieba wzięty.*

*Ci ludzie — zarówno oficerowie w salonie, jak marynarze na kubryku — byli silni siłą młodych, zdrowych chwatów; w przyszłość patrzyli z zuchwałą wiarą i niezachwianą ufnością. Siedziałeś między nimi i własnym uszom ledwo dowierzałeś: ci marynarze byli rozumni, uczciwi i dobrzy. W piersiach ich biło tak mocne serce, że jego tętno i ciebie zdobyło i swym ciepłem zalało. Oczom twoim przedstawili się inni ludzie niż ci z mgieł lądowych, zwłaszcza londyńskich. Byli bliżsi słońca, bliżsi człowieka i bliżsi rzeczywistości.*

*Patrzysz na kapitana Dybka z coraz większym podziwem: on to stworzył ten nastrój. Nawet gdyby nie było przygód dakarskich ani strąconych bombowców niemieckich, ani tej czupurnej życiowej prężności polskiego statku, jeszcze wiele pozostałoby na „Kromaniu”: pozostałby twórczy nastrój jego kabiny salonowej i jego kubryku. A w nich rodzące się sprzęgło serdecznego porozumienia między kapitanem a jego oficerami, między oficerami a marynarzami, czynnik tak niesłychanie ważny dla zdrowej przyszłości polskiej marynarki handlowej — i dostrzegłeś tam jeszcze jakby narodziny szerszej wizji przyszłego, zdrowego obywatela świata.*

## **ICH BITWA**

*Ostatnia walka o ląd*

*Gdy statek wychodził z portu, pogoda panowała typowo angielska, nijaka: było ni to słonecznie, ni pochmurnie, ni ciepło, ni chłodno.*

*Niewyraźnie. Natomiast bardzo wyraźne były humory pięciu marynarzy Anglików: były złe.*

*Urzędnicy piwskim co niemiara, pienili się na urzędnika władz portowych, że odebrał im zbyt wczesnie przepustki lądowe. Gromy ciężkie rzucali na jego głowę, zarykiwali go stekiem sprośnych i innych wyzwisk i po raz pierwszy w życiu widziałem, jak Anglicy wpadają w szewską pasję.*

*Obrażali urzędnika ohydnie, on tymczasem siedział spokojnie w salonie kapitańskim i urzędował. Oni rozpaczliwie walczyli o ląd i przed wyjściem na Atlantyk chcieli uratować sobie jeszcze kilka godzin swobody w szynku, więc krzyczeli, że są Brytyjczykami i w brytyjskim porcie. Lecz on, głuchy na ich zaklęcia i przekleństwa, odebrał im przepustki.*

*Ich parkosyzmy były nie tylko zwykłym wygrazaniem pijaków: alkohol rozładował ukryte w nich napięcia, wyrzucił na wierzch lawę jakiejś zastarzałej goryczy. Był to wyraźnie wybuch nagromadzonej ponoć od pokoleń goryczy marynarskiej. Był to jak gdyby upust poczucia krzywdy zwykłego marynarza, krzywdy, na której -jak mnie zapewniał kiedyś jeden z tych marynarzy — Anglia od wieków budowała swą morską potęgę i chwałę. A zarazem był to pouczający pokaz innej tajemnicy, tajemnicy niezawodnej, niezrównanej, nieludzkiej niemal sprawności brytyjskiego aparatu urzędniczego: oto urzędnik portowy, na którego spadało tyle obelg haniebnych, ani na chwilę nie stracił cierpliwości, nie dał się wciągnąć w odmęt zapalczywości, pozostał do samego końca niewzruszony, nawet głosu nie podniósł. Lecz swego dopiął. Przepustki marynarzom odebrał.*

*Przed salonem, w przejściach, oparci o ściany i poręcze, czekali polscy marynarze na swoją kolejkę oddania przepustki. Mieli twarze znudzone. Ich już nie obchodził ląd. Zmęczeni jego powabami, pragnęli morza. W zadziwiającym przeciwieństwie do Anglików wcale nie chciało im się lżyć władzy lądowej. Nieustanne potoki krzyków nawet niecierpliwiły ich.*

*— Mięczaki! — sarknął przez zęby mój sąsiad, jakieś barczyste wilczyśko, pod adresem awanturników.*

*— Dlaczego? — obruszyłem się.*

*Spojrzał na mnie niechętnie, splunął przez poręcz:*

*— Dlaczego?! Wrzeszczą i wrzeszczą jak kawki, a w mordę nie leją...*

*Wreszcie pijacy odczepili się od lądowej zachcianki, zrezygnowali i złorzecząc z cicha, poszli spać. Po kilku godzinach wytrzeźwieli i objęli wachty.*

*Wkrótce i statek odczepił się od przystani, rzuciwszy cumy. Poszedł w kierunku ujścia rzeki.*

*Konwój się rodzi*

*Byliśmy wciąż jeszcze w głębi lądu. W miarę zbliżania się do morza ujście rzeki Mersey potężniało, brzegi uciekały w bok i coraz więcej było przestrzeni wodnej po burtach i coraz więcej wodnego życia w porcie.*

*Doki, stocznie, magazyny, spichrze, statki oceaniczne i rzeczne, holowniki, motorówki, wszystko to huczało i szumiało tętnem zawziętego napięcia, spieszyło się, prześcigało się. W tym olbrzymim porcie*

*liverpoolskim,*

*jednym*

*z*

*najważniejszych*

*węzłów*

*komunikacyjnych na Wyspach Brytyjskich, wszystko dyszało*

*gorączkową pracą wojenną, aż dziw, że i dziś, i każdej godziny nie*

*padały tu z góry wrogie bomby: życie portu kotłowało się przecież*

*jawnie, szeroko, wyzywająco, na widoku odkrytego nieba i na*

*przestrzeni wielu mil. Lecz w trzecim roku wojny bomby tu już nie*

*padały.*

*Nieprzyjaciel, wiadomo, przeniósł ciężar swego ataku dalej na*

*zachód, na Atlantyk Północny, i tam skoncentrował swe zagony, żądła*

*ukrywając pod powierzchnią morza. Sfory okrętów podwodnych*

*czyhały na konwoje. Często miały tłusty żer. Nastąpił właśnie ich okres*

*wzmoczonej działalności, okres wielkich hitlerowskich nadziei, a ciężkiej*

*próby dla sojuszniczych statków handlowych.*

*Statek nasz przez kilkanaście godzin posuwał się powoli, półparą.*

*Defilując przed olbrzymimi nadbrzeżami portu, był żywą cząstką i*

*współtwórcą przejmującego procesu, jakim jest formowanie się*

*konwoju. Daleko przed nami, ledwo widzialny gołym okiem wśród*

*oparów rzecznych, szedł statek, jak mnie objaśniono, komodora.*

*Wysyłał bez przerwy sygnały flagowe: były to rozkazy dowódcy,*

*powtarzane za nim i spełniane natychmiast na całej rzece. Z boków, z*

*mgieł przybrzeżnych wylaniały się od czasu do czasu inne statki i przylączyły się do naszego pochodu. Tworzyły zrazu chaos i gmatwaninę; wydawało się, że wszystko to popłacze się wzajemnie w jakimś niedorzecznym klębowisku, z którego już nie wyjdzie.*

*Nieprawda. Pod koniec dnia z tej pozornej zawilości, toczącej się bez przerwy ku morzu, zaczęły wyrastać kontury pewnego ładu. Zaczęły tworzyć się zwarte szeregi. Statki wchodziły w wyznaczone dla nich pozycje. Rodziła się z pierwotnej anarchii coraz doskonalsza harmonia ruchu, więcej, harmonia formacji wojskowej.*

*Wieczorem dało się już poznać istotne oblicze konwoju, skryształizowane w całej pełni: konwój rozwinął się w eskadrę, która wdzierала się na ciemniejące Morze Irlandzkie niby w szyku bojowym.*

*Mimo że to były statki handlowe, unosił się nad nimi wyraźny duch walki, dziwnej może, bo trwającej w stanie potencjalnym i rozgrywanej na przestrzeni trzech tysięcy mil. Lecz walki nie mniej zacieklej, wymagającej męstwa, silnych nerwów, wytrwałości i znanstwa swego rzemiosła.*

*Były w tym objawy sprężystości, był przyływ otuchy do ludzkich serc, była pewność zwycięstwa. Gdy wichur wezbrał od północy i uderzył w konwój brutalną pięścią, wszystkie liny, wszystkie maszty i bomby, wszystkie przedmioty nadwodne rozpienily się jakby porywającą pieśnią wiary i triumfu.*

*Za każdym razem, gdy konwój wychodził w morze, były chwile wzniosłości.*

## *Przyjaźń między morzem a powietrzem*

*Statek, na którym odbyłem rejs, znany był w żegludze polskiej od dawna, od samego swego powstania jako statek kawalerów. Młody kapitan i młodszy jeszcze oficerowie tworzyli dziarską i zgraną paczkę. Byli to znakomici marynarze, przejęci poczuciem obowiązku, sprawni na morzu, lecz równocześnie w swym młodzieńczym głodzie żądni zdrowych uśmiechów życia: bynajmniej nie stronili od wina, dziewczki i śpiewki. Lubili pracować i lubili się bawić, i powoli na tym statku wytwarzała się atmosfera morskiej koleżeńskości, podobna junackim duchem do tej na lądzie, jaka nieraz znamionuje oddziały wojska. Wojna nie stłumiła polotu statku, raczej nowych i szerszych dodała mu skrzydeł. Wprzęgnięty w służbę na Atlantyku, kilkanaście razy do roku przebywał ocean. Była to mordęga ciężka, wśród sztormów i ataków nieprzyjacielskich, lecz ludzie sprawowali się dzielnie. Umieili z przedziwną intuicją odnawiać zwałtoną energię i zdobywać równowagę na obydwu biegunach rejsu: w Nowym Jorku przyświecały im urzekające światła i uciechy Broadwayu, w Anglii zaś omotała ich rzetelna i wzruszająca namiętność, mianowicie miłość do polskich lotników. Statek, który stał się jakby opiekunem lotników i ich wujkiem z Ameryki, przywoził im z tamtej strony morza dary jak z rogu obfitości: tysiące papierosów, przymilne trunki, jedwabne pończochy dla przyjaciółek i inne wymyślne prezenty. Cały był przeniknięty tym lotniczym przywiązaniem, jak gdyby nareszcie znalazł szlachetny upust dla swego sercowego rozmachu, i nie było w tym nic dziwnego: między*

*krewkim*

*statkiem*

*a*

*zwycięskimi*

*lotnikami*

*istniało*

*pewne*

*pokrewieństwo temperamentów.*

*Przez kilka pierwszych dni po wyjściu na morze statek oddychał i żył*

*po prostu wspomnieniami o swych lotnikach. Tryskał echem*

*niedawnych jeszcze przeżyć:*

*— Piję za zdrowie — wspominali marynarze żartobliwe słowa Jana*

*Zumbacha, asa dywizjonu 303, zwycięzcy kilkunastu samolotów*

*nieprzyjacielskich i wesołego kompana, jakich mało — piję za zdrowie*

*rybek, które pożrą naszych marynarzy!...*

*— Janie, jak możesz tak krakać?!...*

*Lecz Zumbach z figlarną powagą w zamglonych, nietrzeźwych*

*oczach, wznosząc szklankę whisky:*

*— Trzeba przecież trzeźwo patrzeć w przyszłość!...*

*Innym razem znany myśliwiec, porucznik S., zmorzony snem, leżał*

*na kanapce w salonie, gdy z miasta powrócił kapitan statku. Lotnik był*

*po raz pierwszy na statku i nie znał się jeszcze z kapitanem. Więc*

*zbudzili go i przedstawili ich wzajemnie.*

*— Jakże się cieszę — rzekł S. do kapitana — że nareszcie poznaję*



*miłego prezesa tego kajaka...*

*Kapitan, jak słuchy niosą, w pierwszej chwili wyraźnie oniemiał.*

*Gdy innym jeszcze razem kilku lotników było u nich w gościnie w salonie, statkowi wypadło zmienić o kilkaset metrów swe miejsce przy nabrzeżu. W czasie manewru jeden z lotników, wyjrzawszy przez iluminator i widząc poruszający się brzeg, krzyknął:*

*— Dziwy, dziwy!... My pijemy, a ziemia się zatacza!...*

*Tak snuły się u marynarzy wesole wspomnienia: oddźwięki niewinnej frywolności i dopryski rześkich słów i najdrobniejszych szczegółów wychodziły razem z nami na pełne morze. Chowano je sobie jak drogie pamiątki z lądu pod szorstkim — dla niepoznaki — przeważnie płaszczem, lecz wnet odkrywałem, że owa przyjaźń lotników była więcej niż zwykłą przyjaźnią między mężczyznami: była niezbędną pożywką dla duszy, jak ciepły pokarm niezbędny jest dla ciała ludzkiego. Była nieodzowną częścią marynarskiego dramatu na Atlantyku.*

*Ponury Atlantyck i wesola melodia*

*Była wiosna w całej pełni, lecz ciepło trzymało się tylko lądu i wybrzeży. Dalej na morzu rozpętały się wiatry, przeważnie północne, podniosły się fale i zrobiło się chłodno, i przejmująco. Niebo, zawalone chmurzyskami, było złe tak samo jak morze i nie dopuszczało słońca do konwoju.*

*Ludzie niechętnie wychodzili na powietrze. Spoglądałem na sąsiednie statki, szukając tam śladu życia ludzkiego: nie było widać.*

*Pokłady sterczały puste, wymiecione, niegościnnie, bezduszne. Konwój składał się jakby z martwych członów żelaznych, jakby z olbrzymich żuków z posępnej bajki, sunących ku zachodowi. To wrażenie, szczególnie silne w pierwszych dniach, tłumilo wszystkie inne wrażenia i prawem upartego kontrastu przywoływało na pamięć morskie filmy, w których zawsze podziwiano się rozhulane życie na otwartych pokładach statków: rozkoszne były tam nastroje korsarskiej miłości wśród masztów. Na tle tych bujnych filmów nasz konwój wydawał się nierealny, wydawał się sztuką nie doreżyserowaną. Gdzież w takim zimnym wichrze wyobrazić sobie czule pary?*

*Statek nasz nie wiozł żadnego ładunku i szedł tylko pod balastem: wiadomo, skotłowana Europa nie miała czym obdarzyć Ameryki. Dla obciążenia załadowano piasek, który pokrywając przednie luki statku, tworzył tam wyniosłe pagórki i góry. Wiatr wzbijał czasem z tej miniaturowej Sahary tumany pyłu i sypał je w oczy wachtowych na mostku.*

*W tym przewożeniu piasku do Ameryki można było dopatrzeć się jakiejś absurdalnej symboliki -jednego z koniecznych absurdów wojny, przesypywania piasku z kontynentu na kontynent -i wizja piaskowej góry na pełnym morzu niewątpliwie wymierzała policzek pojęciu o zdrowym rozumie ludzi.*

*Tym*

*samym*

*prawem,*

*prawem*

*niedorzeczności, poczciwy bosman, brnący ciężko poprzez owe*

*pustynne wertepy ku dziobowi statku, mógł był znienacka udawać*

*muzułmanina, wznieść ręce i krzyczeć w świat: Allach illa Allach! Lecz*

*bosman był rozumny.*

*Przechadzki swe czasem odbywałem z tyłu statku, między*

*śródokręciem a rufą. Chodziłem tam kilkanaście kroków w jedną i w*

*drugą stronę i czułem pod mroźnym wichrem całą udrękę swej*

*samotności. Wszystko dokoła, niebo, ocean, pokład, konwój, zionęło*

*przygnębiającą pustką. Nie było gdzie uczepić nadziei, nie było ciepła*

*ani ludzi. Na domiar złego silne kołysanie statku rzucało człowiekiem i*

*kazało mu walczyć bezustannie o własną równowagę.*

*Lecz kiedyś, przybliżywszy się do kubryku na rufie, usłyszałem za*

*ścianą stłumiony rozgwar ludzkiej rozmowy. Żyli tam marynarze w*

*swych ciepłych kabinach. Więc było jednak życie i odtąd, podchodząc do*

*rufy, spośród wichrowych łoskotów i wodnego poszumu wylawiałem*

*gorliwie ludzkie odgłosy. Ściany kubryku i pokład zagrzewały się*

*uczuciem.*

*Później obok odgłosów ludzkich usłyszałem tony akordeonu.*

*Marynarz wygrywał z przejęciem tango argentyńskie. Później rozognił*

*się fantazją w różnych kujawiakach. Powracał do nich często w ciągu*

*całego rejsu i nawet poprzez żelazną ścianę kubryku przenikało jak*

*gdyby ciepło namiętnego ukochania, które niewidzialny grajek wkładał w swojskie melodie.*

*Bywało, eskortujące korwety rzucały nieraz po kilka bomb głębinowych, od których groźny huk i wstrząsy dochodziły do naszego statku. Lecz wytrwałego grajka nie zniechęcały, jego wesołych kujawiaków nie gasiły.*

*Potężna magia maszyn*

*Dzięki uprzejmości drugiego oficera Anczewskiego mieszkałem z nim razem w jego kabinie. Był to człowiek młody, miły, rozgarnięty i doskonale odczytany, który ongiś z polskiej marynarki wojennej przeszedł do handlowej. W czasie wojny sprzeniewierzył się tradycjom statku i ożenił się z Polką w Stanach Zjednoczonych, lecz „zdrada” nie uszczupliła mu bynajmniej dawnej ochoczości ani przyjaźni kolegów.*

*Posiadał w kabinie dość bogatą bibliotekę i kilkadziesiąt numerów „Readers Digest”. Czytałem książki jego zapamiętane.*

*Anczewski pełnił niewygodną wachtę od północy do czwartej rano i powinien był spać wieczorami. Lecz często, leżąc naprzeciw siebie w swych kojach, miewaliśmy długie gawędy, w których towarzysz mój obnażał przede mną swą bogatą duszę i niezwykłą różnorodność swych zainteresowań. Zadawał kłam blakającemu się wśród szczerów lądowych pojęciu o wąskim horyzoncie myślowym ludzi morza.*

*Przyjemnie było go słuchać.*

*Po rozmowie zazwyczaj on pierwszy zasypiał i wtedy — obojętne, czy drzwi naszej kabiny były otwarte, czy zamknięte -w uszy moje i w mózg*

*wdzierały się odgłosy idące od maszyn statku. Kabina nasza znajdowała się nad samą maszynownią, a drzwi tuż naprzeciw zejścia do hali maszyn, byliśmy więc w bezpośrednim zasięgu fantastycznej muzyki.*

*Orkiestra żelaznych dźwięków: miarowy, potężny turkot tłoków, szum kotła, ciężki oddech pary i przenikliwy jej syk w chwilach jakby wściekłości, czasem liryczne intermezzo dzwonka, poza tym powikłana szorstkość nieodgadnionych zgrzytów — wszystko to bez przerwy uderzało w człowieka i chociaż zdawało się wrzaskiem z czeluści piekielnych, nie było niczym innym jak wspaniałym słuchowiskiem ogromnych sił przyrody, ujarzmionych przez ludzką wolę. Było mocną odpowiedzią na wyzwanie rzucone nam przez wichry morskie.*

*Odgłosy te towarzyszyły mi nieodstępnie przez całą podróż i napępniały statek od dzioba do rufy wytężonym rytmem życia. Były równocześnie sprawdzianem niepogody i spienionego morza. Gdy śruba okrętowa wyskakiwała z wysokiej fali w powietrze, maszyny rzucały się w zawrotne obroty, wzniecały ogłuszający łoskot i naraz trzęsły okropnie całym statkiem — to sztorm tak wyrzucił rufę z morza. Gdy po chwili śruba wracała do wody, rozpęd ulegał gwałtownemu zahamowaniu i wówczas własnymi nerwami niemal wyczuwało się natężenie poskromionych korb i kół, wtłoczonych w przymus dalszego trudu.*

*Hala maszyn miała specyficzny urok, działała przyciągająco: było tam ciepło i tajemniczo. Lubilem do niej zaglądać. Głęboką,*

*trzypiętrową jamę wypełniał labirynt rozhukanych dziwolągów ze stali. Na samym dole, zawrotnie nisko, przechadzał się powolnym krokiem jeden tylko widzialny człowiek, maleńkie żyjątko, wachtowy mechanik. Ćmił papierosa i uosabiał opanowany spokój. Gdy rozlegał się dzwonek, mechanik dostępował do jakiegoś koła, obracał nim i patrząc ostro na manometr, regulował bieg maszyn. Był to pogromca ich siły i pan szybkości statku.*

*Maszyny ludziom nie dawały nigdy spokoju, a wpływ ich wciskał się w sny ludzkie prawie co noc. Nie można było od nich uciec na statku. Mózgi nasze, przesiąknięte ich łomotem, śniły o zawitych katastrofach i wulkanicznych wybuchach. Pojawiały nam się widma, widziane niedawno w „Fantazji” Disneya. Pojawiały się sny jeszcze inne. Śnił się kraj zalany wroga falą, lecz pulsujący pod powierzchnią niezniszczalnym ogniem i wrywający się rozpaczliwie ku swobodzie. Były to uporczywe skojarzenia, szczególnie dosadne i męczące w czasie burzliwej pogody, gdy maszyny najciężej pracowały, a śruba co chwila wrywała się z wody.*

*Często w nocy budziłem się z biciem serca, z zaciśniętą pięścią i z wilgocią pod powiekami. Sprawiały to maszyny statku. Wtedy często bywało, że budząc się nad ranem, widziałem leżącego spokojnie w swej koi drugiego oficera. Spał zasłużonym i kamiennym snem marynarza, który wrócił z wachty i spełnił swój obowiązek.*

*Morskie uniesienia*

*Dzień po dniu mijał bez wydarzeń godnych uwagi. Konwój wpadał*

*bez przerwy z jednego sztormu w drugi. Raz w zadymce zagubił się na kilka godzin. Co dwa, trzy dni dostrzegaliśmy czarne kule, wywieszane dla przestrogi na eskortujących okrętach, i słyszeliśmy kilkakrotnie wybuchy bomb głębinowych. Lecz wyraźnego ataku okrętów podwodnych nie było. Rejs rozwijał się gładko, przepisowo, a konwój spełniał statecznie, choć powoli, swój ważny obowiązek: co dzień był coraz bliżej portu przeznaczenia.*

*Więc na tym odcinku było spokojnie, natomiast chwile pełne podniecenia przeżywałem przy posiłkach. Czterech nas razem jadło w salonie: kapitan, pierwszy oficer Bojka, pierwszy mechanik Danecki i ja. Schodziliśmy się codziennie trzy razy i trzy razy wpadaliśmy w gorące wiry i w urocze szaleństwa dyskusji. Były to istne orgie duchowe, lecz przyjemne, bo pomimo rozjątrzenia utrzymywały się zawsze w ramach taktu towarzyskiego.*

*Kapitan stanowił typ sangwinika, wygłaszającego swe poglądy w arbitralny, despotyczny i czasem prowokacyjny sposób. Na szczęście dopuszczał do dyskusji. Pierwszy oficer Bojka, również sangwinik i radykał w swych opiniach, przy tym wygadany i wojowniczy niczym trybun ludowy, nie przepuszczał żadnej sposobności, by rzucić się z drapieżnym argumentem na kapitana i namiętnie mu oponować. Za każdym razem rozpętywały się między tymi zapasy tak zapalczywe, że wnet wciągały do sporu Daneckiego, basowego flegmatyka, i mnie, gościa statku.*

*Dyskusje te miały dynamiczny układ trąby powietrznej. Rzucona*

*przez kogo bądź myśl, zazwyczaj na temat oderwany, po krótkiej i spokojnej wymianie zdań wpadała wnet z reguły w łożysko zagrzewające się. W rozpędzie coraz bardziej rozkielznane, coraz podobniejsze do rozpasanego wiru. Myśl, wzbijając się jakby w rozjuszony gorączce, coraz gwałtowniej zachłystywała się, hukala, hulala, szarpała, oskarżała—nagle jakiś pies rzucający się wściekle na obroży, nagle jakaś obłądna szermierka, machająca w prawo, w lewo, jakieś zawrotne nerwowe łap-cap, jakiś amok bezkrwawy— aż doszedłszy do szczytowego punktu, kiedy trąba powietrzna zawala się w katastrofie, dyskusja nasza zatrzymywała się jak rozpędzony koń tuż przed przepaścią i nastawało natychmiastowe odprężenie. Rozmowy te pomimo wzburzenia nie raniły nikogo z obecnych (za to częściej nieobecnych) i stanowiły jakby soczystą przyprawę naszych posiłków. Wachlarz tematów był fantastycznie szeroki: polska emigracja w USA, jej udział w wojnie i jej przyszłość; Sienkiewicz a profesor Górka; Tahiti, Tahitianka Reri w Polsce i jej niedobry przyjaciel Bodo; Polska a Związek Radziecki; przemysł w bagażu dyplomatycznym pewnego ministra rządu londyńskiego; rok 1940 w różnych aspektach; Polacy w Wielkiej Brytanii, ich jurność wątpliwej wartości; Francja zgniła czy żywotna, Anglia — sfinks czy tytan, starzec czy egoizm; sprawa Polski podczas wojny i po wojnie. Realizm Anglików i ich dziwaczna powolność; rodzaje ich obłudy; polscy ochotnicy w Anglii; Polska a Rosja; marynarz a świat i dom publiczny; polscy lotnicy; Anglia a tępienie Indian A. P.; zaczepianie kobiet na ulicy; hitlerowcy a istota*



*zła, polscy lotnicy; odporność Związku Radzieckiego; blaski i nędze naszych londyńskich władz: „Rubens” i „Stratton”...*

*Jest to jednak ułamek tematów; było ich znacznie więcej. O kobietach nie mówiło się wiele, tyle że w sam raz. W pierwszej połowie rejsu, w okresie żywych jeszcze wspomnień o lotnikach, stosunek do kobiet był wrogi. Przy niechętnym podejmowaniu tego tematu przypominaliśmy sobie potknięcia niektórych naszych pań w Brytanii i ostro je potępiali. Na ogół prawilo się o nich swawolnie, lekceważąco, cynicznie i z dąsem. Lecz trwało to do czasu: w pośrodku Atlantyku nastawało jakby zawieszenie broni, a potem w miarę zbliżania się do lądu amerykańskiego zaczęły łagodnieć surowe sądy i topniała męska obojętność. Rozmowy o kobietach stawały się coraz mniej gwałtowne, a bardziej ludzkie, mniej pochopne i rozpustne, a bardziej skupione i potulne. Marynarze pokornieli, a statek doznawał tak frapujących przeobrażeń nastrojów, że nawet nowojorska Statua Wolności wyrażała obok symbolu wolności przede wszystkim powaby kształtów dobrze zbudowanej niewiasty. Pod koniec rejsu wszyscy tęsknili do kobiet.*

*Któregoś dnia przez radio nadeszły wiadomości o pierwszym masowym nalocie na Kolonię przeszło tysiąca bombowców alianckich, a w dwa dni później na Essen. Wieści wywarły silne wrażenie. Dyskusje trwały nadal podczas posiłków, lecz już bez karkołomnych wyskoków i zwykłej szarpaniny. Zwolennicy Brytyjczyków triumfowali. Przez statek przechodziła fala zadowolenia, że wróg nareszcie dostaje w skórę*

*na Zachodzie, i mniej powstawało trąb powietrznych w sprzeczkach.*

*Gdy owego dnia odwiedziłem na mostku pierwszego oficera Bojkę podczas jego wachty, spostrzegłem, że ma niebywały humor. Uragliwe zazwyczaj ogniki w jego oczach zamieniły się w żagwie zjadliwej radości. Bojka rozkoszował się obrazem niszczenia fabryk niemieckich. To hitlerowców nauczyć człowieczeństwa, twierdził i malował ich sobie uciekających w przerażeniu z Kolonii. Pomimo zimna panującego na mostku Bojka żartował, że czuje już teraz żar palącego się Berlina.*

*Funkcje na statku były ustalone jak w mechanizmie zegarowym: czynności oficera na mostku, sternika przy sterze, mechanika w maszynowni, palacza przy paleniskach, radiotelegrafisty przy odbiorniku, kucharza w kuchni — to niezbędne kółka tego mechanizmu. Lecz to nie było wszystko. Istniały na statku jeszcze inne działania. A do tych innych zdawały się zaliczać: radość Bojki na mostku i zażarte dyskusje przy stole. Zapewne i one były potrzebne, by statek prawidłowo szedł.*

*Kapitan: problemat ludzkiej duszy*

*Kapitan był typowym dzieckiem kresów wschodnich, owej kuźni dziejowych burz, niepewności jutra, niepokoju duszy, porywczej krwi i odważnych tęsknot. Urodzony w Odessie, stykał się z morzem od dzieciństwa i snuł swe chłopięce marzenia na horyzontach, które widział przed sobą i za którymi domyślał się lądów o nieprzebranym uroku. Rzecz ciekawa, że ląd nie przestał go wabić do dnia dzisiejszego: kapitana jak gdyby wciąż urzekała Ameryka.*

*Wierny sobie i kresowej fantazji, uciekł jako szesnastoletni chłopak z domu do wojska polskiego, by walczyć w 1920 roku. Ciężko ranny w stopę, dostał się do niewoli, lecz po trzech miesiącach odbity wrócił do swoich. Pierwszy burzliwy etap jego życia dobiegł końca.*

*Drugi etap rozpoczął się w dwa lata później wstąpieniem do Szkoły Morskiej. Był uczniem pojętym, ale nieposkromionym. Gdy na statku szkolnym „Lwów”, na którym odbywał ćwiczebny rejs, zawitał w rok później do Brazylii, gołowąsy wartogłów, wciąż owładnięty chłopięcymi mrzonkami, uległ czarowi domniemanego rajy i popełnił romantyczną dezercję. Po szczęśliwym ukończeniu nauk służył na statkach polskiej marynarki handlowej, przechodząc jako wybitnie uzdolniony oficer nawigacyjny wszystkie szczeble awansów. Wybuch wojny zastał go na stanowisku kapitana statku.*

*Jedno uczucie, szczególnie ważne, górowało w jego duszy i życiu: głęboka miłość do matki. Matka była dla niego wszystkim. W czasie wojny utożsamiała mu Polskę, a do kraju tęsknił głównie dlatego, że tam pozostawił matkę. Toteż jej śmierć pod terrorem hitlerowskim była dla niego więcej niż ciosem osobistym; jak gdyby rozluźniła więzy, dla których warto mu było wracać do kraju. Krótco potem, podczas odwiedzin lotników na statku, poświęcił i jedyną butelkę „Perły” Baczewskiego, którą do tego czasu pieczołowicie chował na dzień powrotu do Polski. Wszyscy wiedzieli, ile w tym gości kryło się tragedii osobistej. W czasie mej podróży na statku wpatrzony był maniacko w Amerykę. Wybiegał do niej złaknioną wyobraźnią. Przynosząc mi*

*fotografie i mapy Stanów Zjednoczonych, opisywał z nie ukrywaną  
lubością swą wycieczkę odbyłą tam niedawno samochodem. Powracał  
do tych opowiadań często, jak gdyby pod władzą niezwalzonego  
uroku, jak gdyby ów ląd tak samo jak dwadzieścia lat temu wciąż  
nieodparcie go przyciągał i wzywał do nierozważnych przygód.  
Był to więc duch bujny i pobudliwy, niewątpliwie pożyteczny w  
okresach pionierskich poczynań, natomiast mogący budzić nieufność i  
zastrzeżenia u tych wszystkich, którzy pragnęliby budować świat na  
niezmiennych, niewzruszonych, w stale prawidła ujętych zasadach. A  
jednak — chociaż większość oficerów polskiej marynarki handlowej  
była inna niż on, bardziej ustatkowana — jednak tacy nieposkromieni  
śmiałkowie oddawali także cenne usługi, oni to w tarapatkach nie tracili  
ducha ani przytomności umysłu, oni ratowali polskie statki z Afryki  
Zachodniej i on to, tęskniący do lądu kapitan, okazywał się w chwili  
naprężenia i akcji lepszym nawigatorem niż jego sąsiad w konwoju,  
stary „Norweg”.*

*Oto pewnej nocy — panowała tak mglista pogoda z deszczem, że  
statku przed nami nie było wcale widać, a dwaj sąsiedzi na trawersie  
ledwie, ledwie majaczyli w pomroce — ów prawy nasz sąsiad, dając  
nagle syreną niezrozumiały znak, długi i krótki gwizd, zmienił  
zniecka kurs i opuszczając swój rząd, zaczął walić wprost w naszą  
stronę. Zaciął mu się ster, jak później tłumaczono.*

*Zderzenie wisiało na włosku, lecz nasz statek, nie tracąc ani chwili,  
gwałtownym skrętem w lewo wywinął się od przygody. Przy tym*

*jednak, uciekając, zbliżyliśmy się niebezpiecznie do naszego sąsiada z lewej strony, sami jemu z kolei zagrażając zderzeniem. Sytuacja wytworzyła się fatalna, niemalże bez wyjścia: zahamowanie naszego statku już by nie pomogło, za to nastawiłoby naszą rufę na dziób „Norwega”, który nas z tyłu gonił.*

*Kapitan w oka mgnieniu, intuicyjnie, powziął jedynie słuszną, choć ryzykowną decyzję. Nakazał pełną parą naprzód, równocześnie dając statkowi najostrzejszy kąt w lewo. Powiodło się. Wykręcił statek tak znacznie w bok, że wyminęliśmy rufę sąsiada z tyłu o kilka metrów. Było to mistrzowskie rozwiązanie trudnej sytuacji, tym trudniejszej, że wszystko działo się w noc dżdżystą o lichej widzialności. Po kilkunastu minutach statek nasz wmanewrował się na swe stare miejsce.*

*Tak więc kapitan, wykazując najwyższą klasę opanowania statku, sprawności nawigacyjnej i bystrości sądu, zapobiegł tej nocy katastrofie dwóch, a może i trzech statków, lecz następnego dnia ten sam człowiek rozpościerał na stole zielone mapy i marzył o miastach amerykańskich i o ścieżkach na lądzie: poplątany problemat ludzkiej natury.*

*Marynarskie koty i mewy*

*Kingu był superkotem, chlubą statku i prawdziwą osobistością.*

*(Jedyną wybitną na statku osobistością, jak zapewniał bez uśmiechu pierwszy oficer Bojka). Była to korona stworzeń, splot wszystkich cnót bez żadnych wad, Kingu był wspaniały, był jedyny, był niedościgniony.*

*Gdy znikł niesławnie ze statku w Manchesterze (Cherchez la femme,*

*toujours les femmes), dla wszystkich marynarzy był to prawdziwy cios, jak gdyby stracili najlepszego kompana. I nie ulegało wątpliwości, że Kingu był nadzwyczajny: gdy który marynarz siadał i opowiadał o bestii tysiączne przygody, zaczynały mu się świecić oczy (jak u tego kota) i zatwardziały cynik morski, przyzwyczajony do pomiatania całym światem, nagle rozpływał się nad czworonożnym ulu-bieńcem z taką czułością, jakiej nie okazywałby przyjacielowi wśród ludzi.*

*Kingu  
był  
niezaprzeczonym  
królem  
łowców,  
łowcą  
z  
nieprawdziwego zdarzenia. Skok jego był niechybny, uderzenie łapy niezawodne. Słota czy sztorm, mróz czy gorąco, on ustawicznie polował, łowca zawzięty, niezmordowany i czujny. Jeżeli wytrwałość jest pierwszą zaletą myśliwską, to Kingu był arcykapłanem wytrwałości i demonem uporu. Gdy wyniuchał szczura w jakiejś dziurze, umiał czatować przed nią chociażby przez kilka dni z rzędu, zawsze z jednakowym skutkiem: los szkodnika był przypieczętowany. Plemię szczurów na pokładzie wytrzebił niemal do nogi, a takie stwierdzenie miało swoją wagę.*

*Kingu miał przy tym najradośniejsze usposobienie. Wychowany na*

*statku od samej młodości, znał wszystkich marynarzy-można prawie powiedzieć: znał po imieniu — i rozpieszczony, był zawsze skory do zabawnych z nimi figli. Kat nieubłagany dla szczurów, wobec marynarzy był rozigranym i najmiłszym trzpiotem. Ludziom patrzył prosto w oczy, pełen do nich zaufania i łagodności. Z kuchni kradł smakołyki, lecz kucharz był jego przyjacielem.*

*Był jak każdy myśliwy dumny ze swej sprawności łowieckiej, za to najboleśniej wrażliwy na wszystkie pudła. Obok szczurów pasję jego stanowiły ptaki siadające na pokładzie. Raz źle wycelował skok do mewy, chybił i na domiar złego spadając ze skrzyni, porządnie się potłukł. Przyszedł ponury na mostek, schował się w najciemniejszy kąt i zaraz ze zmartwienia głęboko zasnął. Gdy przebudził się po kilku godzinach, otworzył ostrożnie jedno ślepie, drugie, wyciągnął starannie jedną łapę, drugą, jakby sprawdzając swoją broń, i zeszedł na pokład. Po chwili rozległ się śmiertelny wrzask złapanej mewy. Pół godziny później — drugi wrzask. Kingu wrócił na mostek z pyskiem zaszczynie pokrwawionym i ostentacyjnym: miau! zażądał od wachtowego wody. Spośród oficerów szczególnie oddany mu był Bojka. Pewnego razu Kingu, podczas wesołej zabawy drasnqwszy oficera, dostał od niego lekkiego klapsa. Rozgniewany, ugryzł go na dobre, za co Bojka wsypał mu w szynki tęgę baty. — Obrażony kot z ogromnym larum i wściekłością wpadł na pokład. Po godzinie wrócił cichy i stulony, na progu przystanął niepewny, potem zbliżywszy się do Bojki, zaczął łaszqco ocierać się o jego ramię, najwyraźniej go przepraszając. Kingu*

*uznał słuszność wymierzonej mu kary.*

*Był to kot mądry i głęboko zakotwiczony w sercach marynarskich.*

*To też świadczy o ich wielkodusznej wyrozumiałości, że pomimo takiej*

*przyjaźni uznali przyczyny jego ucieczki ze statku. Zamierzał zejść na*

*ład już w Nowym Jorku, lecz któryś z mechaników, spostrzegłszy go na*

*ulicy w Hoboken, zdołał go zawrócić jeszcze na czas. Domyślali się, co*

*niepokoiło junaka, i gdy miesiąc później zwił im w Manchesterze,*

*przyjęli to jako nieunikniony wyrok losu. Panna! Tym jednym słowem*

*wszystko tłumaczyli. Dobrze i oni, hejże, znali magię tego słowa!*

*Gdy po trzech miesiącach wrócili do Manchesteru, szukali go po*

*wszystkich dokach i uliczkach portowych — daremnie. Widocznie*

*zaokrętował się na inny statek. Po roku dotarła do nich wiadomość, że*

*widziano Kingu na angielskim statku w porcie Valleta na Malcie.*

*— Kingu był najmiłszym kotem na świecie! — mówił Bojka.*

*— To nieprawda! Bianka była najmiłsza! — zaprzeczał gwałtownie*

*kapitan.*

*Była to syjamska kotka najczystszej rasy, niezmiernie piękna,*

*wycackana, dystyngowana, słodka, zbyt kowna i ślepo przywiązana do*

*kapitana. Erotomanka, co dwa miesiące przeżywała rozstrój nerwowy i*

*wtedy wszyscy, kapitan i steward, oficerowie i marynarze, i ona sama,*

*szukali na gwałt odpowiedniej partii. Aristokratka była wybredna i*

*kapryśna i nie z byle kim się zadawała. Lecz często, jak to bywa w życiu,*

*wpadała. Raz pożarła cały swój miot, innym razem porodziła tęgie*

*bękarty.*



— *Chamski kot ją popieścił!* — *mówili marynarze z rzeczową satysfakcją.*

*Rodziła często, nienasycona w tym instynkcie, aż kiedyś ucho garnka się urwało i Bianka przy którymś tam płodzie zdechła. Żalowali jej wszyscy, bo jakkolwiek degeneratka, była uroczym stworzeniem.*

— *A jednak nie ma to jak Kingu!* — *upierał się Bojka.* — *Z plebsu pochodził, własnymi siłami się przebijał, do salonu doszedł...*

*Nieodstępnyymi towarzyszkami statków były mewy. Leciały z naszym konwojem poprzez cały Atlantyk. Piękno ich lotu nie miało równego sobie i trudno było nasycić nim ludzki wzrok: były to najpowabniejsze tancerki i chyba najwytrwalsze, bo latały dokoła statku nawet wtedy, gdy człowiek, zziębnięty do kości, wołał uciekać do kabiny. Dobre ptaki wypisywały marynarzom doniosłe znaki na niebie, przepowiadając im rodzaj pogody. Najlepsza wróżba, gdy mewy leciały przed statkiem: jakby wskazywały ludziom drogę do ciszy. Najgorzej było, gdy siadały na wodzie: wypoczywały przed sztormem.*

*Marynarze rozwodzili się chętnie i szeroko o ich wielu przymiotach i wygłaszali najróżniejsze poglądy. Kiedyś — było to na środku Atlantyku w paskudnej wichurze — odezwał się do mnie z uśmiechem Bojka, wskazując kilka mew w pobliżu statku walczących ciężko pod wiatr: — *Patrz pan! Jakie to głupie frajery!... Inne, cwaniaki, pozostają w portach, by siedzieć błogo za piecem i wygodnie pędzić życie, a te tutaj męczą się i łamią sobie skrzydła w sztormie: pionierzy!... Durne dziwaczki życiowe, narwańce!...**

*W oczach Bojki świeciły się, więcej niż zwykle, urągliwie ogniki i wtedy spostrzegłem, ile niespożytego humoru miał pierwszy oficer: mówił przecież o sobie.*

*Zgrzyty i blaski Anglików*

*Komodor prowadzący nasz konwój pilnował energicznie porządku w szeregach i widać było z jego rozkazów, że to doświadczony wyga morski. Ów Anglik był przy tym wyjątkowo gadatliwy i ku utrapieniu wszystkich wachtowych wydawał flagowymi sygnałami zbyt częste polecenia, które statki musiały za nim powtarzać jak grzeczne dzieci.*

*Miał również poczucie humoru. Kiedyś podczas gęstej mgły wszystkie statki w obawie zderzenia zaczęły nerwowo i zapamiętane buczać, więcej niż było dozwolone. Gdy po kilku godzinach mgła opadła, komodor posłał im w języku flagowym następującą sentencję:*

*— Statki we mgle winny zachować się jak lwy, a nie jak barany, które beczą i tracą głowy!*

*Tak się pewnego dnia złożyło, że statek nasz plugawo dymił, rzecz dla konwoju niemila i niebezpieczna. Palacze nasi nie mogli jakoś opanować przez dłuższy czas paleniska. Czarny ogon dymu włókł się od nas prosto na prawego sąsiada, który w końcu stracił cierpliwość i przysłał do nas świetlnym morsem okrzyk rozpacz:*

*— Błagamy, dajcie nam żyć!*

*Później nawet sam komodor się wmieszał. Uczynił to z subtelnym i zjadliwym przekąsem.*

*— Czy macie dobry węgiel? — zapytał lakonicznie.*

— *Nie!* — *odsygnalizowaliśmy z głupia frant równie ciętą*

*odpowiedzią: — Tylko z Cardiffu.*

*Na szczęście dym niebawem ustał.*

*Tego wieczoru zebrali się kilku oficerów w kabinie pierwszego mechanika na miłą jak zwykle pogawędkę. Byłem tam także. Pod wrażeniem zapewne przygody z komodorem rozmowa nasza zeszła na niewyczerpany nigdy temat o Anglikach. Większość nas czuła dla nich szacunek, wielu miało nawet prawdziwy sentyment i dlatego może sypały "się na ich głowy częste, niemiłosierne dowcipy. Było to jeszcze w owym okresie, kiedy nas (i nie tylko nas, lecz i cały świat) niecierpliwiła powolność brytyjskiej umysłowości i przede wszystkim brak wojennego rozmachu. Na tle takiej opinii komodor nasz wydawał się uosobieniem żywotności i tężyzny. Bojka, który zawsze lubił drastyczną barwność w słowach, określił problem następująco:*

— *Hitler, jak histeryczna małpa, wyszarpie się z sił i bebechy sobie wypruje, zanim Anglik się obejrzy, zadziwi się i zrozumie, że wojnę wygrał...*

*Pomimo ukrytej pochwały nie wydało nam się to słuszne w stosunku do Anglików, lecz jakby w sukurs Bojce jeden z oficerów opowiedział takie zajście: gdy Churchill wygłaszał przez radio tragiczną wiadomość o upadku Singapuru w lutym 1942 roku, nasz statek leżał właśnie w angielskim porcie i wszyscy jego oficerowie przejęci słuchali przy głośniku w salonie słów brytyjskiego premiera. Był tam z nimi angielski pilot portowy drzemiący na kanapie, widocznie po nocnej służbie.*

*Któryś z oficerów przebudził go i zawiadomił o utracie Singapuru.*

*— Co? Padł? Ay! — rzekł Anglik flegmatycznie i obrócił się na drugi bok. Zasnął. Wszyscy obecni wtedy byli zgorszeni.*

*Byli drwiąco zgorszeni i dzisiaj w kabinie pierwszego mechanika, lecz drugi oficer Anczewski stanął nagle okoniem:*

*— A co właściwie pilot miał robić lepszego? Czy wyrywać sobie włosy? Czy bić głową o mur płaczu?! Rzucić się na Singapur jak z motyką na słońce? Kawalerią znowu uderzać na czołgi?*

*Fale rozmowy jak zwykle zaczęły podnosić się i pulsować żywiej za i przeciw. Przeskakiwały łatwo na śliskie tory pochopnych uogólnień, lecz kapitan zabrał głos, opowiadając zajście sprzed pół roku.*

*Statek nasz zbliżał się wtedy zimą podczas burzliwej pogody do portu w Halifax, gdy brytyjski patrolowiec szkolny, na którym było kilkudziesięciu kadetów marynarki, stanął w płomieniach po wybuchu benzyny i tonął. Kto żyw z jego załogi musiał skakać do szalupy i na tratwy, wielu wprost do wody, która była lodowato zimna w tej porze roku. Akcję ratunkową przeprowadzał nasz statek oraz wynurzony kanadyjski okręt podwodny, obecny przypadkiem w pobliżu. Lecz wysoka fala utrudniała pomoc.*

*Marynarze ginęli z zimna. Niektórzy byli tuż, tuż przy burcie, chwyтали podane im liny, lecz porażeni zimnem puszczali je ze zgrabiałych rąk i tonęli. Były to chwile pełne grozy i rozpacz, a zarazem pełne heroicznej wzniosłości. Brytyjczycy ginęli spokojnie, bez spazmów, bez paniki, zachowując do ostatniej chwili wielką, nieludzką*

*niemal karność. W obliczu śmierci ujawniali moc ducha, która od wieków jest tajemnicą tego narodu i źródłem jego tężyzny. Było to bolesne i przejmujące doświadczenie i niestety niewielu rozbitków ocalało. Okręt podwodny wyciągnął raptem dwóch, nasz statek osiemnastu, z których czterech skonało zaraz po wydobyciu z wody, na pokładzie.*

*Śmierć jednego z oficerów patrolowca, młodzieńca o szlachetnej, inteligentnej twarzy, szczególnie głęboko Wryła się w pamięć ludzi naszego statku. Widzieli, jak dopływał dzielnie do burty, jak uchwycił spuszczonego trap. Mieli go już nad powierzchnią wody i wyciągali doń pomocne ręce, gdy osłabł w ostatniej chwili.*

*- I am sorry! — wyszemrał, uśmiechając się do nich łagodnie, jak gdyby ich przepraszając za zawód, i jeszcze raz powiedziawszy „Przepraszam!” osunął się cicho do wody.*

*Uśmiech ginącego Brytyjczyka zapanował nad naszą kabiną. Zawile rzeczy ludzkie tłumaczył może prościej, dobitniej i dobrotliwiej, niżby je wyjaśnić mogła obfitość tysięcy słów.*

*Cieśla ostoją moralną*

*Gdy pewnego dnia wiatr nieco zelżał, ujrzałem podczas mej zwykłej przechadzki cieślę okrętowego, pracującego na pokładzie. Był to najstarszy członek załogi, liczący blisko sześćdziesiąt lat, o zadziwiająco pięknej, starorzymskiej twarzy i o nieograniczonej pogodzie ducha, jakby chrześcijanina z katakumb. Był rześki i mocny i witał człowieka zawsze tak radosnym i szczerym uśmiechem, że miało się wrażenie*

*bliskiego słońca, i to wrażenie ciepła działało długo jeszcze po odejściu od niego.*

*Cieśla otrząsał się z morzem już na wiele lat przed pierwszą wojną światową, a na obecnym statku był, jak mawiał, od samej jego kolebki.*

*Jak pszczoła pracowity, miał w sobie mądrość patriarchy i dobroczynność pustelnika: w czasach dzisiejszych stanowił dziwaczny nieco anachronizm, był jakimś paradoksalnym wyjątkiem, atolem sterczącym samotnie wśród stłoczonych odmętów.*

*Skromny i oszczędny cieśla zbierał do banku zarobione pieniądze i myślał o swej żonie i dwóch córkach pozostawionych w Gdyni. Nie miał o nich wiadomości od dwóch lat, lecz wiara jego nie dopuszczała najdrobniejszej wątpliwości co do ich znośnego losu i szczęśliwego z nimi zobaczenia się po wojnie.*

*Przywiązanie jego do statku było bezprzykładne. Rzadko kiedy schodził na ląd. Gdy mu kiedyś lekarz nakazał pójście do szpitala, nie poszedł: wolał pozostać na statku i pracować. Stwarzał dokoła siebie aurę jak gdyby potęgi moralnej promieniującej na cały statek, na jego załogę i także na oficerów: gdy inni marynarze zmieniali się jak przechodnie, on tu niezmiennie trwał; gdy inni czerpali soki życiowe z szerokiego świata, wdrożeni w puls jego kataklizmu, on był samym wyłącznie statkiem i dla statku, w jego kręgu zamykając swe potrzeby ciała i ducha. Statek pozostawał jednaki i wierny, twierdził cieśla, ludzie stawali się coraz gorsi.*

*Jego druhem, rówieśnikiem na szczeblu towarzyskim jak również co*

*do wieku, jego powiernikiem był bosman. Pochodził jak cieśla z Kaszub.*

*Grubawy, przysadzisty, jowialny, był od czterdziestu lat na morzu,*

*wszystkie jego tajemnice, które go ongiś nęciły, posiadał, lubił skromne*

*uciechy świata: zachodzić do baru na szklankę piwa i besztać*

*marynarzy w dowcipnych przenośniach. Kiedyś zawołał do*

*początkującego sternika, który prowadził statek nieco zygzakiem:*

*— Wąż, gdyby szedł twoim kilwatem, toby kręgi sobie połamał...*

*Od wielu lat bosman przebywał na tym samym statku i razem z*

*cieśłą tworzył jeden trzon/Obydwaj żyli się jak Kastor i Pol-luks i jeśli*

*cieśla kiedy schodził na ląd, to zawsze w towarzystwie bosmana. Gdy*

*pewnego razu obydwaj odwiedzili portową knajpę, bosman przywitał*

*znajomą kelnerkę poufałym: Hallo, my darling! Za co przyjaciel zganił*

*go surowo, twierdząc, że pryk z niego stary a rozwiąży. Cieśla*

*świętoszkiem? Bynajmniej — jakżeby wytrzymał na ochoczym statku*

*kawalerów -lecz w tej przyjaźni był stróżem przyzwoitości.*

*Któregoś dnia zastałem go w smętnej zadumie. Nie spał w nocy.*

*Korciło go, że wie dzie żywot poganina. W nocy obliczył, że trzy dni temu*

*były Zielone Świątki, a on nie tylko pracował jak co dzień — to dla niego*

*nie dziwota, pracować trzeba!'— .lecz tego dnia ani mu przez myśl nie*

*przeszło, że to święto. Zielone Świątki są pięknym okresem w Polsce, są*

*najpiękniejszym okresem. Łąki zielone, zboża wschodzące, ptaki głośne,*

*ludzie szczęśliwi... Wtedy cieśla jak gdyby zawstydział się niedorzecznej*

*myśli o szczęśliwych ludziach pod okupacją hitlerowską i urwał.*

*Po chwili przestał piłować deskę, wyprostował się i wskazując*

*pochmurne niebo, rzekł ż bolesnym uśmiechem:*

*-I pomyśleć, że takie to Zielone Świątki!...*

*Chłodny dzień atlantycki był w istocie wyjątkowo przykry. Lecz gorycz cieśli widocznie nie tylko odnosiła się do dnia na morzu: Zielone Świątki gdzie indziej, tam, były przecież smutniejsze.*

*Cieśla — skromny, uczynny, pokorny, uśmiechnięty, zrównoważony.*

*Wyraz dobroci. W swym ustroniu kubrykowym był ośrodkiem moralnym. Był ważny dla statku. Był wentylem dla napięć, piorunochronem dla burz. Nie doceniony, nie dostrzeżony, swą szlachetną prostotą spełniał w ciszy statku wyraźne posłannictwo.*

*Po przebiciu wielkiej mgły*

*Na zachodnim Atlantyku leżała olbrzymia warstwa mroźnej mgły.*

*Od kilku dni przebijał się przez jej mroczną gęstwinę, przychylni zasłonie, dającej nam bezpieczeństwo od okrętów podwodnych. Lecz na czwarty czy piąty dzień mgła przybrała inny niż dotychczas zapach, nieledwie korzenny i balsamiczny.*

*Potem wyszliśmy na pełniejsze światło, zrobiło się przestrzenniej, ujrzeliśmy znów horyzonty, i już nie było wątpliwości, że dobrnęliśmy do innego klimatu: słońce przedzierało się tu parciej, ciepło zaczęło wzbierać. Jakiś mały ptaszek, wróbło-waty, najwyraźniej z lądu rodem, przyleciał na pokład. Był to znak zbyt oczywisty: srogi i nieprzyjemny pan, Atlantyk północny, pozostał za nami.*

*Cieplejsze z każdą godziną powiewy przynosiły nam coraz ponętniejsze aromaty. Lądu jeszcze nie widzieliśmy, lecz było nam*



*rażno na duszy jak komuś, kto nieoczekiwanie ujrzy wiosenny poranek po przebudzeniu się z posępnej nocy. Marynarzom kraśniały gęby, pokłady zaroily się postaciami. Wraz z nastaniem ciepła ciężar spadał ludziom z duszy. Ponośli ich radosny nastrój po przebytej szczęśliwie wytrwalej bitwie, którą statki toczyły i wygrywały przez trzy tygodnie. I jak gdyby otwierały się w sercach jakoweś wrzeczadze ukrytych wzruszeń, świat stawał się raptem inny, bliższy i barwniejszy, impulsy śmielsze, a ludzie skłonniejsi do patosu i osobliwych uniesień.*

*Kłaczyński, radiotelegrafista, rozrzewnił się nagle z powodu wojennych książek. Był to przyjazny człowiek, tęgiej tuszy, którego temperament łatwo się zapalał. Kilku z nas rozmawiało właśnie na temat książek opisujących wrześniową kampanię w Polsce. W Kłaczyńskim temat rozmowy spowodował raptem wybuch serdecznego żalu: owszem, czytał szereg takich książek, wydanych podczas wojny, ale żadna z nich nie zadowoliła go. We wszystkich albo była ciągła ucieczka, wieczne szczegóły klęski i zaleszczyckie nastroje, albo nieciekawe przygody uciekających dyplomatów w Rumuniach czy w Grecjach, a tymczasem tak mało pisało się o bohaterskich czynach naszych żołnierzy we wrześniu. Na to Danecki i Anczewski — że widocznie ci, co walczyli, zginęli albo pisać nie potrafią. Więc Kłaczyński rozsierzdził się na tę całą literaturę i oświadczył, że nie zaspokoila jego głodu.*

*— A czy znasz „Kampanię wrześniową” Norwid-Neugebauera? — zagadnął go Anczewski.*

*Kłaczyński pogardliwie zamachał rękoma i krzyknął z bolesną miną:*

*— Znam! Znam! Nic nie daje! Nie krzepi!...*

*— To studium historyczne — oświadczył drugi oficer — a ty, Radio, chciałbyś beletrystyki...*

*Było w powietrzu coś pobudzającego: Kłaczyński wzruszył się tak do głębi, że zwilgotniały mu oczy, rozwichrzyły się włosy. Obezwładniony, bezradny, cały przepojony swym serdecznym zatroskaniem — zamilkł.*

*Wkrótce zobaczyliśmy ląd. Pojawiły się amerykańskie samoloty, balony sterowe i okręty patrolowe: Do Nowego Jorku było jeszcze sporo drogi. Lecz ląd jak ziemia obiecana jaśniał z daleka w okazałym słońcu.*

*Na statku gorączkowe przygotowania przed przybiciem do portu.*

*Trzeci mechanik, Łożynek, rozbierał windy i czyścił je. Pomagali mu palacze, a między nimi był Piotr, tęgie, nadmiernie wyrosnięte młode chłopisko z facjatą dobrodusznego poczciwca. Że rejs się kończył, dali mu whisky, ale Piotr stracił miarę i zalał się, jak mówią marynarze, w srebrnego lisa. Miast pomagać, przeszkadza}. Okropnie umorusany ciemną oliwą, kręcił się po pokładzie jak mucha w ukropie i zabrudzał mazią wszystkie poręcze i ściany. Niedźwiedzio waty i rozklekotany w swej niemocy, istny Czarny Piotruś, bronił się pijacko od pracy i spierał się z łagodną uporczywością z Łożynkiem napominającym go spod windy. Wprowadzał ogromny bałagan. Mimo to nikt na niego nie wrzasnął, nikt nie pomstował. Otaczało go ogólne i jakby przyjazne pobłażanie.*

*Nie była to wielka rzecz, może nawet w gruncie wstydliva i*

*nieprzyzwoita. Lecz przecież on okazał się w swym pijaństwie jakimś  
niezłym, morowym chłopem, oni zaś, Łożynek i inni oficerowie, dali  
świadcstwo niezwykłego opanowania i chwalebego taktu.*

*Ich bitwa*

*Z tak błahych pozornie zdarzeń składało się ich codzienne życie.*

*Między dwoma ośrodkami pracy, mostkiem a maszyną, rozwijał się ich  
szary sznur cichych, niepozornych wypadków, dzień w dzień niemal  
tych samych, nieuchwytnych często w swej znikomości, rozciągniętych  
na przestrzeni trzech tysięcy mil, zagubionych w okowach rutyny —  
wypadków nie opromienionych nimbem wspaniałych bohaterstw ani  
wrzawą i glorią bitewną. Jedynym zwycięstwem tych ludzi było  
zwycięstwo doprowadzenia statku do portu przeznaczenia.*

*A jednak, gdy historia będzie pisała kronikę tych straszliwych  
zapasów ludzkiej rasy, okaże się, że owi marynarze statków  
handlowych zasłużyli na najwyższą chwałę i wdzięczność. Okaże się, że  
stoczyli bitwę jedną z najbardziej decydujących w tej wojnie, bitwę o  
główną arterię świata, i że wygrali ją dzięki przymiotom, za jakie  
ludzkość swym zasłużonym mężom i żołnierzom stawiała pomniki.*

**KONIEC**